ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM

Niemcy pod rządami AfD? – co to oznaczałoby dla Polski



Jak Netflix zepsuł prawdziwie polską „Lalkę”



WOJCIECH CEJROWSKI O IDIOTYCZNYCH SANKCJACH PRZECIW ROSJI

„Dieta planetarna” obowiązkowa – lewacy przejęli władzę w szkolnych stołówkach

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 38/698 14–20 WRZEŚNIA 2026
CENA 14,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DLACZEGO ONI SĄ TAK OKRUTNI?



MINISTER BEZPIECZEŃSTWA NARODOWEGO IZRAELA ITAMAR BEN-GWIR I PREMIER IZRAELA BENIAMIN NETANJAHU

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829

KSIĘGARNIA DO RZECZY



ZAPRASZAMY DO KSIĘGARNI DO RZECZY



KSIEGARNIADORZECZY.PL

eprasa.pl c21ff32d6d

Potęga wielkiego kartografa



PAWEŁ LISICKI

Krowa, która głośno ryczy, mało mleka daje – cóż, nie mogę się oprzeć pokusie przytoczenia tej mądrości ludowej, obserwując kolejne wystąpienia Donalda Trumpa na temat wojny z Iranem i ogólnie potęgi USA. Być może głównym celem jego fanfaronady jest na zimno prowadzona operacja PR-owska, której zadaniem jest przekucie klęski w zwycięstwo. Tak należałoby choćby interpretować wystąpienia prezydenta USA w Dallas w Teksasie, na konwencji Partii Republikańskiej. Sam fakt, że do wydarzenia tego dochodzi teraz, a nie jak zwykle w roku wyborów prezydenckich, pokazuje już frustrację i strach w otoczeniu Trumpa. Najkrócej mówiąc, wiele wskazuje na to, że w listopadzie republikanie utracą kontrolę nad Kongresem i że główną przyczyną spodziewanej katastrofy będzie właśnie polityka prezydenta.

W Dallas było to samo co zawsze, a nawet bardziej. Prezydent Trump ogłosił swoje kolejne, ostateczne (ostatecznie ostateczne) bezwarunkowe zwycięstwo. Dziwne to bardzo, biorąc pod uwagę to, że ten sam prezydent już wiele razy twierdził, że Iran został pokonany, że leży na łopatkach, że właściwie już go nie ma i błaga o litość. Jak można obiecywać zwycięstwo nad kimś, kogo się pokonało? Jeśli jest się prezydentem Stanów Zjednoczonych, widać można.

Według Trumpa „wojna zakończy się natychmiast po wyborach". Dlaczego wojna, której nie ma, zakończy się po wyborach w USA? Bo „Iran nie będzie w stanie kontynuować działań wojennych […]. Teheran desperacko stara się wpłynąć na wynik wyborów". A więc Iran, którego już nie ma, chce desperacko wpłynąć na wyniki wyborów w USA, które są. Żeby zatem pokonać Iran, trzeba głosować na republikanów. Kiedy ci wygrają, klęska Iranu będzie ostateczna i ten się podda, chociaż już przecież się poddał i go nie ma. Najwyraźniej lidera mocarstwa światowego zasada trzymania się rzeczywistości nie obowiązuje. Tak czy inaczej, po głosowaniu w listopadzie cena ropy gwałtownie spadnie.

Jedno jest pewne: im głośniej Donald Trump ogłasza swoje wielkie zwycięstwa, tym bardziej cena ropy nie chce spaść i rośnie, co siłą rzeczy uderza w całą światową gospodarkę, także w amerykańską. Do tej pory w taki sposób o swoich sukcesach opowiadali zwykle dowódcy różnych marionetkowych państw, którzy to przykrywali realną niemoc chełpliwością i samochwalstwem. Teraz w tej roli występuje prezydent USA.

Mam wrażenie, że wiedza na temat jego kolejnych zwycięstw – ostatnim z nich było zdobycie jeziora Ontario i zmiana jego nazwy na jezioro Ameryka – dociera do Polaków tylko w ograniczonym stopniu. Polskie media informują o tych wybrykach, ale z wyraźnym zaambarasowaniem. Powód jest prosty. Przez lata dominacja USA miała być podstawą stabilności świata i gwarancją polskiego bezpieczeństwa. Jak jednak przyznać, że na czele państwa, które jest filarem bezpieczeństwa Polski, stoi prezydent, który to, łagodnie rzecz ujmując, odrzuca system logiki dwuwartościowej? I który to wypowiada się, co najłatwiej zauważyć na jego własnym portalu Truth Social, w sposób nie tylko niezborny i prymitywny, lecz także często wulgarny i obraźliwy – szczególnie pod adresem byłych sympatyków i współpracowników? Beszta ich, ruga, wyszydza, obraża, wyśmiewa. Dziwne doprawdy to skrzyżowanie murzyńskiego króla i satrapy, sprytu i blagi, narcyzmu i przebiegłości.

Relacje polsko-amerykańskie najlepiej opisał kilka dni temu Radosław Sikorski, polski minister spraw zagranicznych i wicepremier (przypominam te funkcje, bo to ważne), który na pytanie, dlaczego Polska przekazuje swoje uzbrojenie Ukrainie, odpowiedział z rozbrajającą szczerością, że jeśli komuś się to nie podoba, niech pyta Amerykanów. Tak, to nie żart. „Mamy taką prośbę ze strony władz sojuszu północnoatlantyckiego [dotyczącą przekazywania przez Polskę pocisków do systemów Patriot na Ukrainę]. Jak ktoś jest przeciwny, to niech to powie Amerykanom" – mówi. Naprawdę, można być zbudowanym taką postawą suwerennego polskiego rządu. Słowa ministra Sikorskiego dobrze pokazują, na czym polega „suwerenność" w relacjach z Waszyngtonem – to nie Polska decyduje o własnych pociskach i to nie Warszawa wie lepiej, co uszczupla, a co nie, jej obronność, tylko… Amerykanie. A jak się komuś nie podoba, to… niech ich się pyta. No kto odważny spróbuje im podskoczyć?

W celu przedstawienia swoich niezwykłych osiągnięć i potęgi prezydent USA zamieścił niedawno mapę półkuli zachodniej i północnej, pokrytą amerykańską flagą. Znalazła się tam też, o dziwo, Islandia. W odpowiedzi rząd w Rejkiawiku zaprotestował, a ambasador USA został wezwany do islandzkiego MSZ. Zastanawiam się, jak zachowałyby się władze polskie, gdyby wielki kartograf (a w takiej roli też występuje prezydent USA) przykrył i nasze państwo amerykańską flagą. Czy i wtedy usłyszałbym, że jeśli komuś się to nie podoba, niech zapyta Amerykanów? ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



TEMAT TYGODNIA

14 WOJCIECH GOLONKA
DLACZEGO ONI SĄ TAK OKRUTNI?
Bezkarność Izraela

17 ADAM WIELOMSKI
SKĄD SIĘ BIORĄ WPŁYWY ŻYDÓW W AMERYCE

KRAJ

20 ROZMOWA Z PROF. ZDZISŁAWEM KRASNODĘBSKIM
CO OZNACZAŁYBY DLA POLSKI NIEMCY POD RZĄDAMI AFD
Stosunki polsko-niemieckie w cieniu wyborów w Saksonii-Anhalcie

24 ŁUKASZ WARZECHA
KONIEC TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO?

26 PIOTR SEMKA
NASTĘPNY NA LIŚCIE. KSIĄDZ STANISŁAW MAŁKOWSKI (1944–2026)

30 ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA
IDEOLOGIA NA TALERZU, CZYLI „DIETA PLANETARNA" OBOWIĄZKOWA

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
POLSKIE DROGI BEZPIECZNIEJSZE NIŻ FRANCUSKIE

KULTURA

34 PIOTR GOCIEK
JAK NETFLIX ZEPSUŁ PRAWDZIWIE POLSKĄ „LALKĘ"
Łęcka i inne emancypantki

37 KRZYSZTOF MASŁOŃ
CIEMNO WSZĘDZIE, GŁUCHO WSZĘDZIE

38 ROZMOWA Z MAŁGORZATĄ CZYŃSKĄ
CZERWONA ZIEMIA OBIECANA

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, GRA, WYSTAWA, KSIĄŻKI

OPINIE

44 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
JAK SZMACIAK ZJADŁ INTELIGENTA
Co zostało po michnikowszczyźnie

47 AGNIESZKA GOLAŃSKA-BAULT
DUSZENIE WIARY. CHRZEŚCIJAŃSCY KONWERTYCI W ALGIERII

50 FILIP MEMCHES
RACJE KOLABORANTA. WIZJA ZJEDNOCZONEJ EUROPY W WERSJI BRUNATNEJ

52 PAWEŁ CHMIELEWSKI
ELON MUSK, SYMULACJA ŻYCIA I TOTALNA WŁADZA

54 KRYSTIAN KRATIUK
BŁOGOSŁAWIONY „MIKROFON PANA BOGA"

HISTORIA

56 MAREK KLECEL
DŁUGI CIEŃ KATYNIA
W pętli sowieckiej zbrodni

ŚWIAT

62 MACIEJ PIECZYŃSKI
PUTIN SIĘ BOI. NIEPOTRZEBNIE
Rosja przed wyborami

65 JAN BOGATKO
KTO WYGRA W STOLICY NIEMIEC?

68 JACEK PRZYBYLSKI
MELONI POKONAŁA BERLUSCONIEGO

EKONOMIA

72 JOANNA BOJAŃCZYK
NIERUCHOMOŚCI PREMIUM
Konkurs splendoru

FELIETONY:

SEMKA (6), GMYZ, GOCIEK (7), ZIEMKIEWICZ, POSPIESZALSKI (8), JASTRZĘBOWSKI (9), ŻEBROWSKI, KOPER (60), PRZYBYLSKI (71), GABRYEL, WARZECHA (74), KOMUDA (76), KOWALCZUK, KARWELIS (79), WIEROMIEJCZYK (80), ROSZKOWSKI (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl c21ff32d6d

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**

SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Filip Memches, Anna Zalewska**

KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski *(korespondent z USA)*, **Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić** *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Łukasz Czarnecki, Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Marek Jurek, Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Michał Krupa, Andrzej Krzystyniak, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Monika Małkowska, Andrzej Nowak, Jacek Pałkiewicz, Maciej Pieczyński, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Adam Wielomski, Dariusz Wieromiejczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Zbigniew Zapert, Łukasz Zboralski**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska, Lidia Lemaniak, Alina Piekarz, Małgorzata Puzyr, Anna Skalska, Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Grzegorz Grzymowicz, Aleksander Majewski, Dawid Sieńkowski**

STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedzielko** (kierownik studia), **Marta Michałowska, Jakub Tański** (skład), **Jacek Nadratowski** (obróbka zdjęć)
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Agata Błaszczyk-Stefaniak, Weronika Trzeciak**

RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Amir Cohen/Reuters/Forum, Ronen Zvulun/AFP/East News, Adobe Stock**

WYDAWCA: **Do Rzeczy SA**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00

Wydawca tytułu, Do Rzeczy SA, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW.

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc
Zarząd Spółki Do Rzeczy SA
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl
BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: +48 508 040 890
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Joanna Nowakowska, Joanna Gosek,
dystrybucja@pmpg.pl, tel. 539 953 631, 508 040 664

DRUK: **Walstead Starachowice**

PRENUMERATA WYDAWNICZA:
Joanna Gosek, Joanna Nowakowska
+48 508 040 664, +48 539 953 631, Od pn.-pt. w godz. 10:00-16:00
e-mail: prenumerata@pmpg.pl, https://subskrypcja.dorzeczy.pl/

PRENUMERATA KOLPORTERSKA:
Kolporter sp. z o.o. (instytucjonalna), tel.: +48 (41) 367 88 88
e-mail: prenumerata.warszawa@kolporter.com.pl, www.kolporter.com.pl
Garmond tel.: +48 (12) 422 14 85, e-mail: prenumerataprasy@poczyta.pl, www.poczyta.pl/prenumerata#prasa
GLM sp. z o.o. tel.: +48 (22) 649 41 61, www.glm.pl
Poczta Polska https://prenumerata.poczta-polska.pl/

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829

NAKŁAD KONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione. © Ⓟ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Zły stan polskiego nauczania

Szanowni Państwo,
w mediach co rusz słychać lament nad kondycją polskiej młodzieży, nauki, innowacyjności. Może warto zastanowić się nad pierwotną przyczyną tego stanu rzeczy.

Przedwojenny uczeń, niezależnie od wyboru kierunku studiów, zdawał maturę pisemną z trzech oraz ustną z czterech przedmiotów, przede wszystkim humanistycznych. Jeszcze w „ciemnej" komunie nawet na egzaminie do liceum kandydat musiał napisać rozprawkę z języka polskiego, czyli popisać się wiedzą liniową (wstęp, rozwinięcie, zakończenie), oraz zdać egzamin ustny. Żeby „zaliczyć", musiał się wykazać znajomością książek.

Po tzw. przełomie do polskiej szkoły wkroczyły zwyczaje zachodnie, a wraz z nimi testy. Obecna minister edukacji, pani Nowacka, wprowadziła zakaz prac domowych. W sumie słusznie – szkołę można przecież ukończyć, znając wyłącznie internetowe hasła, nikt nie wymaga ich rozwinięcia.

Trudno się więc dziwić, że później mamy profesorów o wiedzy węzłowej, typu pań Mróz-Gorgoń czy Płatek, bo rozumniejsi czmychają czym prędzej np. do USA.

Znając „zalety" takiego nauczania, elity oraz ci, którzy mogą sobie na to pozwolić, wysyłają potomstwo do szkół prywatnych, najlepiej katolickich, i na prawdziwe zagraniczne uniwersytety. Wiedzą bowiem, że z próżnego nawet Salomon nie naleje.

Z poważaniem
Ewa Kowynia

Kiedyś... Apel do młodzieży

Kiedyś telefon był tylko na poczcie, były dwie budki wewnątrz poczty, zamawiałeś rozmowę i po połączeniu pani w okienku mówiła: „Jest połączenie. Proszę do budki nr 2". Na wsi telefon był tylko u sołtysa.

Jedyną formą korespondencji były listy; dobre to, bo kształtował się charakter pisma. Oj, jaki był człowiek szczęśliwy, jak dostał list od ukochanej!

Telewizor był tylko w domu kultury; pięknie to wyglądało, mieszkańcy wędrowali z krzesełkami, żeby obejrzeć „Bonanzę" – krzesełek na sali telewizyjnej nie wystarczało dla wszystkich. Dla tych, którzy ulegali wzruszeniom, był serial „Niewolnica Isaura".

Kiedyś tabliczkę mnożenia trzeba było znać jak amen w pacierzu, a kalkulatorem było liczydło. Najlepszą lekcją był WF, nie było w klasie tłuściochów, ale mogli być tacy, którzy mogli polubić nauczycielkę i nie chcieli zmienić klasy.

Uczniów w klasie było czterdziestu paru i było kilka klas w tej samej grupie wiekowej. Mieliśmy po sześć–siedem godzin lekcyjnych dziennie. Przedmioty: język polski, język rosyjski obowiązkowy, matematyka, fizyka, historia, geografia, religia, chemia, biologia, prace ręczne, śpiew oraz ulubiony WF. Może o czymś zapomniałem, ale to się zdarza z wiekiem.

Jeżeli chodzi o prace domowe, to były ze wszystkich przedmiotów, tak że na grę w palanta lub szukanego nie było za dużo czasu.

Kochani, mieliśmy najlepsze uczelnie, a ich dyplomy liczyły się w świecie, nie trzeba było nostryfikować dyplomu.

Nawet nie wiecie, jaka to jest satysfakcja.

Nie mieliśmy telefonów ani komputerów, ale dzięki naszej nauce macie to, czego my nie mieliśmy, doceńcie to, czym jest nauka, i poświęćcie jej trochę czasu.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Wyjaśnienie

W tekście Teresy Stylińskiej „Ojciec, a nawet dziadek Norwegów" („DRz" nr 37/2026) podpis pod zdjęciem powinien brzmieć: „Uroczystość pożegnania króla Haralda V, Oslo, 31 sierpnia 2026 r.". Za pomyłkę Autorkę oraz Czytelników przepraszamy.

Redakcja

eprasa.pl c21ff32d6d

NA PIERWSZY OGIEŃ

Różnice nie wzięły się znikąd



PIOTR SEMKA

Na listach wyborczych komitetu partii w wyborach do Senatu w 2027 r. Konfederacja Korony Polskiej wystawi stu kandydatów; po jednym w każdym okręgu wyborczym" – ogłosił poseł Roman Fritz, jeden z liderów KKP.

„Nie ma woli stworzenia prawicowego porozumienia do Senatu, więc KPP zawalczy samodzielnie" – dodał. Wcześniej zareagował na X na słowa prezydenckiego ministra Wojciecha Kolarskiego, który w rozmowie w TOK FM stwierdził: „Nie widzę możliwości współpracy z Grzegorzem Braunem w ramach tzw. paktu senackiego prawicy. Grzegorz Braun głosi poglądy prorosyjskie. Prezydent Nawrocki w Rosji jest poszukiwany listem gończym". Wcześniej Jarosław Kaczyński wykluczył możliwość współpracy z Braunem, zaznaczając, że KPP to „ugrupowanie, tworzone przez ludzi – jak ocenił – których nie powinno być w życiu publicznym".

Dlaczego się nie udało? Wielu polityków Korony oraz publicystów z tzw. frontu gaśnicowego ułatwia sobie sprawę, tłumacząc niechęć do paktowania z Braunem czy to prezydenta, czy PiS, czy ostatnio Mateusza Morawieckiego za pomocą prostego schematu.

Według niego sprawa jest prosta – to ambasada USA zakazała kontaktów z Koroną, a tym bardziej jakiejkolwiek koalicji z nią, i to o wszystkim zadecydowało. Owszem, prawdą jest, że padły deklaracje ambasadora USA Thomasa Rose'a. Ale kreowanie obrazu relacji: pan ambasador każe – „prezydent i Jarosław Kaczyński muszą", jest bardzo wygodną kliszą. Płynie za nią sugestia, że Konfederacja Korony Polskiej to ugrupowanie mające same zalety i jedynie brutalny zakaz ze strony siły sprawującej „prawdziwą" władzę nad Polską może kogoś skłaniać do dystansu wobec tego ugrupowania.

Tymczasem różnice nie są wymyślone. Deklaracje Grzegorza Brauna, sprzeciwiające się obecności obcych wojsk na terenie Polski, w oczywisty sposób są sprzeczne z działaniami zarówno prezydenta Nawrockiego, jak i PiS w kwestii starań o utworzenie na terenie kraju stałej bazy wojsk amerykańskich. Podobna różnica zdań występuje w kwestii wspierania Ukrainy w jej wojnie z Rosją; rozbieżności są faktyczne i poważne.

Trudno w takiej sytuacji myśleć o jakimś dalekoplanowym sojuszu politycznym. Tym bardziej że publicyści wspierający Koronę od samego początku stosują szantaż w stylu: „Albo Korona wchodzi do paktu senackiego na równych prawach, albo na PiS spadnie odpowiedzialność za dalszą dominację koalicji 13 grudnia w Senacie". Tak się rozbieżności nie rozwiązuje.

W wypadku Kancelarii Prezydenta kilkakrotnie formułowane były w ciągu ostatnich miesięcy wezwania do Grzegorza Brauna, aby usunął ze swego otoczenia parę postaci, które wywołują najwięcej wątpliwości u partnerów z prawicy. Tak się nie stało i są tego konkretne konsekwencje polityczne.

Ciekawe, co w tej sytuacji zrobi Konfederacja Sławomira Mentzena. Jeśli brać deklaracje Romana Fritza na serio, to Korony częściowa koalicja z Konfederacją Mentzena najwyraźniej nie interesuje. Wolność Tomku w swoim domku. ©℗

POCZOBUT WRÓCIŁ NA BIAŁORUŚ

Andrzej Poczobut, dziennikarz, działacz polskiej mniejszości i były więzień polityczny, wrócił na Białoruś. Poczobut z więzienia reżimu Łukaszenki został uwolniony w kwietniu 2026 r. w ramach operacji wymiany więźniów. W ubiegłą środę w Grodnie spotkał się ze współpracownikami ze Związku Polaków na Białorusi. – Takie powroty czasami są tragiczne. Przypominam: Nawalny wrócił, Saakaszwili wrócił, Kara-Murza wrócił – oznajmił szef dyplomacji Radosław Sikorski, pytany o decyzję Poczobuta. ©℗



FOT. ANDRZEJ POCZOBUT/FACEBOOK

CZY KREDYTY BĘDĄ TAŃSZE?

Kredytobiorcy liczący na spadek wysokości rat nie mają powodów do zadowolenia. Zgodnie z prognozami ekonomistów Rada Polityki Pieniężnej w zeszłym tygodniu pozostawiła stopy procentowe bez zmian. Stopa referencyjna wynosi więc nadal 3,75 proc. w skali rocznej. Członkowie RPP wyjaśniają, że do takiej decyzji przyczyniła się niepokojąco wysoka inflacja CPI, która według szybkiego szacunku GUS w sierpniu 2026 r. wzrosła do 3,4 proc. rok do roku z 3,0 proc. rok do roku w lipcu. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

dwaj panowie g



FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Karpacz, Karpacz i po Karpaczu. W tym roku na słynnym Forum Ekonomicznym było nieco nudnawo, gdyż nie dano nam do poprowadzenia żadnego z paneli. Wgląd za kulisy mieliśmy jednak dobry, więc możemy zacząć od wyrażenia głębokiego absmaku. Otóż, jak może wiecie, tytuł Człowieka Roku trafił do niejakiego Dariusza Klimczaka, ministra infrastruktury, peezelowca znanego z tego, że nie jest znany. Pal sześć. Ale tak się składa, że wiemy, kto był jego kontrkandydatem: Andrzej Poczobut, niezłomny bojownik o prawa Polaków na Białorusi, niedawno wydobyty z kazamatów Łukaszenki. Wskazanie Klimczaka ponad Poczobuta? Cóż, niby sprawa nieduża, ale niesmak pozostał.

Tematem tygodnia w Polsce, poza Zondacrypto, były wybory w Saksonii-Anhalcie. Nie jest to land najliczniej zamieszkany przez Polaków, ale znamy trzech, którzy mają podwójne obywatelstwo. Dwóch z nich głosowało na AfD. Trzeci nie chciał się przyznać, na kogo głosował. Co ciekawe, jeden z nich został przekonany do wyboru antypolskiej partii tym, że kilka lat temu opublikowała ona swój program po polsku. Ale dotyczyło to wyborów do Bundestagu. Co ciekawe, znamy też jednego Murzyna i jedną Syryjkę, którzy głosują na AfD. Kiedyś poznaliśmy również Turka, który wybierał tych nazistów. W przypływie szczerości przyznał, że czyni tak, gdyż nienawidzi Arabów. Na Facebooku takie relacje określa się wyrażeniem „to skomplikowane".

Wracając na chwilę do sukcesu AfD w Saksonii-Anhalcie – różni ludzie straszą, że partia ta chce nam zabrać Ziemie Zachodnie i całować się na nich z Putinem. Cóż, szczerze mówiąc, w tej kwestii bardziej obawiamy się polskich ślązakowców niż niemieckich aefdowców. Bardziej interesuje nas to, że AfD jest zdecydowanie przeciw Zielonemu Ładowi. Czemu nas to interesuje? No bo to my wszyscy za niego płacimy.

W KRRiT kolejne zmiany. Pół etatu zyskał tam Łukasz Jasina, słynny – a niektórzy twierdzą, że osławiony – były rzecznik MSZ z czasów PiS. Swoją połówkę etatu odstąpił mu inny człowiek odpowiedzialny za kontakty z prasą. Chodzi o Marcina Kędrynę, który był przez pewien czas szefem biura prasowego u osoby byłego prezydenta Andrzeja Sebastiana Dudy. Kędryna jako Krakus z Lubuskiego postanowił bardziej zaangażować się w sprawy swego miasta w obliczu zbliżających się tam wyborów włodarza miasta.

Tymczasem w prokuraturze coraz liczniejsze oznaki buntu. Pisaliśmy już, że niejaki Korneluk udający prokuratora krajowego zwiał na urlop, żeby nie brać udziału w zamachu na Trybunał Konstytucyjny. To podziałało trochę jak wyzwalacz na niższych rangą. Coraz częściej szeregowi (ale też funkcyjni) prokuratorzy proszą tych, którzy chcą im wydawać polecenia, o sformułowanie ich na piśmie. Miarą braku zaufania jest fakt, że robią sobie ksero lub fotkę takiego polecenia na wypadek, gdyby zniknęło potem tajemniczo z akt. Popularnie nazywa się to dupokrytką.

Rozjaśniamy. A co? No sytuację wokół Szymona Płaczka Hołowni. Jeśli myślicie, że za jego nagłą aktywnością kryje się ochota na powrót do kierowania Polską 2050 albo stanowisko wicepremiera, to jesteście w mylnym błędzie. Otóż rozmaite aktywności Szymona w ostatnim czasie mają jeden cel: bardzo chce on zostać ambasadorem w Watykanie. My to rozumiemy. W końcu, jak mówił na taśmach od Sowy Jacek Krawiec do Pawła Grasia, awansem zagranicznym „odseparowujesz się od tego wszystkiego, od tego syfu". A przecież syf w ostatniej dekadzie mocno się pogłębił.

Biorąc pod uwagę głęboką miłość oraz wdzięczność, jaką Tusk i reszta KO obdarzają Szymona za wszystko, mamy pewne wątpliwości, czy sobie nominację wychodzi. Ale ciekawsze jest to, że sam Szymon przekonany jest podobno, że gdyby się udało, to osoba prezydenta Karola Tadeusza klepnie jego nominację. My uważamy, że autorowi książki „Bóg. Życie i twórczość" należy się Watykan za sam tytuł.

Idzie jesień. Nadchodzi zmiana czasu. Jak wyczytaliśmy w mediach, Komisja Europejska analizuje aż 10 możliwych scenariuszy w sprawie tego, czy, a jeśli tak, to jak i kiedy, przestawiać. Nie znamy tych scenariuszy, ale jako osoby pomocne chcielibyśmy przedstawić swoje. Przesunąć czas o minutę do przodu. Albo dwie. Lub trzy. Ewentualnie kwadrans. Liczyć tylko sekundy nieparzyste. Albo wszystko to odwrotnie. Ogłosić, że czas jest owocem. Życzymy owocnych obrad. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Przesilenie zondowe

Im dłużej Donald Tusk rządzi, tym bardziej aktualne są cytaty ze sławnego „Towarzysza Szmaciaka". Proszę: „W tropieniu gospodarczych przestępstw w taki szlachetny popadł zapał, że się dopiero opamiętał, gdy się za własną rękę złapał". Czyż nie pasuje to do wzmożenia wokół upadłej piramidy finansowej Zondacrypto? Z tą tylko różnicą, że Tusk się nie opamiętał i łapie się za własną rękę raz po raz. Oskarża media prawicowe, że brały od Przemysława Krala reklamy? Zaraz wychodzi, że media rządowe brały od niego znacznie więcej. Sponsorował prawicowe „iwenty"? Ale więcej rządowych i – jako sponsorzy i goście honorowi – przechwalali się tam zondziarze w obecności nieprotestujących ministrów, że konsultowali projekt ustawy o kryptowalutach – ten właśnie, z którego trzykrotnego zawetowania usiłuje Tusk ukuć oręż przeciwko prezydentowi. Obiecywał pieniądze Ziobrze? Owsiakowi nie tylko obiecał, lecz także dał, i to więcej. PiS-owska prokuratura umorzyła śledztwa? Okazało się, że umorzono je w latach 2024 i 2025 i zrobił to prokurator wyznaczony do sprawy przez Bodnara na miejsce „ziobrowego"…

Zaledwie dwa miesiące temu Tusk grzmiał z sejmowej mównicy, że Kral jest agentem Putina. Teraz wyjaśnienia tego agenta są dla niego wiarygodne, gdy je ujawnia – łamiąc prawo, ale bo to pierwszy raz – z sejmowej mównicy. I minister Żurek, który dzień wcześniej publicznie zasłaniał się, że nie może ujawnić materiałów ze śledztwa, bo to przestępstwo, musi połykać własny język, a przecież w jego wypadku grozi to śmiertelnym zatruciem. Rzeczniczka prokuratury wije się jak piskorz przy prostym pytaniu, jaki ma status Kral w śledztwie, w końcu minister przyznaje, że „nie świadka". A więc podejrzanego, nie ma innej opcji. A jednocześnie niedorzecznik Szłapka mówi o obciążających opozycję „zeznaniach" Krala, a przecież zeznawać może tylko świadek; podejrzany, zgodnie z prawem, składa wyjaśnienia, i o ile za fałszywe zeznania grozi do ośmiu lat więzienia, o tyle za kłamliwe wyjaśnienia nic.

Panie premierze, to już nie tylko podłość, to coś dla pana gorszego: śmieszność. ©℗



JAN POSPIESZALSKI

#WARTO

Kasa i seks

Kilka dni temu Maciej Pawlicki przypomniał na X wyznanie sygnalisty Petera Rosta, który wiele lat pracował dla Pfizera: „Nie wymyślaliśmy leków, wymyślaliśmy rynki".

Przypominam sobie, jak w 2005 r. z redakcją „Warto rozmawiać" ustaliliśmy, że za napisanie i wydanie książki „Seks na szóstkę" zapłaciła niemiecka firma produkująca antykoncepcję. 1 września uczniowie, idąc do szkoły po wakacjach, mieli otrzymać darmowy egzemplarz. Z agencji PR-owskiej, promującej książkę, udało się nam pozyskać nie tylko materiały prasowe, lecz także – w chwili nieuwagi obsługi – cały folder. Okazało się, że obok tekstów dla prasy w wewnętrznych dokumentach znaleźliśmy strategię koncernu.

Z symulacji rynkowych wynikało, że porównując populację potencjalnych klientek – kobiet w wieku prokreacyjnym w Niemczech i w Polsce – u nas jest milionowa grupa kobiet, które nie stosują antykoncepcji. Istotnym czynnikiem był wiek inicjacji seksualnej, który wtedy w Polsce był o dwa lata późniejszy niż w Niemczech. Wysiłek koncernu skupił się zatem na tym, by uczniowie wcześniej podejmowali współżycie! Stąd książka „Seks na szóstkę" autorstwa dr. Grzegorza Południewskiego i dziennikarki TVP, Anny Mentlewicz, która oprócz tzw. edukacji seksualnej reklamowała antykoncepcję.

To był czas, gdy do szkół wprowadzono wychowanie do życia w rodzinie. Program fachowo, z delikatnością traktował sprawy dojrzewania i płciowości. Seksualność umieszczona była w kontekście miłości, relacji, małżeństwa i odpowiedzialności. WDŻ było programem skutecznym. Porównując sytuację w Polsce z sytuacją rówieśników w Europie Zachodniej (gdzie edukacja ukazuje seksualność wypreparowaną z relacji, odpowiedzialności i małżeństwa), w tej drugiej odsetek wczesnych aborcji i przemocy seksualnej u nieletnich był nieporównanie większy! Zastąpienie dziś WDŻ edukacją zdrowotną ma więc i taki kontekst. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



ĆWIERKOT

Rarytasy Szłapki



SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

I wtedy na mównicę wszedł Szłapka, Szłapka Adam (lat 42 rocznikowo, w grudniu kończy), rzecznik prasowy Tuska, Tuska Donalda (dajmy spokój z wiekiem, no dobra 69 lat, jak już koniecznie chcą państwo wiedzieć), i zaczął mówić. I wszyscy wiedzieli, że nadciąga nieszczęście. Stop. I nadciągnęło. Stop. W jednej wypowiedzi ów skromny człowiek (chodzi mi tu o inteligencję) zawarł kilka rarytasów. Stop. Wypowiadając się o tzw. zondaaferze i Przemysławie Kralu, rzekł, że Kral jest oskarżony, a nie jest, gdyż nie ma aktu oskarżenia, o rany! Stop. Powiedział, że Kral zeznawał pod przysięgą, a nie zeznawał, gdyż ponoć jest podejrzany, więc wtedy może wyjaśniać wyłącznie, zresztą co mu się tam podoba, o rany! Stop. A na końcu atomnął, znaczy zdetonował atom, mówiąc, że Kral jest niewiarygodny (!). Stop. Dobra tam, ja nie wiem, czy Kral jest wiarygodny czy nie jest, ale wiem, że podekscytowany premier (napisałem najpierw „podniecony", ale wymieniłem na „poekscytowany", żeby nie zaniżać, a wysoko, to już naprawdę z tym Szłapką nie jest), czyli szef pana Szłapki cytował słowa Krala w Sejmie, jako dowód przeciw opozycji, znaczy głównie PiS i prezydentowi. Stop. No to jak? Premier wychodzi i jakieś bzdury nam cytuje, czas zabierając? Niewiarygodne nieszczęście, niewiarygodne. Stop.

Najbardziej znany doktorek z partii Donalda Tuska, Dawid Kacprzyk, od trzech miesięcy nie został ani zatrzymany, ani przesłuchany, ani nie zabezpieczono mu majątku, mimo że według ustaleń dziennikarzy wyłudzał gigantyczne pieniądze ze Szpitala Południowego w Warszawie (sam chciał oddać pół miliona), a na SOR-ze, którym rządził, w dziwnych okolicznościach umierali ludzie. Kacprzyk cieszy się wolnością i Porsche Panamerą, którą jeździ, szukając sobie jakiegoś zajęcia. Stop. Przesłuchano natomiast w trybie natychmiastowym Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz w sprawie jakiegoś VAT 700 zł. Stop. Pełczyńska-Nałęcz nie jest jednak z KO, tylko z Polski 2050, i czasem udaje, że się Tuskowi stawia, a wtedy dochodzi do przesłuchań i tak będzie to trwać jeszcze rok.

Maciej Berek chce zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego, ale nie może, bo nie ma doświadczenia 10 lat pracy jako radca prawny. Stop. Niemniej chce tak bardzo, że mówi, że może. Stop. Niestety, obiektywnie nie może, bo nie spełnia warunków, ale Tusk mówi, że może, i Czarzasty, że też może. Stop. Ale ludzie prezydenta mówią, że nie może, ale on uważa, że może. Stop. Tu skończę, bo Berek nie może. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

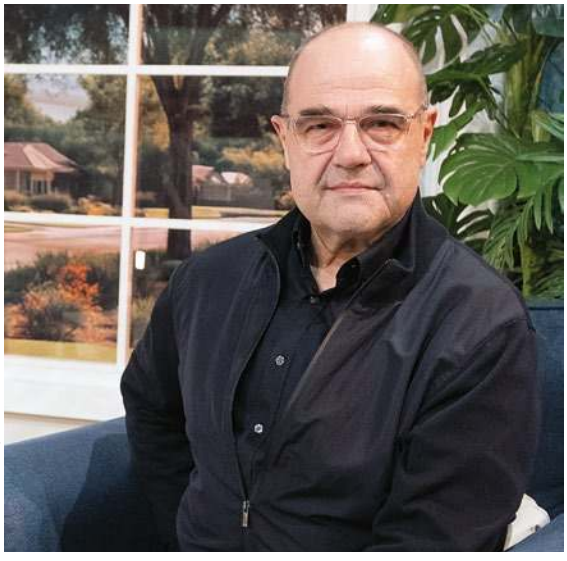


ZUZANNA DĄBROWSKA-PIECZYŃSKA

GWIAZDOBZDUR

RANCZO ANTY-PREZYDENCKIE

Aktor Cezary Żak pojawił się na jesiennej konferencji ramówkowej TVP. Na scenie ustawiono charakterystyczną ławkę, znaną bardzo dobrze fanom serialu „Ranczo" – a to z okazji zbliżającej się premiery nowego, bardzo oczekiwanego sezonu. To właśnie na takiej ławce bohaterowie komentowali polską politykę i problemy społeczne. Wykorzystując to skojarzenie, Żak niespodziewanie nawiązał do działalności urzędującego prezydenta. – Tak sobie pomyślałem, że se siądę na ławeczce, chociaż ja, jako prezydent tego kraju, nie siadłem, ale coś se zawetuję – powiedział Cezary Żak. Sala wybuchła śmiechem i rozległy się brawa. Do słów aktora odniosła się prowadząca konferencję Agnieszka Woźniak-Starak. – Tak, faktycznie mało mamy tych wet... – skwitowała. Jeżeli nowy sezon „Rancza" będzie tak „zabawny" jak te żarty, to strach się bać.



FOT. MATEUSZ KOTOWICZ/REPORTER

PRAWICOWA? NIE PYTALI

Tancerka i prezenterka telewizyjna Ida Nowakowska, przez lata związana z TVP, a po zmianie władzy pracująca dla Polsatu, kojarzona była z poglądami konserwatywnymi. Podkreślała swój patriotyzm, przywiązanie do tradycyjnych wartości, a nawet powiedziała kilka dobrych słów na temat prezydenta Karola Nawrockiego. Teraz jednak w rozmowie z portalem Pudelek odniosła się do przypisywanej jej łatki. Nowakowska stwierdziła, że tak naprawdę nikt nie pyta jej bezpośrednio o poglądy. – A kto wie, jakie ja mam poglądy? Bo nigdy nie byłam pytana o poglądy. Ludzie często myślą: „O, ja wiem wszystko o tej osobie", ale żeby wiedzieć wszystko, trzeba zadać jej pytanie – zauważa gwiazda TV. Dodała, że w polityce każdą kwestię rozpatruje osobno i ma własne zdanie. – Ja nie idę za głosem ludzi. Uważam, że to jest bardzo, bardzo niebezpieczne. W ogóle skrajności, ekstremy są niebezpieczne czy w polityce, czy w ogóle w życiu. Uważam, że to prowadzi do katastrof [...]. Uważam, że to jest bardzo, bardzo krzywdzące dla kogokolwiek i w ogóle dla życia i dla funkcjonowania w społeczeństwach, kiedy się wkłada kogoś albo jest się częścią ogólnika – podsumowała. Zaskoczeni?

MARIANNA CHCE WOLNOŚCI

Wiosną 2024 r. opinia publiczna usłyszała o rozstaniu Łukasza i Marianny Schreiberów. Wydaje się, że minęło dużo czasu, aby zamknąć temat. Ale nie, nie, Marianna nie odpuszcza. Celebrytka podkreśla, że jako osoba wierząca chce ułożyć sprawy prywatne tak, by w przyszłości móc ponownie wziąć ślub kościelny. W tym celu złożyła dokumenty w Sądzie Metropolitalnym – zależy jej na tzw. rozwodzie kościelnym. Wielu internetowych obserwatorów zarzuca Mariannie hipokryzję – chętnie bowiem relacjonuje swoje kolejne związki, a teraz chce „rozwodu kościelnego". Jak przekonuje Schreiber, rozstanie z mężem nie przynosi jej satysfakcji, ale było nieuniknione. – Moi drodzy, wielokrotnie czytam komentarze, od kiedy wspominałam o unieważnieniu ślubu kościelnego, że jaki to katolik, co się cieszy w ogóle z rozwodu, a już na pewno nie z unieważnienia ślubu kościelnego itd. I powiem wam szczerze na własnym przykładzie. Myślę, że żaden katolik się nie cieszy z rozwodu. Żaden katolik się nie cieszy z rozwodu, ale cieszy się ze spokoju i z wolności – stwierdziła na Instagramie. Jak dodała, starania przed sądem kościelnym to nie powód do dumy, ale konieczność. – I czasami to jest tak, że trzeba zdecydować ponad wartości, jakie się wyznaje. Ponad to wszystko. Po prostu. Żeby ratować siebie. Ratować siebie i czasami również całą resztę. Więc odpowiadając na Wasze komentarze, to nie jest tak, że ja jestem z tego dumna czy się o to modlę. Nie. Ale po prostu potrzeba mi tego do mojego życia. I nie tylko mojego – podsumowała.

ROZWÓD Z ŁOSIEM W TLE

Skoro o rozstaniach – to niedawno lotem błyskawicy media obiegła informacja o rozwodzie trenerki fitness Ewy Chodakowskiej z mężem Lefterisem Kavoukisem. Para wzięła ślub 13 lat temu i przez ten czas uchodziła za niezwykle zgodną. Influencerka zapewniła, że rozstają się w przyjacielskich okolicznościach. Niby naprawdę trudna i przykra sytuacja, ale Chodakowska wykorzystuje ją do podbicia medialnego zainteresowania jej osobą. I tak np. postanowiła zdradzić, „z kim mieszka" na greckiej wyspie Mykonos po rozstaniu z partnerem. „Pytana jestem, kto jest moim współlokatorem na Mykonos... Spieszę uspokoić ciekawość. Oto on. Łoś. I choć jego natura mogłaby sugerować co innego... ani razu nie palnął żadnej głupoty. Inteligentny, kulturalny, nie zadaje niedyskretnych pytań i, co najważniejsze, wie, kiedy milczeć. Czy jest uparty? Możliwe. Od mojego przyjazdu nie ruszył się ani o centymetr. Ma jeszcze chwilę, żeby mnie zaskoczyć..." – napisała na Instagramie, pokazując na rzeźbę zwierzęcia. Obecny-zaraz-były-mąż mógł się poczuć niezręcznie. Nikt nie chce zostać porównany do łosia. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, jesteśmy dumni z naszego postępowego Krakowa. Przez lata musieliśmy znosić docinki ze strony warszawskich znajomych, a także nieco się wstydzić na organizowanych w stolicy konferencji biznesowej, iż pochodzimy z miasta, które w powszechnej świadomości funkcjonuje jako „tradycjonalistyczne", „konserwatywne" i bywa nazywane pogardliwie „Krakówkiem".

A tymczasem ten rzekomy „Krakówek" pokazał, iż to wszystko, co się przywykło o nim mówić, to nie jest prawda i kandydat Konfederacji na prezydenta miasta nie zdołał zdobyć wymaganej ustawowo liczby podpisów, aby wystartować w wyborach.

Jednocześnie znalazło się wystarczające poparcie, aby w wyborach mogły się zarejestrować dwie progresywne waginoosoby z lewicowych ugrupowań, czyli Aleksandra Owca z Partii Razem (mało szanujemy, iż razemki nie chcą wziąć odpowiedzialności za Państwo i wejść do koalicji!) oraz Daria Gosek-Popiołek z Nowej Lewicy (szanujemy w opór jako wiernych przybocznych pana Premiera). A do tego mamy jeszcze wśród kandydatów Monikę Piątkowską z Koalicji Obywatelskiej oraz Łukasza Gibałę, któremu wrażliwością chyba też bliżej do liberalnej lewicy.

Sami więc widzicie, iż w Krakowie mamy nagle nadmiar bogactwa i trudno się będzie zdecydować, na kogo oddać głos. Pogłoski o konserwatyzmie naszego miasta są mocno przesadzone, iż poza tym od zawsze jesteśmy silni razem i pełni poparcia dla PO i KO. Dlatego prosimy znajomych z Warszawy, aby zupdatowali sobie sposób myślenia o Krakowie, bo u nas naprawdę jest postępowo, a po wyborach może być jeszcze postępowiej!



Nie możemy przestać kisnąć z prawaków prześladowanych dietą planetarną w szkołach xD. Od tygodnia obserwujemy tylko coraz to nowe zdjęcia jadłospisów, jakie latają po fejsbuniu i twitterku i dramatyczne ogłoszenia typu „moje dziecko nie chce w szkole jeść obiadów". Nagle każdy konfiarz to specjalista od wchłaniania białka, aminokwasów i łączenia tłuszczów z witaminami, co wszędzie i zawsze nosi przy sobie wiadro skyru i płatki owsiane.

W ogóle to mamy wrażenie, iż jakiejś zbiorowej histerii dostali oni wszyscy z powodu nazwy „dieta planetarna". Iż wiecie, w umyśle takiego prawaka słowo „planeta" od razu rodzi skojarzenia ekologiczne, środowiskowe – i słusznie! – których oni się tak bardzo boją.

Gdyby bowiem taką dietę nazwać opisowo, że dwa razy w tygodniu smażone, raz ryba, dwa – zupy warzywne i jeden raz strączki, to nikt by się nie zainteresował, iż jak wiadomo w polskiej nieneutralnej szkole na obiad w piątek ryba musi być, smażone w domu wiadomo – pojawia się, strączki też nie takie straszne, bo każdy Janusz się zajada fasolką po bretońsku (ze szkodą dla planety akurat, jeśli wiecie, o co nam chodzi), a ogórkową czy pomidorową to przecież każdy zje i nawet nie poczuje, na jakim jest wywarze.

No ale że padło magiczne dla Janusza słowo „planetarna", to prawie tak jakby usłyszał, że coś jest „ekologiczne", a to wiadomo – lewactwo i Unia Europejska. Ciekawe, co zrobiłby taki Janusz, gdyby się dowiedział, iż jego placki ziemniaczane z cukrem są wegańskie xD, chyba do końca życia nie spojrzałby na ziemniaka xD. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Dożywocie

Donald, te ceny paliwa zaczynają nam szkodzić. Trzeba coś zrobić.
Dobra, Adam. Dajmy dożywocie.

Że za kupowanie benzyny? No w sumie... popyt by spadł, to i ceny też.
Nie, benzynę to trzeba przykryć, i o tym mówię. Za przejechanie na czerwonym.

W ogóle?
Myślałem, że na przejeździe.

Wiesz, w ramach zmian po tym wypadku. Ale w sumie może być wszędzie.

Myślisz, że to jednak nie za ostro?
Dobra, dajmy 25 lat. Ale bez warunkowego zwolnienia. ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Rządowi rośnie poparcie, bo ruszyły rozliczenia. Im ich będzie więcej i na ostro, tym poparcie będzie wyższe".

ELIZA MICHALIK, *publicystka, na X*

eprasa.pl c21ff32d6d



prasa.pl-c21ff32dcd

CHIŃSKO-EUROPEJSKI ARKTYCZNY JEDWABNY SZLAK

W tym tygodniu do portu w Gdyni powinien dotrzeć mierzący ponad 175 m długości kontenerowiec „Dubai Tower". Dlaczego to ważne? Bo to właśnie w polskim porcie kończyć się ma nowy, regularny chińsko-europejski szlak handlowy.

Kontenerowiec obsługiwany przez chińskiego operatora Sea Legend Shipping w rejs do Europy z Ningbo-Zhoushan, we wschodnich Chinach, wyruszył 15 sierpnia. Statek trasę miał pokonać w błyskawicznym tempie, ponieważ płynął przez Arktykę, a nie cieśninę Malakka, Kanał Sueski i coraz bardziej niestabilne oraz niebezpieczne akweny Morza Czerwonego. Nowa trasa prowadzi m.in. przez Cieśninę Beringa, Północną Drogę Morską (NSR), Teesport w Wielkiej Brytanii, Rotterdam w Holandii oraz Hamburg w Niemczech.

Połączenie wykorzystujące Arktyczny Jedwabny Szlak powinno pozwolić chińskim eksporterom na dalsze obniżanie cen takich towarów, jak elementy samochodów elektrycznych, magazyny energii, moduły fotowoltaiczne czy baterie trakcyjne (tego typu produkty znalazły się w ok. 1,5 tys. kontenerów na pokładzie „Dubai Tower"). Arktyczna trasa jest bowiem nie tylko istotnie krótsza od szlaków wokół Afryki i niemal o połowę szybsza, lecz także istotnie tańsza od transportu kolejowego.

Kolejne kontenerowce w arktyczną trasę mają wypływać co tydzień. Połączenie ma jednak tę wadę, że obecnie jest możliwe tylko w sezonie nawigacyjnym, czyli tylko w szczycie lata na półkuli północnej. Jest też w dużym stopniu zależne od Rosji.

Chiny nie są jedynym krajem, który chce wykorzystać nowe szlaki. Z arktycznej trasy handlowej już w sierpniu 2018 r. skorzystała duńska firma Maersk, wówczas jeszcze największy morski przewoźnik na świecie. Rejs kontenerowca „Venta Maersk" miał charakter testowy, a nie regularny, komercyjny.

Swoje interesy handlowe w żegludze przez Przejście Północno-Zachodnie u wybrzeży Alaski i przez Północny Atlantyk zamierzają rozwijać również Stany Zjednoczone. ***(jap)*** © ℗

FOT. SCOTT HEPPELL / REUTERS / FORUM



eprasa.pl c2 tf32dod



Wojciech Golonka



Itamar Ben-Gwir podczas corocznego marszu z okazji Dnia Jerozolimy, 14 maja 2026 r. FOT. AMMAR AWAD/REUTERS/FORUM

Oni mogą więcej – do czasu

Ben-Gwir ze swym „radykalizmem" to języczek u wagi dla koalicyjnych rządów Netanjahu, stosunkowo łatwo, tym samym, narzucający swe skrajności. Tak przynajmniej może tłumaczyć się swym kluczowym partnerom z zagranicy, bez których udziału sam proceder depopulacji Gazy byłby niemożliwy, zasłaniając się rzeczywistymi lub tylko urojonymi kłótniami wewnątrz koalicji

Na pytanie, dlaczego przedstawiciele izraelskich elit pozwalają sobie zarówno na słowa, jak i czyny natury depopulacyjnej względem Gazy i Palestyńczyków, a teraz także w Libanie, najprostsza odpowiedź brzmi: bo mogą. Ma się rozumieć, ta prosta konstatacja nie tłumaczy, dlaczego mogą, ponieważ mało kto na tym padole może sobie dość bezkarnie pozwalać na deklaracje, a tym bardziej na działania, które spora część ludzi na świecie odbiera jako dokonywanie lub przynajmniej propagowanie ludobójstwa, zresztą instynktownie obcego naszym fundamentom cywilizacyjnym.

„NIELUDZIE" WEDŁUG BEN-GWIRA

Fatalny prym pod tym względem, w dyskursie, ewidentnie zorientowany na część izraelskiego elektoratu (a przypomnijmy, że w październiku mają odbyć się wyboru do Knesetu), wiedzie minister bezpieczeństwa narodowego Izraela, Itamar Ben-Gwir. To on w sierpniu deklarował wprost, co najwyraźniej politycznie mu się opłaca: „Myślę, że w Gazie powinny być przeprowadzane ukierunkowane zamachy: po 30–40 każdej nocy. I nie tylko na tych, którzy stanowią bezpośrednie zagrożenie. Są tam ludzie, którzy nie zasługują na życie. Nie powinni żyć. To nawet nie są ludzie". Tysiąc ludzi (w sumie „nieludzi") zabijanych prewencyjnie miesięcznie, kilkanaście tysięcy „nieludzi" rocznie: prawdę mówiąc, ten oficjalny plan kontynuacji depopulacji Gazy zamiast pokoju koreluje z dotychczasową zatrważającą liczbą zabitych w Gazie po 7 października 2023 r., która wedle danych międzynarodowych instytucji wynosi ok. 73,5 tys. zabitych bezpośrednio, z czego ponad 21 tys. to dzieci (w tym ponad 5 tys. poniżej piątego roku życia) i przeszło 11 tys. kobiet.

Aby nie zostać uznanym przez Ben-Gwira za „nieczłowieka" nadającego się do prewencyjnej eliminacji, z Gazy najlepiej chyba uciec („humanitarnie emigrować") – byle zdążyć na czas. Przy tej samej okazji sierpniowej wypowiedzi wskazywał on bowiem na następującą alternatywę, ukierunkowaną na całkowite przejęcie tego terytorium: „Całą Gazę uważam za naszą. Osiedla nie tylko w Gush Katif, lecz także w całej Gazie, zachęcanie do jak największej emigracji, wysyłanie ich do ich krajów, a dla terrorystów – żadnej emigracji, nic, po prostu zabijać ich jednego po drugim". Zresztą zdanie „ucieczka albo śmierć" było – jak widać – hasłem przewodnim systematycznie i intencjonalnie dokonywanej od trzech lat depopulacji Gazy z jej rdzennych mieszkańców. „Zachęcać ich do wyjazdu. To rozwiązanie słuszne, sprawiedliwe, moral-

eprasa.pl c21ff32d6d

ne i humanitarne" – perorował Ben-Gwir już w styczniu 2024 r. Zachęcać… czyli: „Pełna okupacja Gazy. Wszystkiego. Pełne izraelskie rządy, żydowskie osadnictwo". Tak naprawdę wypowiedzi tego pokroju to w sumie u Ben-Gwira pospolity lejtmotyw, stosunkowo jasno naświetlający wdrażane przez Izrael środki. Albowiem skoro Gaza ma być ewakuowana, to jaki jest sens jakiejkolwiek dlań pomocy humanitarnej? Tak właśnie rozumował on w październiku 2023 r.: „Dopóki Hamas nie uwolni zakładników, których trzyma, dopóty jedyną rzeczą, która powinna wejść do Gazy, są setki ton materiałów wybuchowych sił powietrznych i ani gram pomocy humanitarnej". Jak dziś wiadomo, nie była to zwykła emfaza retoryczna, a raczej mocno zaniżony zwiastun: w zależności od szacunków mówi się wszak o od 70 tys. do ponad 200 tys. ton ładunków wybuchowych zrzuconych na Gazę, a i same ofiary śmiertelne wśród pracowników humanitarnych liczone są w setkach.

Te jakże makabryczne, a wymowne wypowiedzi Ben-Gwira nie potrzebują zbytniego komentarza, co najwyżej nakreślenia nieco właściwego im kontekstu. A ten byłby niepełny bez podkreślenia, że choć sam Ben-Gwir reprezentuje stosunkowo drobną partię w Izraelu (Żydowska Siła), cieszącą się poparciem jedynie na poziomie 5–7 proc., to sama jego postać wśród żydowskich wyborców cieszy się pozytywnym odbiorem wśród ponad 30 proc. obywateli. Innymi słowy, Ben-Gwir ze swym „radykalizmem" to, owszem, języczek u wagi dla koalicyjnych rządów Netanjahu, stosunkowo łatwo, tym samym, narzucający swe skrajności; tak przynajmniej łatwo tłumaczyć się swym kluczowym partnerom z zagranicy, bez których udziału sam proceder depopulacji Gazy byłby niemożliwy, zasłaniając się rzeczywistymi lub tylko urojonymi kłótniami wewnątrz koalicji. Zresztą w warunkach konfrontacji wojennej tę brutalną przemoc, słowną i w czynach, łatwo wpisać w narrację samoobrony, akceptowalną dla części odbiorców w spirali eskalacji. Stąd nie dziwią doniesienia medialne o „hodowaniu" Hamasu przez izraelską prawicę, w tym najświeższe oskarżenia, że Netanjahu celowo nie zapobiegł atakom z 7 października 2023 r., o których miał wcześniej wiedzieć.

Ben-Gwir zatem, choć reprezentujący politycznych ekstremistów, nie jest w ogóle odizolowanym wyjątkiem i polityczną anomalią. Jego wypowiedzi, zwłaszcza te ostatnie, którym towarzyszą przecież konkretne, stałe działania, można by zestawić z dwoma świeżymi faktami, które potwierdzają, że na razie kurs zastraszania czy nawet eliminowania pozostaje w Izraelu bezkarny. W rzeczy samej, każdy głośniejszy akt rażąco nieuzasadnionej przemocy na cywilach ze strony obywateli Izraela, wywołujący znaczne poruszenie na świecie, skutkuje deklaracjami tamtejszych przedstawicieli władz, mającymi najwyraźniej zdusić międzynarodową krytykę, zapewniających, że wszczęto stosowne postępowania wyjaśniające, a sprawiedliwość zostanie zapewniona. Otóż właśnie pod koniec sierpnia australijska telewizja ABC wyemitowała rozmowę z płk. Nochim Mendelem (nagraną jeszcze w zeszłym roku), w której potwierdził on, że w kwietniu 2024 r. dowodził atakiem dronowym, który zabił siedmiu pracowników organizacji World Kitchen Central, w tym Polaka Damiana Sobola. Mendel w wywiadzie wyznał bez ogródek: „Nie przepraszam za to, co zrobiłem" (tudzież, w innym tłumaczeniu: „nie żałuję tego"), bo – jak twierdził – nie miał intencji zabicia pracowników humanitarnych, których błędnie uznano za uzbrojonych terrorystów, i po prostu trzymano się procedur.

Pomyłki, czasem nawet urojenia, zdarzają się nie tylko wojskowym, błędnie rozpoznającym „nieludzi" tam, gdzie jednak, być może, znajdowali się (do pewnego stopnia?) jacyś ludzie. Drugim, głośnym w ostatnim czasie wydarzeniem, związanym z brakiem ponoszenia odpowiedzialności w Izraelu, było uniewinnienie mężczyzny, który w kwietniu br. pobił (skopał) francuską zakonnicę na Górze Syjon w Jerozolimie. Sprawa, uwiarygodniona nagraniem z monitoringu, była bardzo głośna – francuskie MSZ domagało się zdecydowanych działań, których konkluzji trudno jednak nie kojarzyć z farsą. Otóż izraelski sąd właśnie uznał sprawcę za niepoczytalnego swego czynu, gdyż według ekspertyz miał on działać w amoku. Wprawdzie tego niewinowajcę na wszelki wypadek umieszczono w zakładzie psychiatrycznym, wątpliwe jednak, aby ta izolacja przywróciła chrześcijańskim duchownym w Ziemi Świętej właściwe poczucie bezpieczeństwa, gdzie notorycznie są oni przedmiotem szykan, w tym nawet przemocy ze strony co gorliwszych Judejczyków żądających oczyszczenia kraju z obecności tej zakały.

BEZ ODPOWIEDZIALNOŚCI

Wobec tych różnych, acz dość harmonijnie uzupełniających się faktów powstają pytania: Czy trzeba wielkiego wysiłku wyobraźni, aby zastanowić się, co by się działo, gdyby, nie daj Boże, jakiś rabin został skopany w jednym z krajów Europy, a wymiar sprawiedliwości uznał jego sprawcę za po prostu chwilowo niepoczytalnego? Co by było, gdyby jakiś dowódca, dajmy w ramach misji w Afganistanie, odpowiedzialny za omyłkową śmierć cywili, powiedział w telewizji, że nie żałuje ich zabicia, gdyż po prostu błędnie zidentyfikował ich za talibów? Co by było, w końcu, gdyby któryś z wiodących polityków zachodnich mówił o jakiejś części ludzkości, desygnowanej zbiorowo najwyraźniej na podstawie etnicznego pochodzenia, że nie są oni ludźmi?

Zauważmy, że media zachodnie, owszem, nie milczą systematycznie, ale nie zachodzi coś takiego, że nie dadzą spokoju Izraelowi i zagranicznym politykom na co dzień ich wspierającym dopóty, dopóki np. taki Ben-Gwir nie straci teki ministra, dany pułkownik nie okaże skruchy i nie poniesie odpowiedzialności, a uliczny rzezimieszek zamiast wypoczynku w psychiatryku nie pójdzie ucywilizować się do więzienia – a właśnie tak postępowałyby te media, gdyby jakikolwiek minister w Europie (poza Ukrainą, cieszącą się dość podobnym immunitetem, gdy idzie o rasizm czy neonazizm) mówił dziś np. o eliminowaniu „nieludzi". Otóż ten brak woli rzeczywistego rozliczania kogokolwiek ma różne przyczyny, ale tę najważniejszą, polityczną, da się jasno rozpoznać: to jawna orientacja Białego Domu, a także amerykańskiego Kongresu, zapewniających w praktyce, gremialnie, bezkarność dla podobnych słów i czynów.

Zauważmy, że w zasadzie wszystkie pytania o nadużycia, o bezprawie, o ludobójstwo, o anihilację Gazy spotykały się zazwyczaj z jedną i tą samą odpowiedzią amerykańskich władz: Izrael ma prawo do samoobrony, sugerując jakby w domyśle, że prawo do samoobrony automatycznie musi tolerować najróżniejsze nadużycia.

eprasa.pl c21ff32d6d

Ma się rozumieć, taka narracja polityczna jest niezwykle trudna do utrzymania w chwili, kiedy – choć pozbawione na razie skutków – z całego świata płyną oskarżenia o celowe ludobójstwo w Gazie i, mimo natężonej walki o dominację narracji, głosy te przebijają się do mediów, czasem ciszej, czasem głośnej. Tak, taka narracja polityczna jest „naturalnie" nie do utrzymania w zderzeniu z faktami, jak widok Gazy widma, stąd musi być ona, wobec utraty zaufania społecznego, sztucznie i jakby na siłę utrzymywana niesłychanym wysiłkiem pieniędzy, propagandy, nacisków, a kto wie, czy nie kompromatów (wydźwięk afery Epsteina jest tu niechlubnie wymowny). Prawdopodobnie nie zdajemy sobie do końca sprawy, do jakiego stopnia ta wielopoziomowa walka wrze właśnie w Stanach Zjednoczonych, a to dlatego, że sprawa Izraela, nieprzerwanie sprawująca rząd dusz nad amerykańską polityką zagraniczną od czasów śmierci prezydenta Kennedy'ego, traci poparcie wśród Amerykanów, w szczególności wśród młodego pokolenia.

Nie trzeba być specjalistą od stosunków międzynarodowych, by dostrzec, że Stany Zjednoczone sankcjami sparaliżowały Międzynarodowy Trybunał Karny w Hadze (który ściga nie państwo, lecz konkretnych sprawców). Samej depopulacji Gazy (nie mylić ze zbrodnią ludobójstwa) nie trzeba zresztą dowodzić: zamiar opróżnienia terytorium jest jawny, a skutek – częściowo już faktem. Te rozróżnienia czy niuanse pozostają jednak w dużej mierze próżne, skoro Departament Stanu z góry traktuje wszelką krytykę izraelskich ministrów jako antysemityzm – tak jakby polityki rządu Beniamina Netanjahu nie piętnowali ludzie życzliwi Państwu Izrael, w tym sami Żydzi i część izraelskich elit politycznych oraz wojskowych.

Poziomów rozmywania odpowiedzialności jest zresztą więcej: nawiedzeni pastorzy i pastorki dwoją się i troją, próbując, wbrew zdrowemu rozsądkowi, utrzymać wśród amerykańskich ewangelików bezwarunkowe poparcie dla wszelakiej polityki Izraela i prób odbudowy Świątyni Jerozolimskiej, obiecując w zamian Boże błogosławieństwo. Wtórują im kardynałowie, z własną odmianą herezji chrześcijańskiego syjonizmu, broniący, bardziej niż królewskiej godności Kościoła, rzekomo trwającego Bożego synostwa Synagogi



Prezent urodzinowy od żony dla Itamara Ben-Gwira – tort z motywem szubienicy

FOT. X.COM/THE_NEWARAB

i przewidzianych ongiś dlań obietnic… których literalne brzmienie w Starym Testamencie oznacza przecież dominację Izraela nad całym światem i nieżydami! Ten wątek jest tym bardziej istotny, że to akurat nieprzepracowany przez wyznawców judaizmu fakt ustania swego przeszłego, nadprzyrodzonego wybraństwa mesjanistycznego pokutuje do dziś możliwymi mrzonkami o wyższości rasowej żydów nad gojami, czego dehumanizujące Palestyńczyków poglądy Ben-Gwira są dobitnym przekładem, napędzając tym samym antysemityzm, który to kościelni hierarchowie próbują swą pokrętną teologią zwalczać.

KIEDY KONIEC BITWY O RZĄD DUSZ?

Najbardziej jednak dostrzegalnym, gdyż zażartym polem bitwy o wpływy, z których to wynika właśnie amerykańskie „carte blanche" na depopulację Gazy (zgodę interpretowaną przez Tel Awiw rozszerzająco na południowy Liban, a może i Zachodni Brzeg), są bez wątpienia Internet i media społecznościowe, gdzie Izrael zdaje się w tej chwili przegrywać bitwę o rząd dusz w świecie zachodnim. Nie chodzi mi bynajmniej o pokaźne zasięgi samej propagandy irańskiej czy zasadniczo antyizraelskiej w ramach ścierania się geopolitycznych wpływów – po prostu w sieci nie brak z jednej strony wspomnianych już obrazów Gazy w doszczętnych gruzach czy niszczonego obecnie Libanu, z drugiej – świadectw samych Żydów afirmujących, że nie chcą mieć z tą destrukcją czy kaźnią Palestyńczyków cokolwiek wspólnego.

Dla przykładu: działający w Kalifornii naukowiec Shaiel Ben-Ephraim, mający na portalu X ponad 115 tys. obserwujących, opublikował wpis z zasięgiem ponad 1 mln wyświetleń, stanowiący komentarz do nagrania telewizji CBS z 1988 r., uwidaczniającego bicie kamieniami palestyńskich pasterzy przez izraelskich wojskowych: „W takim Izraelu dorastałem, myśląc, że jesteśmy tymi dobrymi. Ale oto, jacy zawsze byliśmy. Przez całe życie mnie okłamywano".

Podobnym komentarzom towarzyszy zorganizowana akcja, za którą równie dobrze mogą stać obce służby, ale która doskonale trafia we frustrację Amerykanów, potęgowaną uwikłaniem USA w wojnę z Iranem. „Who Funded Genocide" („Kto finansował ludobójstwo") to internetowy projekt zestawiający, kto w latach 2022–2026 łożył pieniądze na proizraelskie lobby w USA w wysokości przeszło 550 mln dol. Chodzi o osławiony AIPAC i pokrewne organizacje, które jako jedyne w USA nie muszą się rejestrować jako zagraniczni lobbyści, potwierdzając tym samym, że USA traktują interesy Izraela jako własne.

Te próby nie pozostają bez kontry. Wyliczono, że wpływowa amerykańsko-żydowska publicystka Laura Loomer przez ostatnie 15 miesięcy w swoich wpisach na portalu X wspomniała ponad 4 tys. razy Tuckera Carlsona (atakując go), podczas gdy ten walczący o wyzwolenie amerykańskiej racji stanu spod izraelskiej dominacji dziennikarz wspomniał ją tylko raz.

Walka o medialny rząd dusz zatem wrze, sam Netanjahu wspomniał nawet ostatnio w izraelskiej telewizji, że nie osiągnąłby zaangażowania USA do wojny z Iranem, gdyby sam nie spędził tysiąca godzin wywiadów w amerykańskich telewizjach. Przy czym dziś do tej walki angażuje się już same boty głównych platform AI, automatycznie powielających, jako wiarygodne źródła informacji, sztucznie produkowane i puszczane w obieg raporty mające kształtować opinię publiczną.

Jesienne wybory w USA i Izraelu niekoniecznie zmienią cokolwiek w dotychczasowej bezkarności, natomiast elity nieznające odpowiedzialności, ludzie pokroju Ben-Gwira już przegrali na świecie walkę o godziwość i szacunek. To wciąż za mało wobec krzywd i udręki niewinnych, jednakże kiedy gwałtownicy nie mogą samodzielnie napisać historii, ich zwycięstwo nie trwa wiecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Adam Wielomski

Skąd się biorą wpływy Żydów w Ameryce

Turbosyjonistyczna polityka Donalda Trumpa ma źródła w rodzinnych i biznesowych powiązaniach gospodarza Białego Domu. Ale przede wszystkim decydujący jest tu nacisk masowo głosujących na republikanów chrześcijańskich syjonistów. To oni, a nie etniczni Żydzi, definiują radykalnie proizraelski kierunek w polityce zagranicznej USA w chwili obecnej

Kościół katolicki, opisujący dzieje i prawa starożytnych Izraelitów, zawsze uznawał Stary Testament za integralną część Biblii. Ale zarazem podchodził do niego ostrożnie i wybiórczo. W prorokach widziano zapowiadających Jezusa Chrystusa natchnionych mężów, a w instytucjach politycznych stworzonych przez Dawida i Salomona wzorzec religijnej władzy monarszej, którego brakowało na kartach apolitycznego Nowego Testamentu. Było to podejście ostrożne, gdyż Chrystus ustanowił nową religię, znosząc większość praw starotestamentowych. To, czego w Nowym Testamencie nie było (np. nauki o państwie i prawie), średniowieczny Kościół zastępował własną Tradycją i Magisterium. Tymczasem w XVI w. Marcin Luter gwałtownie zerwał z tymi elementami nauczania Kościoła średniowiecznego, aby wrócić do „czystego Słowa Bożego", do Litery biblijnej, także tej starotestamentowej, choć równocześnie był antysemitą.

Inaczej było z Janem Kalwinem. Jest on dziś uznawany za drugiego, obok Lutra, największego z teologów reformacji. Mało kto wie, że nie miał on żadnego wykształcenia teologicznego, wyjąwszy jeden zaliczony semestr studiów. Był prawnikiem i tworząc swoją naukę, podszedł do Biblii jako do źródeł prawa. Feliks Koneczny napisał kiedyś, że judaizm jest nie tyle teologią i religią, ile „objawionym prawem". Kalwin patrzył na problem podobnie i z rozmaitych praw oraz słów Jahwe, Mojżesza, proroków, Chrystusa i apostołów skompilował swoją najważniejszą rozprawę „Institutio Christianae Religionis" (1536), którą w kolejnych edycjach powiększył z książeczki do wielkości jednotomowej encyklopedii, dodatkowo modyfikując ją w translacjach na inne języki. Jego metoda była prosta: wszystkie zasady teologii, prawa i kultu należy zaczerpnąć ze źródła głównego, czyli Nowego Testamentu, a gdy rozpatrywany problem nie został tutaj ujęty, trzeba szukać jego rozwiązania w Starym Testamencie. Skoro nauka Chrystusa skupiona była na ludzkiej osobie, to rozwiązania ustrojowe i prawne ten teolog amator zaczerpnął z Litery starotestamentowej. Dlatego w religii kalwińskiej i wyznaniach jej pochodnych dominuje żydowska nauka o państwie (konkretnie nauczanie Mojżesza i proroków) i prawie. Metodologię tę dowcipnie i trafnie podsumował niemiecki Żyd Heinrich Heine w „Deutschland. Ein Wintermärchen", pisząc, że kalwini to żydzi, którzy wierzą w Chrystusa, nie musząc się obrzezać i mogąc przy tym „jeść wieprzowinę".

Pójdźmy dalej. Kolonie angielskie w Ameryce Północnej w przeważającej mierze zakładali purytanie, czyli członkowie postkalwińskich kościołów i sekt, uciekający z Anglii przed ustawiczną niechęcią lub wrogością anglikańskich królów i większości parlamentarnych. Anglikanie uważali purytanów za teologiczno-religijnych anarchistów i warchołów, dlatego wspierali ich emigrację. Ci zaś w Nowym Świecie budowali kolonie na wzór starożytnego Izraela, wedle metodologii prawno-teologicznej Kalwina. Amisze i mormoni to ostatnie relikty sekt tamtej epoki żyjące do dziś wedle tego wzorca. Stąd pochodzą klasyczne amerykańskie pojęcia: Nowy Syjon, Nowy Izrael, lud wybrany, umowa społeczna (niepochodząca od angielskiego słowa „contract", lecz od teologicznego pojęcia „covenant", czyli umowy ludu wybranego z Jahwe, polegającej na oddaniu Bogu władzy nad ludem w akcie fideistycznej ufności). W koloniach amerykańskich szybko pojawili się też autentyczni żydzi (w rozumieniu wyznania, stąd małe „ż"). Stosunek kolonistów purytańskich był do nich pozytywny. Oto żydzi „oryginalni" zamieszkali obok „nowych" żydów czy neożydów. Dość powiedzieć, że do pierwszego głośnego incydentu antysemickiego w USA doszło dopiero w 1891 r. w Millville (New Jersey), gdy robotnicy strajkujący w hucie szkła pobili żydowskich łamistrajków. Potem

eprasa.pl c21ff32d6d



Mike Pence, w latach 2017–2021 wiceprezydent USA, podczas konwencji AIPAC, 2 marca 2020 r.
FOT. TOM BRENNER / REUTERS / FORUM

incydenty tego typu stały się częstsze, co wiązało się z napływem do Stanów Zjednoczonych ludzi z innych krajów niż Wielka Brytania i ogólną laicyzacją społeczeństwa, które przestało się postrzegać jako młodszy brat Izraelitów.

Generalnie jednak Amerykanie zawsze byli i pozostają filosemitami, słusznie postrzegając własną tradycję purytańską jako blisko związaną z religią mojżeszową. W najbardziej radykalnej formule wyrażają to obecnie w USA wyznania postkalwińskie hołdujące tzw. chrześcijańskiemu syjonizmowi, bezwarunkowo wspierające Państwo Izrael zawsze i wszędzie. Chrześcijańscy syjoniści stanowią żelazny kilkudziesięciomilionowy elektorat republikanów. Ta coraz bardziej wpływowa federacja kościołów protestanckich głosi z punktu widzenia wszelkiej ortodoksji chrześcijańskiej heretycki pogląd, że zbawienie można osiągnąć za wiarę i łaskę (chrześcijanie) lub z racji samego pochodzenia etnicznego (żydzi). Ci drudzy, aby się zbawić, nie muszą przechodzić na chrześcijaństwo, gdyż mieliby je mieć z automatu.

KTO NAPRAWDĘ RZĄDZI W DEMOKRACJI?

Gdy w XIX w. w Europie postępowała demokratyzacja, której uwieńczeniem były wybory powszechne, wielu konserwatywnych krytyków było przerażonych rządami nieodpowiedzialnego i podatnego na demagogię tłumu bez żadnych politycznych kompetencji. Na przełomie wieków XIX i XX, gdy demokratyzacja już zapanowała na kontynencie, ton tej krytyki diametralnie się zmienił: generalnie przestano krytykować demokrację za oddanie rządów w ręce irracjonalnej gawiedzi, a zaczęto za fikcyjność konstytucyjnej formuły suwerenności narodu. Bowiem to nie naród praktycznie rządził, lecz nieformalne i wpływowe grupy nacisku. Pisali o tym zjawisku szczególnie włoscy socjologowie (Robert Michels, Gaetano Mosca i Vilfredo Pareto), a także Charles Maurras i Carl Schmitt. Wszyscy krytycy demokracji wskazywali, że wielomilionowa masa wyborców jest niezorganizowana, więc za pomocą prasy (potem także radia) niewielkie grupy lobbystyczne tworząc i rozpalając emocje, dyskretnie kierują masami, które z polityki wiele nie rozumieją. Słowem, zorganizowana mniejszość sprawnie dowodzi niezorganizowaną wielomilionową większością. Benito Mussolini nazwał tę małą grupę rządzącą w każdej demokracji mianem „twórczej mniejszości", a wspomniany Maurras określił ją mianem „czterech stanów skonfederowanych", złożonych z Żydów, wolnomularzy, francuskich protestantów i naturalizowanych cudzoziemców (głównie bankierów i wydawców gazet). Spośród autorów amerykańskich sterowanie opinią publiczną jako pierwszy opisał Edward Bernays w swojej klasycznej pracy „Propaganda" (1928, wydanie polskie 2020).

Prawdę mówiąc, scharakteryzowana powyżej praktyka demokratycznych rządów odpowiada nam od razu na pytanie: dlaczego silne lobby – w tym wypadku żydowskie – ma tak wielkie wpływy w Stanach Zjednoczonych? Jest znakomicie zorganizowane, ma wielkie pieniądze, olbrzymi udział w rynku medialnym, a także dostęp do polityków. W tym czasie Amerykanie od Los Angeles do Bostonu stanowią niezorganizowaną masę nieznających się wzajemnie ludzi. Ale przejdźmy od ogółu do szczegółu.

TRZYKROTNA NADREPREZENTACJA

Warto rzucić okiem na liczby. Osoby pochodzenia żydowskiego stanowią od 2,2 proc. do 2,4 proc. ogółu Amerykanów. Precyzyjny procent jest trudny do podania ze względu na dzieci z małżeństw mieszanych, a nie każdy z tych, kto ma takie korzenie musi się identyfikować jako Żyd. Wyznawcy judaizmu stanowią 1,7 proc. ludności. Dlatego, dla uproszczenia, przyjmijmy, że ludność związana z różnie pojętą żydowskością stanowi ok. 2 proc. ogółu. Pośród kongresmenów i senatorów liczba ta wynosi w tej chwili 6,5 proc. (35 na 535), czyli mamy trzykrotną nadreprezentację. Co ciekawe, spośród tych 35 parlamentarzystów aż 31 to demokraci. Równocześnie żaden prezydent i wiceprezydent USA nie mieli nigdy żydowskiego pochodzenia, choć było kilka przypadków nieudanych prób kandydowania. Generalnie w Stanach Zjednoczonych wybory prezydenckie zwykle wygrywają biali protestanci (tzw. WASP-y). Inaczej sprawa przedstawia się, gdy spojrzymy na kręgi biznesowo-medialne. Na liście 100 najbogatszych Amerykanów „Forbesa" od lat jest ok. 25–30 osób pochodzenia żydowskiego. Prawdopodobnie jeszcze wyższy procent znajdujemy pośród właścicieli wielkich kanałów telewizyjnych i wydawców, ale ze względu na skomplikowaną strukturę własnościową wielkich korporacji medialnych obliczenie precyzyjnych liczb jest niemożliwe, gdyż nie sposób wskazać narodowości np. inwestujących w nie funduszy emerytalnych. Nie ma także podobnych danych dotyczących dziennikarzy, gdyż jest to zawód z bardzo płynną strukturą osobową, acz i tutaj dostrzegalna jest nadreprezentacja, przynajmniej gdy chodzi o dziennikarzy wielkich stacji telewizyjnych.

Ogólnie dość łatwo dostrzec jest charakterystyczną tendencję: Amerykanie pochodzenia żydowskiego są świadomi trudności z wyborem w świecie WASP-

eprasa.pl c21ff32d6d

-ów kogoś, kto nie jest białym protestantem na prezydenta, wiceprezydenta, senatora, kongresmena czy sędziego Sądu Najwyższego, gdyż fundamentalną dla amerykanizmu protestancką polityczną lojalność widzimy także pośród chrześcijańskich syjonistów. Ci ostatni fanatycznie popierają Państwo Izrael, lecz liberalnych Żydów – którzy nie chcą tam wyemigrować i mieszkają w USA – nie. W tej sytuacji lobby żydowskie działa poprzez niewidzialną dla przeciętnego widza telewizyjnego strefę politycznie ukrytą: właścicieli mediów i dziennikarzy, a także hojnie wspierających kandydatów w wyborach znaczących donatorów ze środowiska giełdy, banków i wielkiego biznesu. Stąd trudno mówić o przygniatającej sile Żydów pośród amerykańskich polityków – która pomimo nadreprezentacji nie daje im potęgi – lecz należy mówić o sile lobby, które finansuje kampanie wyborcze i kształtuje nastroje amerykańskich wyborców.

Na kampanię wyborczą Donalda Trumpa mnóstwo pieniędzy dała urodzona w Izraelu miliarderka Miriam Adelson (106 mln dol.). Wieść gminna niesie, że postawiła Trumpowi warunek, że odpowiedzialny za politykę zagraniczną ma być znany filosyjonista Marco Rubio. I pełni on dziś funkcję sekretarza stanu. W sumie oblicza się, że spośród 100 największych darczyńców na tę kampanię wyborczą kandydata republikańskiego aż 31 było żydowskiego pochodzenia. Mimo to największe kwoty przekazali Trumpowi niebędący Żydami Elon Musk (ok. 200 mln dol.) i Timothy Mellon (150 mln dol.). Możemy zatem mówić po raz kolejny o znaczącej nadreprezentacji, lecz nie o całkowitej dominacji. Podobnie jest z wyborami do Kongresu i Senatu, przy czym nie istnieje jedno lobby żydowskie. W Polsce dużo mówi się o działalności AIPAC (American Israel Public Affairs Committee), lecz trzeba pamiętać, że w jego skład wschodzą zarówno Żydzi syjoniści, jak i protestanccy chrześcijańscy syjoniści. Lobby to wspiera zarówno poszczególnych polityków, jak i zwalcza krytyków polityki izraelskiej, często przyczyniając się do ich porażki wyborczej (np. Jamaal Bowman w Nowym Jorku i Cori Bush w Missouri). AIPAC nie jest jednak aż tak zamożną organizacją, jak się zdaje, gdyż wpłaty od biznesu amerykańskiego są znacznie większe, acz 65 proc. obecnych amerykańskich parlamentarzystów otrzymało pieniądze na kampanię wyborczą od tej organizacji lub mniejszych grup z nią powiązanych. AIPAC specjalizuje się jednak w hałaśliwych kampaniach dyfamacyjnych wobec polityków krytycznych wobec Państwa Izrael.

SZEROKA DEFINICJA CZYNÓW ANTYSEMICKICH

Wspomniałem wcześniej, że spośród obecnych 35 parlamentarzystów amerykańskich aż 31 zostało wybranych z list demokratów, a tylko czterech z list republikanów. Razem osoby pochodzenia żydowskiego stanowią obecnie 12 proc. ogółu parlamentarzystów u demokratów, podczas gdy u republikanów są one niedoreprezentowane (1,5 wobec 2 proc. średniej ogólnokrajowej). Można zatem wysnuć z tych liczb pogląd, że jest to pośród demokratów liczba wpływowa. Jednak obecna turbosyjonistyczna polityka Trumpa i republikanów ma inne źródła. W przypadku obecnego prezydenta są to jego osobiste powiązania rodzinne i biznesowe (córka Ivanka, która przeszła na judaizm i poślubiła Jareda Kushnera będącego bliskim współpracownikiem prezydenta, Steve Wittkoff), ale przede wszystkim decydujący jest nacisk masowo głosujących na republikanów chrześcijańskich syjonistów. Stanowili oni ok. jednej trzeciej ogółu wyborców Trumpa. To ci ostatni, a nie etniczni Żydzi, definiują radykalnie proizraelski kierunek w polityce zagranicznej USA w chwili obecnej.

Siła lobby żydowskiego w USA powoduje, że w polityce wewnętrznej, pomimo równości wyznań i grup etnicznych wobec prawa, podżeganie do nienawiści wobec Żydów w praktyce jest w Stanach Zjednoczonych wyjątkowo stanowczo ścigane przez prokuraturę. Ta ostatnia przyjmuje w dodatku niezwykle szeroką definicję czynów antysemickich zaproponowaną przez organizację żydowską IHRA (International Holocaust Remembrance Alliance). Toczą się także w USA dyskusje, czy krytykowanie ludobójczej polityki palestyńskiej Państwa Izrael nie powinno być uznane za nawoływanie do nienawiści i penalizowane (ang. hate speach), gdyż państwo to rzekomo miałoby być „kolektywnym zbiorem" Żydów, a nie tylko bytem w rozumieniu prawa międzynarodowego. IHRA stoi na tym stanowisku, a popierają ją coraz bardziej wpływowi chrześcijańscy syjoniści oraz obecna administracja.

Skutki wpływu lobby widać także w specjalnych relacjach między Waszyngtonem a Jerozolimą. Z budżetu amerykańskiego co roku przelewane są miliardy dolarów pomocy w formie gotówki i broni, bez społecznych protestów. Oficjalna doktryna USA mówi, że czegokolwiek uczyłoby to państwo, to zawsze ma rację. I nawet, gdy atakuje pierwsze, to przywoływana jest formuła: „Izrael ma prawo się bronić". Obecne sprzeciwy w ruchu MAGA wobec polityki bliskowschodniej Waszyngtonu wynikły z izolacjonistycznego nastawienia wyborców Trumpa, którzy protestują przeciw zaangażowaniu się ich państwa w wojnę z Iranem wyłącznie w celu wsparcia polityki Beniamina Netanjahu. Jeśli nie uznamy krytyki Izraela za antysemityzm – jak chce IHRA – to w ruchu MAGA autentycznego antysemityzmu raczej się nie zaobserwuje. USA i Izrael są w najbliższym i najściślejszym sojuszu, jaki w ogóle jest możliwy, przy czym mniejszy partner systematycznie wykorzystuje tego większego finansowo i politycznie dzięki sile żydowskiego lobby.

Jeśli nie uznamy krytyki Izraela za antysemityzm, to w ruchu MAGA autentycznego antysemityzmu raczej się nie zaobserwuje. USA i Izrael są w najściślejszym sojuszu, jaki w ogóle jest możliwy, przy czym mniejszy partner systematycznie wykorzystuje tego większego finansowo i politycznie

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d

Co rządy oznaczałyby dla Polski?



Z prof. Zdzisławem Krasnodębskim, socjologiem, filozofem, wykładowcą na uniwersytetach w Kassel i Bremie, wiceprzewodniczącym Parlamentu Europejskiego w latach 2018–2019

rozmawia Ryszard Gromadzki

RYSZARD GROMADZKI: Nokautujące zwycięstwo Alternatywy dla Niemiec (AfD) w wyborach do parlamentu krajowego w Saksonii-Anhalcie, w połączeniu ze sromotną klęską CDU w tej rywalizacji to zwiastun rzeczywistego przełomu w niemieckiej polityce?

PROF. ZDZISŁAW KRASNODĘBSKI: Nie sądzę, że wyniki wyborów do parlamentu krajowego niewielkiego kraju związkowego w Niemczech wschodnich można przekładać wprost na wyniki wyborów w całych Niemczech. Sondaże opublikowane już po wyborach w Saksonii-Anhalcie potwierdzają tendencję, zgodnie z którą poparcie dla AfD mierzone w całym kraju rośnie lub utrzymuje się na dość wysokim poziomie, oscylując wokół 29 proc. Sondaże ogólnoniemieckie potwierdzają także spadek poparcia dla CDU, i to jest chyba najważniejsze przesłanie płynące z wyborów w Saksonii-Anhalcie. Dwie partie przez dekady dominujące w niemieckiej polityce – CDU i SPD – coraz bardziej tracą poparcie.

Tracą poparcie czy powoli schodzą ze sceny politycznej? Podobny proces wymiany wewnątrz establishmentu politycznego dokonał się przed laty we Włoszech, odsyłając w niebyt partię chadecką i socjalistów.

To jest pewien proces. Przedwcześnie byłoby opisywać go w kategoriach przełomu. Znamienne, że SPD mówi o sukcesie w wyborach w Saksonii-Anhalcie, osiągając wynik poniżej 10 proc. W Niemczech istnieje pojęcie tzw. Volkspartei, czyli powszechnej partii ludowej, obejmującej wszystkie warstwy społeczne. Za takie partie przez lata uchodziły SPD i CDU. Głęboki kryzys jako pierwszą dotknął SPD, teraz toczy także CDU, czego dowodem jest wynik, który chadecy uzyskali w Saksonii-Anhalcie, wyraźnie poniżej 20 proc. głosów.

Kanclerz Friedrich Merz mówi wprost o dramatycznym wyniku. Nieco ponad 17 proc. poparcia w wyborach w Saksonii-Anhalcie dla partii, która przez dziesięciolecia była filarem niemieckiej sceny politycznej musi prowokować do pytań dotyczących skali przewartościowania politycznego w Niemczech.

Z pewnością to kolejny, duży krok wskazujący na przesuwanie się preferencji wyborczych Niemców w prawą stronę. Sygnałem były już wyniki wyborów do landtagu Turyngii, Alternatywa dla



FOT. MICHAŁ WOŹNIAK/EAST NEWS

NIEMCY MUSZĄ „WYMYŚLIĆ SIĘ NA NOWO”

Niemiec rośnie także w siłę w Niemczech Zachodnich. Prawie 44-procentowe poparcie, które AfD uzyskała w wyborach w Saksonii-Anhalcie robi wrażenie, ale prawdziwy przełom byłby wtedy, gdyby AfD objęła rządy w tym landzie.

Co finalnie zdecydowało o tak spektakularnym sukcesie wyborczym AfD w Saksonii-Anhalcie? Niezadowolenie Niemców z powodu masowej imigracji, kryzys gospodarczy?

Problem imigracji bez wątpienia miał istotny – może nawet najistotniejszy – wpływ. W Niemczech ten problem objawił się dość gwałtownie. Społeczeństwo, które długo, jeszcze w latach 90. XX w. i na początku XXI w., było mocno homogeniczne zmieniło się radykalnie w ciągu jednego pokolenia.

Dlaczego AfD cieszy się największym poparciem na wschodzie Niemiec?

Myślę, że bierze się to z poczucia bycia kolonizowanym. Wszystkie dane pokazują, że jeśli chodzi o udział w elitach politycznych czy gospodarczych, Niemcy ze wschodu są marginalizowani. Tereny dawnej NRD są zarządzane przez ludzi z dawnej RFN.

A tyle się mówiło, że te nierówności, wynikające z podziału Niemiec po II wojnie światowej, po zjednoczeniu kraju w 1990 r. zostały stosunkowo szybko zniwelowane, że nie ma już „Ossi” i „Wessi”. Okazuje się, że wielu Niemców żyjących na wschodzie kraju ma poczucie bycia obywatelami drugiej kategorii.

Tak jest, potwierdzają to fakty. Można się oczywiście zastanawiać, dlaczego po wszystkich inwestycjach w infrastrukturę, gigantycznym transferze pieniędzy do wschodnich landów, dla których realizacji poczyniono specjalne wyjątki w traktatach europejskich, w Niemczech Wschodnich są takie pokłady frustracji. Moim zdaniem przyczyną jest właśnie brak zmiany systemu politycznego, a nie przyjęcie nowej konstytucji. Tak naprawdę nie było zjednoczenia, tylko inkorporacja. Niemcy Wschodnie zostały przyłączone automatycznie do Republiki Federalnej, a ich obywatelom odebrano ich podmiotowość i odrębność kulturową, narzucając im lewicowo-liberalną ideologię, która w międzyczasie zatriumfowała w Niemczech Zachodnich. A Niemcy Zachodnie z kraju dosyć jednolitego, dosyć egalitarnego, w pewnym znaczeniu też dosyć autorytarnego w sensie samodyscypliny obywateli, dużo by o tym mówić, stały się krajem, w którym zatriumfowała Nowa Lewica. Nowa Lewica skolonizowała chrześcijańskich demokratów, zastraszyła konserwatystów, przejęła media i uniwersytety i po 1990 r. wzięła się do wychowywania „NRD-owców”.

Nawet Goethe uważał, że w zaborze pruskim trzeba wyeliminować język polski i zastąpić go niemieckim. Ten antypolonizm jest obecny w AfD i jej zapleczu intelektualnym

Zakwestionowanie schematu, który pan opisuje na wschodzie Niemiec, stało się podglebiem dla sukcesów AfD?

Ten proces ma podobny przebieg jak w Polsce, tylko tam zaszedł dużo dalej. Elity „łyknęły” tę ideologię, zwykli ludzie podeszli do niej z dużym dystansem. My dopiero teraz stajemy się „krajem związkowym” Unii Europejskiej i te mechanizmy kontroli, także ideologicznej, dopiero się zacieśniają. Co do Niemiec – im bardziej konsekwencje tej ideologii, przede wszystkim gospodarcze, zaczęły się ujawniać, tym silniejszy staje się sprzeciw, zwłaszcza na wschodzie kraju, w miarę tego jak ludzie uświadamiali sobie, że jest to ideologia narzucona. Powiedziałbym, że Niemcy nie znaleźli po 1990 r. dla siebie nowej formuły narodowej, dla całego kraju.

Nowego pomysłu na siebie...

Niemcy powinny „wymyślić się na nowo”, ale w odniesieniu do tradycji, np. klasyki weimarskiej. To jest oczywiście trudne, bo wiemy, jak dramatyczne, trudne i zbrodnicze były dzieje Niemiec. Nowy film Pawła Pawlikowskiego „Fatherland” kończy się sceną, w której Tomasz Mann płacze w zrujnowanym kościele, słuchając Bacha. Dzisiaj zapewne również by płakał. Ich tradycję wyznaczają Bach, Goethe, Schiller, Rilke,

eprasa.pl c21ff32d6d

Tomasz Mann, inni wielcy kompozytorzy, poeci, filozofowie. Panteon wielkich postaci, które oczywiście należałoby odpowiednio zinterpretować, odnieść do współczesności. Nasuwają mi się pewne analogie do Ukrainy. Oburzamy się, że Ukraina, gdy sięga do swojej tradycji, wyciąga postacie, które powinna potępić, zamiast budować swoją tożsamość na zupełnie innych zasadach.

Problem w tym, że Ukrainie doskwiera brak postaci, na których mogłaby budować pozytywną tożsamość. Niemcy mają panteon, z którego mogą czerpać.

Właśnie na tym polega różnica. Jednak, mimo że Niemcy mają wzorce, na podstawie których mogliby budować swoją nową tożsamość, tak się nie dzieje. To jest dość niebezpieczne dla całej Europy. To, że Niemcy nie wykorzystały tej sytuacji, można to pokazywać, odwołując się do niedawno zmarłego myśliciela, Jürgena Habermasa, uważanego za „ojca duchowego” nowej niemieckiej „republiki berlińskiej”. Powoływano się na jego ideę „patriotyzmu konstytucyjnego” – w kraju, który nie nadał sobie konstytucji (co on postulował). Lęk przed narodem, zasiany przez lewicę sprawił, że w gruncie rzeczy proces zjednoczenia kraju się nie powiódł.

Sukces AfD w wyborach w Saksonii-Anhalcie, który być może zostanie potwierdzony 20 września w kolejnych wyborach w Meklemburgii-Pomorzu Przednim i do izby deputowanych Berlina, to wyraz tęsknoty Niemców do owej homogeniczności społecznej, utraconej w ostatnich 30 latach?

Myślę, że generalnie jest to dążenie, nie wiem, czy tęsknota, bo tęsknota oznacza odwołanie do przeszłości, a powrotu do przeszłości nikt sobie nie życzy, ale jest to potrzeba Niemiec bardziej narodowych. Pytanie: co to znaczy? Oczywiście nie znamy przyszłości. Powiedziałbym, że to dążenie do Niemiec bardziej narodowych, może znaczyć np. to, że jeśli ktoś ma niemiecki paszport, to powinien poczuwać się do dziedzictwa narodowego. Jeśli ktoś chodzi do niemieckiej szkoły, korzysta z niemieckiej edukacji, to powinien kiedyś przeczytać „Fausta” Goethego i znać niemiecką historię. Przeprowadzenie takiego procesu właściwego unarodowienia z pewnością wymagałoby wielkiego wysiłku intelektualnego, politycznego i społecznego. Przetworzenia wielkiej niemieckiej tradycji w nowy sposób. Jako demokratycznej i europejskiej w dobrym znaczeniu tego słowa, a jednocześnie niemieckiej, zawierającej (ale bez przesady) elementy uniwersalne. Uważałbym to za proces pozytywny.

Byłoby to owo „wymyślenie się Niemiec na nowo”, czego zabrakło w ciągu ponad 30 lat od ich politycznego zjednoczenia.

Tak. Tylko to „wymyślenie się na nowo” zawsze się odbywa na starym materiale, który dostarcza przeszłość. Tak samo jest w Polsce. Na czym polegał ruch Solidarności, jak nie na tym? Po upadku komunizmu przywróciliśmy jakąś pamięć o naszej historii, religię naszej wiary i różne inne rzeczy. Rzecz w tym, że ten proces może pójść w innym kierunku, również niebezpiecznym, zwłaszcza w przypadku Niemiec. Wrócę raz jeszcze do przykładu Ukrainy – można budować tożsamość narodową, tam jest to trudne, o czym już mówiliśmy – rozwijając wątki pozytywne, ale można też pójść w stronę przeciwną, jak robią to władze w Kijowie. W Niemczech zawsze istnieje niebezpieczeństwo powrotu do złej tradycji. W trakcie kampanii wyborczej w Saksonii-Anhalcie miało pojawić się hasło „Mniej Hitlera, więcej Bismarcka”, czyli zamiast ciągłego kultywowania pamięci o zbrodniach nazistów, więcej pamięci o 1871 r., o zjednoczeniu, o dziele Bismarcka.

Dla polskich uszu to hasło nadal brzmi złowieszczo.

Oczywiście, że tak. Ta nowa formuła, to nowe „wymyślenie Niemiec” musiałoby uwzględniać również to, że w polskich uszach takie hasło brzmi niedobrze i są racjonalne, historyczne powody, dla których brzmi ono niedobrze. Bez wyeliminowania antypolonizmu nowa formuła niemieckiego patriotyzmu nie będzie możliwa.

Czy taka wrażliwość jest wśród polityków AfD? Głośna wypowiedź jednego z nich, Fabiana Keubela o Polakach jako „Afroamerykanach Europy”, „wiecznych ofiarach”, wskazuje, że nie.

No właśnie. To „unarodowienie Niemiec” ma więc pewien potencjał, ale jest też zagrożeniem. Na pewno byłoby ono dla nas dużym wyzwaniem, a przede wszystkim jest wyzwaniem dla niemieckich elit konserwatywnych, których niestety prawie nie ma. Gdy organizowaliśmy kongresy „Polska Wielki Projekt”, trudno było znaleźć jakiegoś intelektualistę, rozsądnego konserwatystę w Niemczech, który podzieliłby się z nami swoimi opiniami. Naprawdę tam jest znacznie gorzej pod tym względem niż w innych krajach europejskich. Nie ma tam kogoś pokroju Rogera Scrutona czy odpowiedników francuskich albo amerykańskich intelektualistów konserwatywnych.

Z czego wynika ten deficyt?

Myślę, że może to być związane z ich demonizacją, wypychaniem ze sfery publicznej. Pamiętam z czasów mojej młodości, że tacy myśliciele czy filozofowie jeszcze w Niemczech byli. Oni wszyscy gdzieś zaniknęli. Na tym polega dominacja lewicy.

Czy Alternatywa dla Niemiec jest ugrupowaniem zdemonizowanym przez niemiecki mainstream czy też w jej agendzie są wątki, którą mogą uczynić AfD partią groźną z punktu widzenia Polski?

Powtórzę raz jeszcze, że nie znamy przyszłości. W wypadku każdej nowej partii czy ruchu politycznego mamy do czynienia z różnymi tendencjami. Oprócz prawdziwych nacjonalistów, są w niej ludzie, aktywnie działający politycznie lub tylko sympatycy, mający poglądy, które w innych krajach nie uchodziłyby za szczególnie skrajne, w Niemczech są natychmiast piętnowane. Stąd częsty strach przed ich publicznym ujawnianiem i maskowanie ich np. „europejskością”. Wielu moich kolegów uniwersyteckich nie było w stanie powiedzieć: „my, Niemcy, chcemy, żeby…”, zamiast tego używali formuły „my Europejczycy”, zawsze „chowali się” za Europę. Jeśli ktoś z nich napisał coś pozytywnego o niemieckiej tradycji, zawsze musiał to opatrzyć zastrzeżeniem o potępieniu obecnych w niej złych tendencji. Trochę jak u nas z czasów komunistycznych, gdy odwoływano się do cytatów z Lenina czy Marksa, żeby się uwiarygodnić, nie stracić posady na uniwersytecie czy w wydawnictwie. Znam przypadki wybitnych niemieckich

eprasa.pl c21ff32d6d

Niezależnie od tego, że politycy AfD obecnie deklarują, iż wyprowadzą Niemcy ze strefy euro, ukrócą brukselską biurokrację, to nie wyrzekną się idei panowania nad Europą, sięgania po „koronę cesarską"

intelektualistów czy pisarzy, m.in. Uwego Tellkampa, okrzyczanego jako wielki talent, który po negatywnej wypowiedzi na temat polityki migracyjnej miał kłopoty z wydawaniem swoich książek. Z ostracyzmem spotkała się też interesująca pisarka, dysydentka z NRD, Monika Maron, która po krytyce feminizmu, została natychmiast zmarginalizowana. Poeta Hans Magnus Enzensberger, niegdyś sztandarowa postać „Pokolenia '68", po napisaniu książki krytykującej biurokrację brukselską, także wypadł z obiegu publicznego.

Patologia politycznej poprawności. W Polsce jej presja wciąż nie jest chyba aż tak dotkliwa.

Ta presja i u nas jest odczuwalna coraz bardziej. Moim zdaniem to Niemcy zainfekowały Unię Europejską dogmatem, że nie można być człowiekiem konserwatywnym czy pozytywnie nastawionym do swego narodu, bo to oznacza, że jest się nacjonalistą-szowinistą czy faszystą. Niebezpieczeństwo grożące Niemcom polega jednak na tym, że gdy my afirmujemy naszą tradycję narodową, to przywołujemy dziedzictwo republikańskie i wolnościowe I Rzeczypospolitej, powstania narodowe, AK, politykę rządu emigracyjnego, reprezentującego naród odrzucający zarówno narodowy socjalizm, jak i bolszewizm. Taka jest nasza tradycja. Natomiast w Niemczech zarówno komunizm, jak i narodowy socjalizm były endogenne, podobnie jako mocny antypolonizm. Prezydent Nawrocki słusznie przypomniał w swoim przemówieniu na Westerplatte, że „Niemcy nie potrzebowały Adolfa Hitlera, by gardzić Polską, Polkami, Polakami i polskością". Nawet Goethe uważał, że w zaborze pruskim trzeba wyeliminować język polski i zastąpić go niemieckim. Ten antypolonizm jest obecny w AfD i jej zapleczu intelektualnym. Z polskiego punktu widzenia nie tylko Bismarck jest nie do przyjęcia, lecz także traktowanie „III Rzeszy" jako nieszczęsnego epizodu, który przytrafił się Niemcom, jako „ptasiego łajna", jak powiedział kiedyś Alexander Gauland, były współprzewodniczący AfD. Trudno nie dostrzec w kulturze niemieckiej elementu demonicznego, tak wspaniale opisanego przez Tomasza Manna w „Doktorze Faustusie". Dlatego uważam, że Niemcy narodowe będą dla nas wielkim wyzwaniem. Realnym niebezpieczeństwem jest, że odrodzenie się nacjonalizmu niemieckiego ożywiać będzie motywy, które już dziś budzą uzasadniony niepokój we Włoszech, Francji i na pewno w Polsce. Dużo zależy od samych Niemców, w którą stronę poprowadzą swój kraj. Nie chodzi tylko o polityków. Kiedyś mówiono, że Niemcy to „kraj poetów i myślicieli". Właśnie to od poetów i myślicieli zależy przyszłość Niemiec.

Czy eurosceptycyzm deklarowany przez AfD, krytyka centralizacji Unii Europejskiej są tożsame z eurosceptycyzmem polskiej prawicy? Jeśli przyjąć to, że Unia Europejska jest wehikułem, przez który Niemcy realizują swoje strategiczne cele, to co właściwie kontestuje AfD?

Myślę, że na pewnej płaszczyźnie eurosceptycyzm AfD i przynajmniej części polskiej prawicy jest podobny. Okazało się, że centralizacja Unii szkodzi przynajmniej niektórym interesom Niemiec. Na przykład polityka klimatyczna, która uderza w niemiecki przemysł motoryzacyjny. Jest oczywiście kwestia narzucania woli politycznej przez establishment europejski, stąd głośne larum, jakie rozległo się po wyborach w Saksonii-Anhalcie, peryferyjnym kraju związkowym na wschodzie Niemiec. W tym wypadku ingerencja Brukseli niczym nie różni się od ingerencji, która miała miejsce w polskie wybory. Do Saksonii-Anhaltu jeżdżą wszelkiej maści aktywiści, zmobilizowano NGO. Ciekaw jestem, czy Parlament Europejski wyrazi zaniepokojenie wynikami wyborów w niemieckim landzie. Natomiast aspektem, który różni Polaków od Niemców, jest syndrom cesarstwa, czyli przekonanie, że posłannictwem Niemiec jest zjednoczenie Europy. Przekonanie to było żywe i na prawicy, i na lewicy niemieckiej. Termin „Reich" tłumaczymy na polski raz jako „Rzesza", innym razem jako „Cesarstwo". „Rzesza" się w Polsce negatywnie kojarzy, z powodu III Rzeszy, „Cesarstwo" brzmi bardziej neutralnie. Ale to jest to samo pojęcie, ta sama wizja, że wokół Niemiec tworzy się jakaś większa wspólnota polityczna, a Niemcy są skazani na to, żeby jej przewodzić.

AfD nie odrzuca tego paradygmatu.

Jest on bardzo mocno zakorzeniony w konserwatywno-narodowej myśli niemieckiej i chyba również AfD nie będzie go kwestionować. Zresztą podzielają go wszyscy, od Merza do Zielonych; mają tylko swoją „zieloną" lub „chadecką" wersję. Myślę, że niezależnie od tego, że politycy AfD obecnie deklarują, że wyprowadzą Niemcy ze strefy euro, ukrócą brukselską biurokrację, to nie wyrzekną się idei panowania nad Europą, sięgania po „koronę cesarską", czego w naszych dziejach nigdy nie było, raz tylko mieliśmy tiarę papieską. My, Polacy, nigdy nie mieliśmy ambicji, może z wyjątkiem Chrobrego, żeby dokonywać ekspansji na zachód, by zarządzać Europą Zachodnią, do której rzekomo przynależymy.

Nigdy nie mieliśmy wystarczającego potencjału politycznego i militarnego, żeby przeprowadzić tak ambitny cel.

Najpierw muszą być ambicje, później potencjał. Niemcy też nie mieli w pewnym momencie potencjału, ale mieli ambicje i ta ambicja jest niejako zapisana w ich historii narodowej. I to jest ta różnica między polskim a niemieckim eurosceptycyzmem. Polski jest zawsze defensywny, chcemy być niezależni i wolni, ale pozostać cywilizacyjnie i gospodarczo związani z Europą. Niemcy nie chcą być okiełznani przez Europę, ale chcą nią zarządzać, Europą Wschodnią wręcz bezpośrednio. Myślę, że takie nastawienie istnieje także w AfD i będzie się nasilać.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O WYBORACH LANDOWYCH W NIEMCZECH PISZEMY NA STR. 65

eprasa.pl c21ff32d6d



Łukasz Warzecha

Koniec Trybunału

Nie ma już większego znaczenia, co stanie się dalej w Trybunale Konstytucyjnym – czy nastąpi próba jego siłowego przejęcia, czy sędziowie trwający w zawieszeniu powołają jakiś TK-bis, czy może oflagują się i zainstalują w namiocie na ulicy przy Alei Szucha przed bramą Trybunału i tam będą organizowali posiedzenia na emigracji. Ważne jest jedno: Trybunał w postaci, jaką urządzili politycy z dwóch głównych partii, począwszy od 2015 r., jest nie do uratowania

Co ma wspólnego zasada nieoznaczoności Heisenberga, mówiąca o niepewności pomiarów w świecie kwantowym, z Trybunałem Konstytucyjnym Anno Domini 2026 w Polsce? Wbrew pozorom – całkiem sporo. Tak jak na poziomie kwantowym nie możemy zmierzyć dokładnie, gdzie znajduje się dana cząstka, tak stwierdzenie, ilu właściwie sędziów zasiada dzisiaj w Trybunale Konstytucyjnym, zależy przede wszystkim od tego, jakie są sympatie polityczne oceniającego.

Jeśli zajrzymy na stronę TK, to dowiemy się, że do gremium należy 11 sędziów, a więc nieobsadzone są wciąż cztery wakaty. Gdyby jednak zapytać przedstawicieli koalicji rządzącej, odpowiedzą, że sędziów jest 14, a za moment będzie 15, gdy ślubowanie złoży Maciej Berek. Prawdopodobnie będzie to ślubowanie niespełniające ustawowego wymogu – tak jak interpretuje go opozycja – zawartego w ustawie o statusie sędziów TK: „Osoba wybrana na stanowisko sędziego Trybunału składa [ślubowanie] wobec Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej". Spór dotyczy interpretacji słowa „wobec" oraz tego, czy ślubowanie jest warunkiem pełnienia funkcji czy nie, a więc czy prezydent nie przyjmując ślubowania, może faktycznie zablokować urzędowanie sędziego wybranego już przez Sejm. Tak naprawdę jednak nie jest to oczywiście spór prawny, ale czysto polityczny.

DYSKFUNKCJA INSTYTUCJI

Trybunał Konstytucyjny w postaci takiej, jaką ma od połowy 2015 r., jest dysfunkcjonalny. W żaden sposób nie zmieniają tego spory o pana Berka czy innych ostatnio wybranych sędziów. Z takiego założenia wychodzili najpewniej ci posłowie, którzy 4 września odrzucili obie kandydatury na wakujące stanowisko: i Macieja Berka, i zgłoszonego przez PiS Artura Kotowskiego. Tak zachował się klub Konfederacji, koła Konfederacji Korony Polskiej oraz Razem, niektórzy posłowie niezrzeszeni (Marcin Józefaciuk, Paulina Matysiak) oraz pojedynczy posłowie koalicji (Włodzimierz Czarzasty czy Klaudia Jachira). Sam premier Tusk jasno postawił sprawę podczas Campusu Polska Przyszłości, gdy odpowiadając na pytanie jednego z uczestników, stwierdził, że do TK muszą wejść „nasi" sędziowie. Nie chodzi tu zatem o żadną naprawę Trybunału, ale po prostu o jego przejęcie.

Sytuacja wygląda dzisiaj tak, że spośród wybranych 13 marca sześciorga sędziów TK prezydent zaprzysiągł jedynie dwoje, nominowanych przez koalicjantów KO: Magdalenę Bentkowską i Dariusza Szostka. Pozostałych czworo pozostaje w swoistym zawieszeniu i nie jest dopuszczanych przez prezesa Bogdana Święczkowskiego do orzekania. Dokładnie tak, jak Andrzej Rzepliński nie dopuszczał za czasów swojego urzędowania tzw. sędziów dublerów.

Wśród niezaprzysiężonych przez pana prezydenta sędziów jest dwoje, których nominacja przez KO pokazuje, że celem jest kontynuacja wojny, a nie jakakolwiek sanacja. To Krystian Markiewicz, wojujący sędzia z Iustitii, oraz Anna Korwin-Piotrowska, prezes Stowarzyszenia Sędziów Themis, która równie jednoznacznie opowiadała się publicznie po jednej ze stron sporu o sądownictwo. Ich wybór był jasną deklaracją wojny. Dochodzi do tego Maciej Berek, w sumie zatem byłoby to już siedmioro sędziów wybranych przez obecną koalicję.
W styczniu zaś kończy się kadencja Jarosława Wyrembaka, do obsadzenia będzie zatem następne stanowisko, co teoretycznie pozwoli już koalicji uzyskać w Trybunale większość ośmiu miejsc.



FOT. ADOBE STOCK

Inna sprawa, że nie zawsze uzyskanie nominacji ze strony danego ugrupowania oznacza, iż sędzia będzie karnie realizował jego linię. Tak było choćby z sędzią Piotrem Pszczółkowskim, wybranym w grudniu 2015 r.

Są tacy, którzy uznają, że TK jest w ogóle niepotrzebny, a jego funkcję mogłaby spokojnie spełniać osobna izba konstytucyjna Sądu Najwyższego. Mają pewnie rację, tyle że TK jest zapisany w ustawie zasadniczej, której zmiana pozostaje mało prawdopodobna. Jednak w funkcjonowaniu Trybunału wiele można by zmienić ustawami, skoro konstytucja stwierdza, że „organizację Trybunału Konstytucyjnego oraz tryb postępowania przed Trybunałem określa ustawa".

Historia otwartego niszczenia TK zaczęła się w lipcu 2015 r., gdy rzutem na taśmę Sejm zdominowany przez PO i PSL uchwalił zmiany w ustawie o Trybunale,

eprasa.pl c21ff32d6d

Konstytucyjnego?

pozwalające zgłosić kandydatury i dokonać wyboru na stanowiska, które miały się w nim dopiero w kolejnych tygodniach zwolnić – czyli niejako na zapas. Na tej podstawie jeszcze przed końcem kadencji dokonano wyboru pięciu sędziów. Po przejęciu władzy przez PiS nowy rząd uznał, że nieprawidłowy był wybór wszystkich pięciu sędziów, i wybrał kolejnych pięciu. Tymczasem sam Trybunał stwierdził, że nieprawidłowo zostało wybranych jedynie dwóch, więc trzech powinno trafić do TK. Upraszczając: PO chciała prawem kaduka obsadzić dwa wakujące miejsca z pięciu, na co PiS się odwinął i stwierdził: „Chcieliście mieć dwa miejsca na chama? No to potrzymajcie nam piwo, my będziemy mieć na chama wszystkie pięć miejsc!". To, co działo się z Trybunałem później, było konsekwencją zdarzeń z drugiej połowy 2015 r.

Z RZĄDU PROSTO DO TK

Jeśli dzisiaj PiS stwierdza, że oto KO robi coś bezprecedensowego, wybierając do TK Macieja Berka, który jeszcze chwilę wcześniej był członkiem Rady Ministrów, to mówi nieprawdę. Trybunał był zawsze upartyjniony, bo niestety konstytucja z 1997 r. – oczywiście nie przypadkiem – nie ustanowiła żadnej bariery chroniącej go przed wyborem osób nie tylko politycznie zaangażowanych, lecz także po prostu polityków – tyle że z kwalifikacjami prawniczymi. Patryk Jaki umieścił w sieci film, w którym przekonywał, że „nigdy tak nie było", aby ktoś prosto z rządu trafił do TK. To nieprawda. Dokładnie taka właśnie sytuacja miała miejsce w 1999 r., gdy do TK trafił prosto z rządu Jerzy Stępień, do chwili wyboru podsekretarz stanu w MSWiA. Sytuacji podobnych było w historii Trybunału mnóstwo. Rok wcześniej w TK znalazł się Jerzy Ciemniewski, do chwili wyboru poseł Unii Wolności. W 2006 r. – za rządów PiS! – do Trybunału wybrano Marka Kotlinowskiego, wcześniej przewodniczącego koalicyjnej wobec PiS Ligi Polskich Rodzin, a bezpośrednio przed wyborem do TK wicemarszałka Sejmu. W 2012 r. do TK trafił Leon Kieres, wcześniej prezes IPN, a w poprzedzającej wybór kadencji senator PO. Wreszcie spójrzmy na czas od 2015 r. Wspomniany już Piotr Pszczółkowski trafił do TK prosto z ław poselskich, a wybrany jako „dubler" Henryk Cioch – prosto z Senatu. Wisienką na torcie są przypadki Krystyny Pawłowicz i Stanisława Piotrowicza – obojga przed wyborem do TK zasiadających w Sejmie.

Dzisiaj posłowie PiS oburzają się na wybór Macieja Berka, ale przecież to oni głosowali za regulującą te sprawy ustawą o statusie sędziów TK z listopada 2016 r. PiS nie umieścił w niej żadnego zapisu, ograniczającego wysyłanie do Trybunału polityków. Nie zrobił tego, bo taki układ bardzo mu pasował, o ile oczywiście to PiS, a nie inna partia będzie tych polityków do Trybunału wysyłać. Ustawa mówi jedynie: „Sędzia Trybunału nie może należeć do partii politycznej, związku zawodowego ani prowadzić działalności publicznej niedającej się pogodzić z zasadami niezależności sądów i niezawisłości sędziów". Zapis o działalności publicznej niedającej się pogodzić z wymienionymi zasadami jest wystarczająco ogólnikowy, aby można było go używać w charakterze pałki do okładania przeciwnika politycznego, zarazem wywodząc, że właśni kandydaci idealnie ten standard spełniają. Czyż nie to samo robi dzisiaj Donald Tusk, opowiadając dyrdymały o rzekomej politycznej niezależności pana Berka, który podobno śmiał mu się sprzeciwiać w Radzie Ministrów, a który również – o tym już pan premier nie wspomina – w 2005 r. kandydował nieskutecznie do Sejmu z list Platformy Obywatelskiej (jako bezpartyjny)?

Właściwie nie ma już większego znaczenia, co stanie się dalej w Trybunale Konstytucyjnym – czy nastąpi próba jego siłowego przejęcia, czy sędziowie trwający w zawieszeniu powołają jakiś TK-bis, czy może oflagują się i zainstalują w namiocie na ulicy przy Alei Szucha przed bramą Trybunału i tam będą organizowali posiedzenia na emigracji. Ważne jest jedno: Trybunał w postaci, jaką urządzili politycy z dwóch głównych partii, począwszy od 2015 r., jest nie do uratowania. Jeśli ktoś serio myśli o jego naprawie, to musi też myśleć o ustawie, która wyzerowałaby jego skład i dała możliwość powołania sędziów bez kontrowersji od nowa.

To jednak nie wystarczy. Dotychczasowe doświadczenia pokazują, że nowa ustawa musiałaby załatwiać jeszcze inne kwestie z zaangażowaniem politycznym kandydatów na czele. Można by zastrzec, że pomiędzy zasiadaniem w parlamencie lub również pełnieniem funkcji w administracji publicznej a powołaniem do TK muszą minąć co najmniej cztery lata albo nawet dziewięć (długość kadencji sędziego TK). A może wręcz takie osoby w ogóle nie powinny być do TK wybierane. Trzeba by również doprecyzować procedurę sprawdzania kwalifikacji kandydatur, tak aby uniknąć wątpliwości, które dzisiaj dotyczą wymaganych 10 lat wykonywania zawodu rady prawnego przez pana Berka. Kto i jak ma sprawdzać oświadczenia kandydatów w tej kwestii? Jak rozumieć pojęcie „wykonywania zawodu"? Czy wystarczy, jeśli przez w sumie dekadę kandydat był wpisany na listę radców prawnych jako wykonujący zawód czy może powinien udowodnić, że w tym czasie faktycznie pracował w swojej dziedzinie? Jedno bowiem nie jest równoznaczne z drugim, a ustawy o SN i NSA, do których odwołuje się ustawa o statusie sędziów TK, tego nie dookreślają.

Problem w tym, że aby cokolwiek zmienić, musiałaby pojawić się chęć ze strony partii głównego nurtu, które dawno działają wyłącznie w logice brutalnego zawłaszczania instytucji. PiS uczynił z tego cnotę „obozu propolskiego", a KO ustami Donalda Tuska rozbił nadzieje własnych wyborców w typie pięknoduchów, którzy liczyli na „uzdrawianie sądownictwa". Powiedział im wprost, że żadnego uzdrawiania nie będzie – będzie wejście z łomem i bejsbolem, w przenośni oczywiście. A może i nie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d

Następny na liście



Piotr Semka

Jak ujawniły badania IPN, w archiwach komunistycznego MSW ks. Małkowski długo był na pierwszej pozycji listy księży uznawanych za największe zagrożenie dla socjalizmu w Polsce



Ksiądz Stanisław Małkowski u otwartego grobu ks. Jerzego Popiełuszki. Po prawej: rodzice zamordowanego księdza, listopad 1984 r. FOT. Z ZASOBÓW IPN

O takich kapłanach mówi się różnie. „Trudny człowiek na trudne czasy", „ksiądz nawiedzony" czy „Boży szaleniec". Gdy żyją – ich nawyk mówienia prawdy prosto z mostu jednych urzeka, a innych razi.

Jeden ze starych warszawskich księży wspomina: „Pamiętam, jak w 1983 r. z powodu jakiejś błahej sprawy załatwiałem coś w kurii na Miodowej. Jeden z urzędników kurialnych przeszedł na temat ks. Stanisława Małkowskiego. »Uważa się za szaleńca Bożego czy co? Mamy z nim same kłopoty. Już tego wytrzymać nie można«. Patrzyłem na pewnego siebie „urzędnika pana Boga" – syty, mający poczucie bezpieczeństwa pod bezpośrednim parasolem prymasa Glempa mówił o ks. Małkowskim w takim tonie, że przez chwilę chciałem mu przerwać. Nie przerwałem. Bałem się konsekwencji. Ten urzędnik nigdy nie otarł się o choćby cień zagrożeń, z którymi zmagał się ks. Małkowski. Do dziś się wstydzę, że wtedy mu nie przerwałem".

Po o. Bronisławie Sroce odszedł właśnie ksiądz Stanisław Małkowski. Kolejny z długiego pocztu kapłanów niezłomnych. Władze komunistyczne obdarzały go wyjątkową nienawiścią.

ANTYKOMUNISTA INTUICYJNY

Urodził się w środowisku naukowym, w rodzinie szlacheckiej. Przyszedł na świat 29 lipca 1944 r., trzy dni przed wybuchem powstania warszawskiego, w niewielkim majątku Wola Korytnicka na Mazowszu. Dziadek ze strony ojca, Stanisław Małkowski, był przedwojennym pracownikiem naukowym. Jego dziadkiem był Władysław Malski, legionista, a potem w II RP poseł i senator.

Po wejściu Sowietów w 1939 r. dziadek Malski został aresztowany i ślad po nim do dziś zaginął. Po wojnie oboje rodzice ks. Małkowskiego zostali pracownikami naukowymi. Na temat historii rodzinnej w domu nie rozmawiali. Bali się o syna w latach stalinowskich.

Ksiądz Stanisław Małkowski wspominał: „Na wszelki wypadek rodzice żadnych tematów politycznych nie poruszali. Ale też nieistniejącą osobą był Stalin. Kiedy więc znalazłem się w szkole w III klasie, po raz pierwszy zacząłem się dowiadywać, że jest on wielkim przyjacielem

eprasa.pl c21ff32d6d

dzieci i bardzo dobrym człowiekiem. Byłem zdziwiony, że nie mówiono mi o tym w domu". Potem, gdy Stalin zmarł, mały Staszek zdziwił się, że rodzice się nie smucą.

Ta przymusowa izolacja od rodzinnej tradycji skończyła się po śmierci Bolesława Bieruta, gdy paraliżujący strach ustąpił. Mateusz Wyrwich, autor najbardziej wyczerpującego tekstu o życiu księdza, pisał: „W wieku 12 lat w 1956 r. Staś słuchał już namiętnie Radia Wolna Europa i potrafił bronić swego zdania w dyskusjach politycznych". W 1961 r. zdaje na wydział socjologii Uniwersytetu Warszawskiego, ale już dwa lata później, idąc za mocnym wewnętrznym powołaniem, Stanisław Małkowski decyduje się na drogę kapłaństwa. Jego droga miała parę faz i zygzaków, ale wcześniej jeszcze był marzec 1968 r.

Janusz Korwin-Mikke wspomina: „Chodziliśmy do Liceum im. Tadeusza Reytana, a potem na wydział filozofii i socjologii UW. I już całkiem razem wyrzucili nas z tego wydziału po marcu '68".

W 1970 r. Stanisław Małkowski trafia w końcu do Warszawskiego Wyższego Seminarium Duchownego. Edukacja seminaryjna zostaje mu skrócona o dwa lata, ponieważ wiele przedmiotów kursowych zaliczył już wcześniej na uniwersytecie. Po wielu perturbacjach, bo już wtedy wykazywał rogatą duszę, ostatecznie jego święcenia kapłańskie zatwierdza w końcu sam prymas Stefan Wyszyński. Zafascynował się w tym czasie tematyką resocjalizacji więźniów w zakładach karnych. To zbliża go do Jacka Kuronia, który właśnie wyszedł z więzienia i dużo opowiadał mu o swych doświadczeniach więziennych. Początki opozycyjnej aktywności ks. Małkowskiego wiążą się więc ze środowiskiem pomarcowej lewicy spod znaku „Komandosów". Młodym księdzem zaczyna interesować się SB, która w swoich raportach określa jego kazania jako antysocjalistyczne. W 1975 r. kapłan podpisuje tzw. List 59, czyli manifest pisarzy i dysydentów przeciw zmianom w konstytucji PRL. To zbliżenie z lewicą KOR-owską kończy się w bardzo znamienny sposób. Adam Michnik, który w 1977 r. pisze swój głośny wtedy tekst „Kościół, lewica, dialog", daje ks. Małkowskiemu tekst do przeczytania i recenzji.

Dziennikarz Paweł Nowacki, który rozmawiał z ks. Małkowskim w 2016 r., tak relacjonuje jego słowa na temat tego incydentu: „Michnik poprosił mnie o napisanie wstępu do swojej książki. Odpowiedziałem na to, że coś już na ten temat napisałem. – Co? – zapytał Michnik. Odparłem, że recenzję książki wysłałem do podziemnego czasopisma »Spotkania« w Lublinie. Zaznaczyłem, że moja ocena jest krytyczna, ale uznaję pewne dobre intencje autora i widzę pewne wspólne cele, ale i ograniczenia w tej kooperacji. – Daj mi to do przeczytania – zażądał Michnik. I dałem. Przeczytał, wybuchł gniewem i podarł przy mnie ten tekst na strzępy. Zażądał, abym tekst wycofał, a ja na to: – Już poszło do druku. Taki był koniec tej przyjaźni".

W tym samym czasie ks. Małkowski angażuje się w działania grupy Gaudium Vitae, w której wraz z o. Jackiem Salijem i ks. Stanisławem Ługowskim działa na rzecz nakłaniania dziewcząt planujących zabicie własnego dziecka do odstąpienia od tego zamiaru. Duchowni odwiedzają kliniki ginekologiczne i starają się przekonywać przyszłe potencjalne matki do urodzenia swych dzieci. Ksiądz Małkowski wyszukuje dla samotnych matek mieszkania przy rodzinach, aby w spokoju przeszły ciążę i urodziły dziecko.

Dziennikarka Barbara Sułek-Kowalska, która pracowała w 1976 r. w studenckim tygodniku „ITD", wspomina: „W tym czasie na naszych łamach ukazał się dosyć nietypowy dla prasy PRL fotoreportaż Anki Musiał z zabiegu aborcyjnego. Zdjęcia nie były same w sobie drastyczne, ale ich wymowa ukazywała ponury charakter tego, co dzieje się w klinikach aborcyjnych. Jakimś cudem to poszło. I oto później do redakcji przyszedł list ks. Małkowskiego, który pisał, że ten reportaż to o wiele za mało, aby ukazać grozę samego zjawiska zabijania bezbronnych dzieci nienarodzonych. I – co jeszcze dziwniejsze – redaktor naczelny Jan Rurański ten list wydrukował. Nie minął tydzień, a Rurański został usunięty ze stanowiska".

Andrzej Horubała, który wówczas obserwował uważnie warszawski światek opozycji, wspomina: „Ksiądz Małkowski bywał akceptowany jako kapłan przeciwny systemowi, ale jego wyczulenie na kwestie aborcji zyskiwało mu w części opozycjonistów opinię oszołoma. A on traktował tę sprawę na równi z postulatem demontażu systemu. Traktował walkę z aborcją jako integralny cel oporu społecznego. Że to nie jest jakaś poboczna rzecz, którą kiedyś się zajmiemy, jak już obalimy komunę. To dla niego była zbrodnia wołająca o pomstę do nieba, z którą trzeba walczyć tu i teraz. Dlatego równolegle do wspierania opozycji sam wydawał ulotki antyaborcyjne".

Już w latach 70. zaczyna współorganizować Msze polowe na warszawskiej Olszynce Grochowskiej, upamiętniające pokonanie Rosjan w jednej z najkrwawszych bitew powstania listopadowego w 1831 r. Andrzej Melak z podziemnego ruchu rodzin katyńskich wspomina jego mieszkanie na Saskiej Kępie, gdzie mieszkał z mamą. „Jak wchodziło się do jego pokoju, to cały salon zawalony był literaturą bezdebitową. Pomagał nam w odsłonięciu pierwszego krzyża katyńskiego na Powązkach koło pomnika Gloria Victis 31 lipca 1981 r. Jeszcze tej samej nocy batalion ZOMO wyrwał krzyż i wywiózł go do koszar w Golędzinowie".

NA KOLANACH PRZED OTWARTYM GROBEM

Jak ujawniły potem badania IPN, w archiwach komunistycznego MSW ks. Małkowski długo był na pierwszej pozycji listy księży uznawanych za największe zagrożenie dla socjalizmu w Polsce. Profesor Mirosław Piotrowski z KUL tak opisał działania bezpieki z połowy 1984 r.: „Funkcjonariusze SB z tzw. grupy B IV departamentu MSW zajmującego się zwalczaniem kościoła w Polsce zintensyfikowali dotychczasowe działania. Sporządzono tajną listę księży, przeznaczonych do fizycznej eliminacji, na której ksiądz Jerzy Popiełuszko wstępnie znalazł się na drugim miejscu, tuż za księdzem Stanisławem Małkowskim".

Potem, gdy kazania ks. Popiełuszki w Kościele św. Stanisława Kostki zaczęły ściągać dziesiątki tysięcy wiernych z całej Warszawy, grupa morderców pod wodzą kpt. Grzegorza Piotrowskiego zmieniła priorytet i wybrała na cel mordu ks. Jerzego.

Ewa Tomaszewska, która działała wtedy w podziemnej Solidarności pamięta, jak śmierć przyjaciela zdruzgotała ks. Małkowskiego:

eprasa.pl c21ff32d6d



Prezydent Andrzej Duda dekoruje ks. Stanisława Małkowskiego Orderem Orła Białego, 11 listopada 2021 r.
FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

„Wiedział, że ks. Jerzy zginął niejako za niego. To on został zamordowany zamiast niego. Ksiądz Małkowski mówił: on mnie wyprzedził. Pamiętam moment tuż po znalezieniu ks. Popiełuszki. Prymas Glemp nałożył na niego wówczas ścisły zakaz wygłaszania kazań. Władze kościelne zrobiły to z troski, bojąc się, że on będzie następny po ks. Jerzym. To był dla niego dramat, ale się nakazowi podporządkował. Jedyne, co mógł zrobić, to tak rozszerzyć modlitwę wiernych, aby wpleść parę słów od siebie".

W ramach nałożonych ograniczeń został przeniesiony do posługi do kościoła przy jednym z największych warszawskich cmentarzy na Wólce Węglowej na obrzeżach Warszawy. Gorzko żartował wtedy w gronie przyjaciół: „Dotąd wspierałem podziemie, a teraz będę zajmował się ludźmi w podziemiu".

Mateusz Wyrwich, który redagował wówczas podziemne pismo „Tygodnik Wojenny", w którym pisywał pod swoim nazwiskiem ks. Stanisław, wspomina jego duże poczucie humoru.

„Czasami nie wytrzymałem i pytałem: Czy to cię nie denerwuje? A on odpowiadał spokojnie: To przecież Duch Święty i Matka Boska o tym decydują. Jaki my mamy na to wpływ?".

Jan Ruman, aktywny wówczas w podziemiu, wskazuje, że owo „zesłanie na parafię nieboszczyków", które oburzyło wielu wiernych, koniec końców nie było najgorszym pomysłem. „Prymas wobec władz miał argument, że jakoś zareagował na ich naciski. A praca na parafii cmentarnej miała dla ks. Małkowskiego zalety. Pogrzeby zajmowały tylko poranki i godziny przedpołudniowe, a resztę czasu miał ksiądz dla siebie i... dla opozycji".

ZAWSZE POD PRĄD

Do końca swej posługi nie odzyskał prawa do wygłaszania kazań. Po upadku PRL nikt mu z hierarchii kościelnej specjalnie za nic nie podziękował. Dalej był księdzem niewygodnym. Tak samo zawadzającym kurialistom jak inny kapelan Solidarności – ks. Tadeusz Isakowicz-Zaleski.

I wtedy, gdy ks. Małkowski zwracał uwagę na konieczność obrony życia poczętego, i wtedy, gdy mówił o duchowym umieraniu Europy, i wtedy, gdy prowadził modlitwę w czasie marszów smoleńskich.

Janusz Kotański, były ambasador polski przy Watykanie, pamięta jego heroizm, gdy był z wiernymi modlącymi się przy krzyżu papieskim na Krakowskim Przedmieściu. Był z wiernymi późną nocą, gdy grupki podpitych wyrostków, „dzieci Palikota", zaczepiały lub prowokowały ludzi zanurzonych w modlitwie.

„Zawsze był tam, gdzie działy się rzeczy najtrudniejsze. Nawet gdy oblewano go piwem, przytykano do jego pleców papierosy lub szturchano. Gdy bojówkarze z krzyżem z puszek po piwie Lech łżyli starszych ludzi. A wszystko to przy obojętności policjantów w cywilu, którzy przyglądali się temu napastowaniu ludzi modlących się przed Pałacem Prezydenckim".

Gdy wierni dziękowali mu za jego obecność pod krzyżem, mówił, że to nic ważnego w stosunku do tego, czego dokonywali księża w stanie wojennym. Podkreślał, że to ks. Jerzy był prawdziwym herosem, a on robi tylko to, co należy do polskiego kapłana.

Anita Gargas, dziennikarka, która walczyła wtedy o wyjaśnienie katastrofy smoleńskiej, wspomina: „Jego niezłomność we wspieraniu miesięcznic smoleńskich dodawała takim dziennikarzom jak ja, którzy próbowali dotrzeć do prawdy, ogromnie dużo siły. Nigdy nawet nie zdołałam mu za to dostatecznie podziękować".

11 listopada 2021 r. prezydent Andrzej Duda odznacza go Orderem Orła Białego. Już bardzo chory znajduje jeszcze siły, aby odebrać to odznaczenie.

Kolejne lata to odsuwanie się coraz bardziej w mroczną krainę demencji pod opieką brata.

Agata Puścikowska z „Gościa Niedzielnego" wspomina go tak: „Najbardziej pamiętam go ze wspólnego autobusu MZA. Siadał na pętli w starej sutannie, stawał skromnie z tyłu. Z tłumem ludzi. Jeździł z Kościoła św. Patryka, gdzie pomagał przyjacielowi, na Wólkę Węglową, gdzie pracował z pokorą. Długa trasa. To wiele mówi o człowieku".

A teraz wspomnienie dziennikarki Olgi Doleśniak-Harczuk: „Nasza śp. babcia Hania często ks. Małkowskiego spotykała w okolicy ulicy Saskiej, gdzie mieszkała i przesiadywała z pieskiem na ławce. Babcia bez namaszczenia odnosiła się do księży. Tak miała. A jak widziała ks. Małkowskiego, to witała go zawsze z uśmiechem i wielkim szacunkiem. Tłumaczyła nam: „On jest prawdziwy, z powołania".

A jeden ze starych warszawskich proboszczów wzdycha: „Kiedyś nas drażnił. Dziś nam takich księży strasznie brak".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d

OPEN TEXAS HORIZONS

MISJA POLSKIEGO BIZNESU DO TEXASU

30.11 - 4.12 2026

Jak zrobić **biznes w Texasie** i znaleźć partnera biznesowego?
Co musisz wiedzieć o inwestycjach?

TEXAS

- Weź udział w 3 dniowej konferencji YTEXAS w Bryan / Collage Station
- Spotkaj się z Victoria Economics Development Corporation
- Zobacz największą fabrykę SPACE X TeraFab
- Spotkaj się ze środowiskiem biznesowym podczas Polish American Chamber of Commerce w Texasie

ORGANIZATOR

INSTYTUT MIĘDZYMORZA

PATRONAT NAD MISJĄ

wprost · TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ · tysol · Radio Wnet · DO RZECZY

DOWIEDZ SIĘ WIĘCEJ! WWW.INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

691 502 025 SEKRETARIAT@INSTYTUTMIEDZYMORZA.PL

eprasa.pl c21ff32d6d



FOT. ADOBE STOCK

Ideologia na talerzu



Zuzanna Dąbrowska-Pieczyńska

Mniej mięsa, obowiązkowe strączki i więcej produktów roślinnych. Nowe zasady żywienia w szkołach i przedszkolach wywołały polityczną burzę

Fasolka zamiast schabowego – tak w największym skrócie wygląda sedno sporu, który wybuchł po wejściu w życie nowych zasad żywienia, obejmujących potencjalnie prawie 7 mln polskich dzieci. Zgodnie z rozporządzeniem Ministerstwa Zdrowia nowy jadłospis obowiązuje od 1 września w ok. 36 tys. publicznych szkół i przedszkoli. Przepisy regulują menu stołówek oraz asortyment sklepików szkolnych.

Pojęcie diety planetarnej nie narodziło się w Ministerstwie Zdrowia ani nawet w Polsce. Nowy plan żywieniowy jest efektem współpracy organizacji EAT z czasopismem naukowym „The Lancet”. W 2019 r. EAT-Lancet Commission on Food, Planet, Health, składająca się z 37 ekspertów z różnych krajów i dziedzin, opublikowała raport proponujący Planetary Health Diet. Założeniem było stworzenie diety, która będzie zdrowa, a jednocześnie zmniejszy obciążenie środowiska związane z produkcją żywności. W pierwotnym modelu referencyjnym dla osoby spożywającej 2500 kcal dziennie przewidziano średnio ok. 14 g czerwonego mięsa na dobę, czyli ok. 100 g tygodniowo.

Polskie rozporządzenie nie wprowadza do stołówek szkolnych kompletnego jadłospisu EAT-Lancet, trzyma się jednak jego głównych założeń. Zgodnie z nowymi zasadami co najmniej raz w tygodniu w ramach obiadu ma zostać podana potrawa przygotowana na bazie nasion roślin strączkowych bez dodatku produktów odzwierzęcych. Przepisy mówią również o dwóch porcjach świeżego mięsa w tygodniu, a dla osób niespożywających produktów odzwierzęcych przewidują alternatywną potrawę roślinną, szczególnie na bazie strączków. Nowe zasady obejmują również przygotowywanie zup na wywarach warzywnych co najmniej dwa razy w tygodniu oraz promowanie produktów pełnoziarnistych, owoców i warzyw (w miarę możliwości także produktów lokalnych i ekologicznych). Dopuszczone są roślinne zamienniki produktów mlecznych, jeżeli zostaną odpowiednio wzbogacone m.in. w wapń i witaminę B12.

DZIAŁANIA LOBBINGOWE

Nowa dieta w placówkach oświatowych szybko stała się przedmiotem sporu polityczno-ideologicznego. Green REV Institute, organizacja od lat działająca na rzecz zmiany systemu żywnościowego, wprost przekonuje, że to jej sukces. Organizacja w 2024 r. wraz z partnerami złożyła do Ministerstwa Zdrowia projekt nowelizacji, w 2025 r. koordynowała konsultacje publiczne i mobilizowała organizacje partnerskie, a w lutym 2026 r. rozporządzenie weszło w życie. „Od 16 lutego 2026 r. obowiązuje rozporządzenie Ministra Zdrowia, które po raz pierwszy w historii polskiego prawa gwarantuje roślinny posiłek w każdym publicznym przedszkolu i szkole podstawowej w Polsce. Green REV Institute walczyło o tę zmianę przez 5 lat. Wygrałyśmy” – ogłosiła organizacja, dodając „nasza propozycja stała się polskim prawem”. Założycielami fundacji są była skrajnie lewicowa europoseł Sylwia Spurek (która w 2019 r. pisała: „Musimy sprawić, by produkcja wyrobów odzwierzęcych była trudniejsza i droższa”; chce też zakazu reklamowania mięsa, jaj oraz nabiału) oraz jej mąż, politolog i były wiceprezes partii Wiosna Marcin Anaszewicz.

W lobbowanie za nową dietą były zaangażowane także środowiska klima-

eprasa.pl c21ff32d6d

tyczne. To m.in. organizacja Rodzice dla Klimatu, deklarująca, że zabiega o „zmiany systemowe zgodne z zaleceniami Międzyrządowego Zespołu do spraw Zmian Klimatu (IPCC)” i chce, by u podstaw decyzji, przede wszystkim politycznych, znajdowały się m.in. przyszłość dzieci i dobrostan przyrody. Koncepcja EAT-Lancet opiera się na założeniu, że sposób odżywiania człowieka trzeba rozpatrywać nie tylko przez pryzmat jego zdrowia, lecz także kondycji planety. Komisję wspierały finansowo m.in. Wellcome Trust, Stordalen Foundation i Stockholm Resilience Centre, a później do grona fundatorów dołączyła Fundacja Rockefellera. Przy kolejnych działaniach pojawia się również IKEA Foundation.

GŁOSY KRYTYKI

Były premier, lider Rozwoju Plus Mateusz Morawiecki, nazwał nowe zasady „szaleństwem ideologicznym”. Zarzucił rządowi wprowadzenie diety bez konsultacji z rodzicami. „Zamiast schabowego dzieci dostaną sojowego” – alarmuje polityk. Na krytykę odpowiedziała minister edukacji. Barbara Nowacka pyta, gdzie w zdrowym odżywianiu jest ideologia, a Morawieckiego określiła jako „niedouczonego”. „Fasola jest polskim daniem. Cóż złego jest w tym, że raz w tygodniu dziecko nie zje smażonego schabowego, a zje polską fasolkę, zdrowe jedzenie? – mówiła szefowa MEN w Polsat New. – Chyba nie chcemy, żeby polskie dzieciaki wyglądały tak, jak wygląda część dzieci w społeczeństwie amerykańskim?” – dodawała, podkreślając prozdrowotny charakter nowego stylu żywienia.

Sprzeciw wobec robienia z nowych przepisów symbolu cywilizacyjnej rewolucji wyraziła też dziennikarka „Gościa Niedzielnego” Agnieszka Huf. Przypomina ona, że państwowe wytyczne dotyczące żywienia w szkołach nie są żadną nowością – szkolna stołówka nigdy nie była restauracją à la carte. „Teraz ma być więcej warzyw i owoców, smażone mięso max 2 razy w tygodniu, raz w tygodniu ryba. Co w tym złego? OK, można dyskutować, czy strączki muszą być co tydzień. Ale robienie z tego rozporządzenia pałki ideologicznej to jeden z większych absurdów ostatnich lat” – stwierdziła Huf. Z kolei popularny na TikToku dietetyk i technolog żywności Mateusz Szalajko obśmiał strach przed „lewackimi strączkami” i „głodzeniem dzieci”. „Więcej produktów roślinnych, warzyw i pełnych ziaren, a mniej mięsa i żywości wysoko przetworzonej […]. Żadnych sojowych substytutów w przepisach nie ma. Strączki to nie tylko soja, ale też soczewica, fasola, ciecierzyca i groch” – mówi. A dalej kpi: „Zmiana jadłospisu i receptur może być wyzwaniem [dla szkolnych kucharek – przyp. red.], ale strączków nie wynaleziono w Polsce 1 września 2026 roku. Narodowe Centrum Edukacji Żywieniowej przygotowało materiały, e-booki, plakaty i poradniki […]. Problemem może być akceptacja zmian, a nie odkrycie istnienia fasoli” – kpi Szalajko.

Jednak to, co jedni obśmiewają jako „prawicową paranoję”, dla innych stanowi prawdziwe wyzwanie. Mówi o tym autorka instagramowego profilu Mamo_a_dlaczego, pracująca z dziećmi w spektrum autyzmu, matka takiego dziecka. Jak podkreśla, w terapeutycznym przedszkolu problemem nie jest przekonanie dziecka, że fasola jest zdrowa, lecz doprowadzenie do tego, żeby w ogóle cokolwiek zjadło. Dzieci z wybiórczością pokarmową potrafią akceptować wyłącznie określoną teksturę, zapach, konsystencję czy nawet kolor potrawy. „Tu trwa walka o tak naprawdę każdy kęs jedzenia. Te dzieci jedzą tylko to, co znają, tylko to, co jest dla nich przewidywalne, co ma odpowiednią teksturę, zapach, konsystencję i do tego kolor” – tłumaczyła na jednym z TikToków. Stawia zasadne pytanie: co zrobić z dzieckiem, które nowego posiłku po prostu nie zje? Na podobny problem zwraca uwagę poseł Marcin Józefaciuk, nauczyciel z wieloletnim doświadczeniem. Poinformował, że zgłaszają się do niego rodzice, dyrektorzy i pracownicy stołówek szkolnych. Wśród sygnalizowanych problemów wymienia wybiórczość pokarmową, trudności sensoryczne związane z zapachem i konsystencją potraw, ryzyko zwiększenia ilości wyrzucanego jedzenia, brak praktycznych szkoleń dla personelu, dodatkowe koszty i problemy z umowami cateringowymi. „Dziecko może dostać posiłek idealnie zbilansowany na papierze. Ale jeżeli go nie zje, jego wartość odżywcza wynosi dokładnie zero” – zauważa Józefaciuk we wpisie na platformie X. „Zdrowe żywienie nie może polegać na tym, że zdrowy obiad trafia do kosza, a głodne dziecko idzie po drożdżówkę” – dodaje. Józefaciuk nie chce rezygnacji z „diety planetarnej”, ale domaga się okresu adaptacyjnego, szkoleń dla kucharek i intendentów, gotowych receptur, wsparcia dietetyków oraz szczególnego traktowania dzieci z alergiami, ARFID i poważnymi trudnościami sensorycznymi. Chce również monitorowania nie tylko tego, co szkoły podają, lecz także tego, ile jedzenia dzieci rzeczywiście zjadają, ile trafia do śmieci i ilu uczniów rezygnuje ze szkolnych obiadów.

I TAK RODZICE MUSZĄ DOPŁACAĆ

Przeciwko nowym zasadom żywienia wystąpiła Unia Pracodawców Przemysłu Mięsnego. Choć jej przedstawiciele ostrzegają, że przesunięcie jadłospisów w stronę żywności roślinnej może zamiast poprawy nawyków przynieść frustrację uczniów i protesty rodziców, to warto mieć na uwadze ekonomiczny interes tej branży.

Ponad sporem, wybrzmiewa pytanie o prawo rodziców do decydowaniu o swoim dziecku. Artykuł 48 konstytucji brzmi: „Rodzice mają prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami (moralnymi i religijnymi)”. Co prawda obiady w przedszkolach i szkołach nie są obowiązkowe, ale trzeba pamiętać, że rodzice muszą za nie dopłacać. „Mamo, tato, wypiszcie mnie z tych obiadów” – to, jak opisuje portal WP Kobieta, mieli usłyszeć rodzice 10-letniej córki po czterech dniach od wejścia w życie „diety planetarnej”. „Córka podsumowała obiady jako »warzywne breje«, które ani nie wyglądają, ani nie smakują. Efekt? W szkole nie je, po całym dniu przychodzi głodna i dopiero w domu zjada pierwszy ciepły posiłek” – czytamy. Matka dziewczynki mówi: „Jeśli dalej tak to będzie wyglądać, to faktycznie przestaniemy opłacać obiady, a do tornistra córki zaczniemy pakować termos z zupą lub drugim daniem”.

Prawdziwy test przepisów odbywa się właśnie przy szkolnym stole. Jeśli dzieci będą jadły nowe potrawy, poprawi się jakość ich diety, a ilość odpadów nie wzrośnie, zwolennicy reformy dostaną do ręki mocny argument. Jeśli jednak pełne talerze nadal będą wracać do kuchni, kolejny ministerialny pomysł okaże się klapą.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

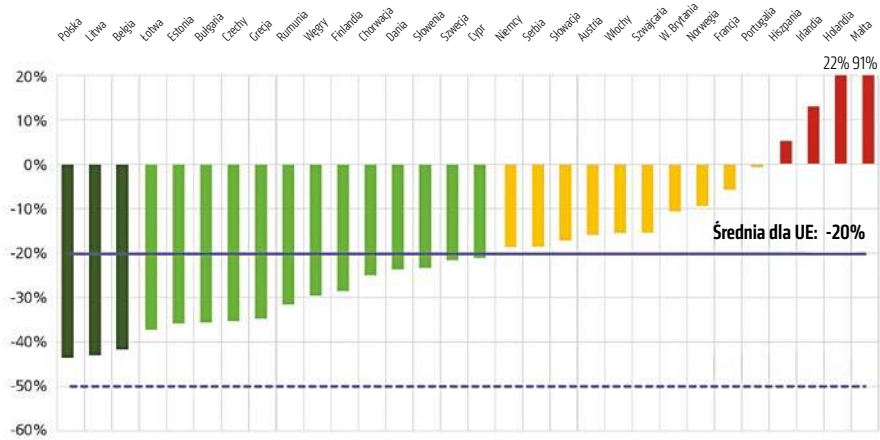
eprasa.pl c21ff32d6d

Polskie drogi
już bezpieczniejsze niż francuskie



Łukasz Zboralski

Jeszcze dekadę temu najwięcej osób ginęło w wypadkach drogowych w Polsce, Bułgarii i Rumunii. Obecnie drogi nad Wisłą są bezpieczniejsze niż francuskie, włoskie czy greckie. Osiągnęliśmy gigantyczny sukces. I to mimo rządów, które do dziś nie prowadzą sensownej polityki w tej dziedzinie



Względna zmiana liczby ofiar śmiertelnych wypadków drogowych w latach 2015–2025 FOT. ETSC.EU

Ponieważ coraz bardziej chcemy się poruszać bezpiecznymi drogami, może nam umykać w Polsce to, że nasze trasy stały się naprawdę dużo bezpieczniejsze. Owszem do liderów takich jak Szwajcaria czy Szwecja dużo nam brakuje, ale po dekadzie kraj nad Wisłą zredukował wypadkowość tak bardzo, że nie ma sobie równych w całej Unii.

KIEDYŚ OGON EUROPY

Europejska Rada Bezpieczeństwa Transportu (ETSC) co roku publikuje raporty, w których wylicza wskaźniki bezpieczeństwa na drogach dla krajów unijnych. Road Safety Performance Index (PIN) za 2025 r. pojawił się niedawno. W Polsce przeszedł trochę niezauważony. Może dlatego, że choć znów wykazaliśmy tam najlepszą redukcję śmierci drogowych, tym razem ETSC już nie naszemu krajowi postanowiło przyznać doroczną nagrodę za postęp. Zapewne dlatego, że całkiem niedawno, w 2023 r., taką nagrodę wręczono przedstawicielom naszego kraju w Brukseli.

Powinniśmy jednak się pochylić nad tym zestawieniem, bo jest ono dowodem na to, że Polska przez dekadę wykonała niebywały cywilizacyjny skok pod względem poprawy bezpieczeństwa na drogach. Powinniśmy być z tego dumni, a wydaje się, że tego nie dostrzegamy.

Jeszcze dekadę temu – w 2015 r. – pod względem zgonów w wypadkach na 1 mln mieszkańców okupowaliśmy końcówkę europejskiego zestawienia. Chociaż od dawna trwał już ogromny program budowy autostrad i ekspresówek (pierwsze odcinki oddawano na odbywające się w Polsce i na Ukrainie piłkarskie mistrzostwa Euro 2012), mocno odbiegaliśmy od innych krajów w Unii. Średnio w UE ginęło wówczas w wypadkach drogowych 50 osób na 1 mln mieszkańców. Nasz wskaźnik – oraz Łotwy – wynosił wówczas 80! Gorszy dramat na drogach niż w Polsce obserwowano wówczas jedynie w Rumunii (97) i Bułgarii (99). Chorwaci byli przed nami – z 77 zgonami w wypadkach na 1 mln mieszkańców.

Osiągnięcie takiego poziomu bezpieczeństwa, jak na drogach we Włoszech, Francji czy w Austrii (te kraje miały wskaźnik 54), czy Belgii (56) wydawało się czymś nierealnym. Tkwiliśmy głęboko i od lat w strefie krajów drogowo niebezpiecznych. I dopiero budził się pewien społeczny sprzeciw wobec takiej sytuacji.

Najnowszy raport ETSC pokazuje, że na europejskich drogach bezpieczeństwo się poprawiło, choć nie był to skok radykalny. Wskaźnik za 2025 r. wynosi dla Europy 43. I w tym spadku Polska miała jeden z większych wkładów, ponieważ część krajów została dokładnie tam, gdzie tkwiła. W Rumunii i Bułgarii ryzyko zgonu w wypadku nadal jest wysokie, prawie takie jak dekadę temu. Wskaźniki dla tych krajów wynoszą 80 i 71. Trzeci najgorszy wynik – mimo pewnego postępu – ma Chorwacja (67).

A gdzie jest Polska? Ze wskaźnikiem 45 zgonów w wypadku drogowym na 1 mln mieszkańców znajdujemy się prawie w średniej europejskiej. Niewiele brakuje nam do Czechów i Austrii (43) czy Belgii (39).

eprasa.pl c21ff32d6d

Za nami znajdują się dziś nie tylko kraje „tradycyjnie" niebezpieczne drogowo, a także takie, które kiedyś mogły być dla nas wzorem. Gorzej niż w Polsce jest na Cyprze (46), we Francji (48), w Grecji (50), we Włoszech (52) i w Portugalii (55).

Patrząc szerzej – od 2019 r. Polska zmniejszyła liczbę ofiar śmiertelnych na drogach o 43 proc. I jest to największa redukcja spośród wszystkich krajów uwzględnionych w raporcie ETSC.

Radość z tak bezpiecznych dróg psuje nam może dodatkowy wskaźnik. To liczba zgonów w przeliczeniu na 1 mld przejechanych przez pojazdy mechaniczne kilometrów (tzw. vehicle-distance travelled). Ten wskaźnik pozwala powiązać liczbę tragedii drogowych z natężeniem ruchu, zatem trochę lepiej odzwierciedla ryzyko każdego wyjeżdżającego na drogę. Jak często, podróżując, można paść ofiarą wypadku w Polsce? Dokładnie nie wiadomo. Bowiem ETSC wskazał dla krajów dane uśrednione za lata 2023–2025 lub ostatnie dostępne trzy lata. I Polska dostarczyła dane za lata 2021–2023. Pewien obraz – niestety, niezbyt dobry – można jednak dostrzec. Polski wskaźnik wynosi 8,8. Tu nadal tkwimy w ogonie UE, bo gorsze wskaźniki mają wyłącznie Łotysze (9,5), Litwini (10) i – o dziwo – Węgrzy (10,2). Francuski wskaźnik to 5,3, a włoski – 6,7. Krótko mówiąc – jest nad Wisłą znacznie lepiej, ale jeszcze dużo możemy zrobić.

ŹRÓDŁA SUKCESU

W latach 2015–2019 średnio rocznie w wypadkach drogowych w Polsce ginęło prawie 3 tys. osób. Te liczby zadają kłam częstemu powszechnemu przekonaniu, że prosta rozbudowa dróg i „lepsze" auta same spowodowały dużą poprawę bezpieczeństwa drogowego. Owszem rozbudowa sieci drogowej autostrad i ekspresówek miała duży wkład, ale ten impuls wygasał już od 2015 r. Po prostu dróg nie przybywało już w takiej skali, pewien główny szkielet krajowy mieliśmy już zbudowany. To skąd wziął się nagły dalszy spadek po 2019 r.?

W odpowiedzi na to pytanie warto zacytować Jenny Carson, współautorkę raportu ETSC za 2025 rok: „Ten raport pokazuje Europę dwóch prędkości. Niektóre kraje są na dobrej drodze do zmniejszenia liczby ofiar śmiertelnych o połowę do końca dekady; większość zostaje w tyle, a UE jako całość zboczyła z kursu. Nic z tego nie jest nieuniknione – to odzwierciedlenie decyzji podejmowanych przez rządy".

Mieliśmy wreszcie rządy, które po latach zdecydowały się działać i to w sferze, którą przez dekady polscy politycy uważali za ryzykowną – czyli potencjalnie związaną z utratą wyborców, którzy mogą się obrazić za „represje".

Rząd Mateusza Morawieckiego zdecydował się w 2022 r. na urealnienie kar za wykroczenia drogowe. Po 30 latach stawki mandatów za najbardziej groźne zachowania (bo nie podniesiono kar za wszystko) zaczęły być dotkliwe zarówno finansowo, jak i pod względem liczby punktów karnych. Za pojedyncze groźne wykroczenia grozi dziś 15 punktów karnych i widmo utraty prawa jazdy po przekroczeniu 24 punktów karnych staje się realne. Do tego część wykroczeń objęła tzw. recydywa. Kto się nie uczy na błędach i drugi raz w ciągu dwóch lat popełni jedno z wykroczeń objętych recydywą, płaci podwójną grzywnę.

Czy mamy dowody, że to podniesienie kar zadziałało na zmniejszenie liczby wypadków? Owszem, mamy. W 2022 r. – patrząc na 2019 r., pomijając pandemiczne zaburzone dwa lata – liczba ofiar śmiertelnych wypadków spadła o 30 proc. Dokładnie o tyle samo zmniejszyła się liczba kierowców wyłapywanych przez fotoradary. Ubyło zwłaszcza największych przekroczeń prędkości. To jest dowód na zmianę zachowania kierowców. Im mniej z nich przekracza dopuszczalne prędkości, tym mniej jest w ogóle sytuacji niosących ryzyko wypadku, a wypadki przy niższych prędkościach rzadziej kończą się śmiertelnie.

Rząd Zjednoczonej Prawicy nie bał się też zmiany, którą rząd PO-PSL pogrzebał w 2011 r. I tak w 2021 r. w życie weszła nowelizacja, która nakazała kierowcom – tak jak w całej Europie Zachodniej – dostrzegać pieszych, zanim postawią stopę na pasach, i przygotowywać się do ustąpienia im pierwszeństwa. Liczba zabijanych na przejściach spadła o 30 proc., choć przez brak dobrej kampanii społecznej w pierwszym roku po zmianie prawa sama liczba zdarzeń na „zebrach" nieznacznie wzrosła.

Za rządów Morawieckiego przyjęto też prawo nakazujące sędziom orzekanie przepadku samochodów pijanych kierowców, choć same przepisy zaczęły działać już za kadencji rządu Donalda Tuska. Po wejściu w życie tych przepisów liczba wypadków śmiertelnych z udziałem pijanych kierowców spadła o 30 proc. – gdy w tym czasie w innych obszarach wypadków nie notowano tak olbrzymiej poprawy.

Obecny rząd też został zmuszony przez społeczeństwo do wprowadzenia zmian. I na szczęście nie bał się ich przygotować. Od niedawna nielegalne wyścigi na publicznych drogach to przestępstwo, za które grozi kara więzienia. Wcześniej można było za to tylko dostać mandat za prędkość. Po tej zmianie wiele podziemnych, nielegalnych organizacji kierowców zapowiedziało koniec nocnych „spotów" i szalonych przejazdów przez miasta. Za driftowanie, czyli „latanie bokiem" po ulicach traci się od razu prawo jazdy na trzy miesiące. Tak samo za jazdę na jednym kole motocyklem.

Rząd Tuska zmusił też sędziów do lepszej pracy. Sami przymykali oko na ludzi, wobec których orzekali sądowe zakazy prowadzenia pojazdów. Dlatego na drogach nierzadko policja łapała takich, którzy mieli już po kilka, a nawet kilkanaście zakazów i wciąż jeździli. Teraz sędziowie muszą od razu orzekać dożywotni zakaz, mają też utrudnione wyznaczanie kar w zawieszeniu. Łamiący sądowe zakazy często trafiają za kratki, a minister sprawiedliwości Waldemar Żurek zapowiedział niedawno kolejne obostrzenie – rząd chce sędziom już narzucić, a nie utrudnić, zamykanie takich osób. Jest już też gotowy projekt zmiany całego systemu kształcenia kierowców, który z PRL-owskiej siermięgi zacznie przypominać bardziej to, w jaki sposób przyszłych kierowców kształci się w Szwecji.

To, co Polska osiągnęła w dekadę w bezpieczeństwie na drogach, jeszcze w 2015 r. nie mogło się nawet marzyć tym, którzy chcieliby bezpiecznie dojechać z domu do pracy lub rodziny. Przykre jest tylko to, że każdą z tych zmian rząd wdrażał, bo po głośnych wypadkach wymuszała to opinia społeczna i media. Do dziś nie mamy instytucji, która prowadziłaby wieloletnie działania oparte na naukowych badaniach i doświadczeniach innych krajów. Każda następna poprawa będzie więc opłacona czyjąś krwią. A przecież tak nie musi być.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Sześcioodcinkowa seria Netflixa to opowieść na motywach „Lalki”

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Łęcka i inne emancypantki



Piotr Gociek

Serial „Lalka” Pawła Maślony. To nie jest ekranizacja arcydzieła Prusa, to jest remiks, to jest literacki mash-up, który imponuje sprawnością realizacyjną i razi żartami na poziomie letnich biesiad kabaretowych

Wszyscy znamy takie budynki. Z zewnątrz odnowione pieczołowicie ściany, oczyszczone elewacje, drobiazgowo odtworzony kształt dawnych okien, kolumienek, frontonów. Zdaje się, że to podróż w czasie, z zewnątrz kamienica wygląda, jakby dopiero co ją postawiono i oddano do użytku. Złudzenia dopełniają pieczołowicie dobrane detale: klamki, kraty, czasem płaskorzeźby. Po wejściu do środka okazuje się, że dalej są już tylko ultranowoczesne wnętrza, przeszklone windy w miejsce dawnych schodów, przestrzenie open space w miejsce mieszkań. Jest pozór, nie ma treści.

SZTUKA ZAANGAŻOWANA

Paweł Maślona zapowiadał w jednym z wywiadów, że w jego wersji „Lalki” zawartość literackiego oryginału Bolesława Prusa będzie znikoma, najwyżej 10 proc. Słowa dotrzymał. Sześcioodcinkowa seria Netflixa to opowieść na motywach „Lalki”, opowieść, z którą reżyser i scenarzyści poczynali sobie nader swobodnie. To nie jest ekranizacja arcydzieła polskiej literatury, to jest remiks, to jest literacki mash-up, w którym znienacka pojawia się Eliza Orzeszkowa, pola naftowe i kryminalne śledztwo, bardzo zresztą postmodernistyczne, bo odpowiadający za nie policjant prowadzi je przez jego nieprowadzenie, to znaczy oczekiwanie, aż sprawa się wyjaśni lub nie. To trochę „Żądło”, trochę „Hrabia Monte Christo”, trochę „Nędznicy”, trochę „Emancypantki”, a trochę i „Lalka”. Trochę. Bo postacie mają znane z powieści nazwiska i dynamika między niektórymi z nich została zachowana (rzadko).

Nie tyle z Prusem mamy do czynienia, ile z czymś na kształt sześciogodzinnego teatralnego spektaklu Pawła Demirskiego, tyle że tutaj bez Moniki Strzępki. Jest to sztuka zaangażowana, co powinno budzić naszą głęboką podejrzliwość, ale co w świecie kulturalnych salonów III RP dokonujących dystrybucji prestiżu jest, oczywiście, najwyższą rekomendacją. Byle była to sztuka zaangażowana po właściwej stronie. Zgodnie z najnowszymi trendami jest to więc opowieść feministyczna, emancypacyjna, wymierzona przeciw bogaczom, a w szczególności głupiej i podłej arystokracji. Sytuuje się ta wersja, ten cień „Lalki”, gdzieś między furią spektaklu „W imię Jakuba S.” Demirskiego i Strzępki a poziomem humoru znanym z innego hitu Netflixa, czyli nibyszlacheckiej komedii „1670”.

Netflix reklamuje to przedsięwzięcie słowami „współczesna reinterpretacja klasycznej powieści”. Ja powiedziałbym, że Paweł Maślona traktuje Bolesława Prusa jak Łęccy traktują Wokulskiego. Samego Wokulskiego nie potrzebowali, potrzebowali natomiast jego pieniędzy. I myślę sobie, gdyby Maślona przyszedł do Netflixa

eprasa.pl c21ff32d6d

lub kogokolwiek z pomysłem na własny, oryginalny i drogi, kostiumowy serial historyczny o treściach ahistorycznych, to nikt żadnej kasy by mu nie dał. Dlatego wziął sobie tytuł „Lalka" i nazwisko Prusa, wziął sobie nazwiska bohaterów znanych wielu pokoleniom czytelników i widzów, po czym cynicznie użył ich jako kluczyka do skarbca. To, co właściwie Prus napisał, było dla niego mniej więcej tak samo ważne, jak dla Łęckich to, czy Wokulski dorobił się na mące czy na cukrze – to znaczy kompletnie nieważne.

IZABELA W CENTRUM WYDARZEŃ

No dobrze. Wiemy już, że nie ma sensu dyskutować o nowej serialowej „Lalce" jako o ekranizacji powieści Prusa. Ale nie znaczy to, że dyskusji nie warto prowadzić. Coś bowiem powstało, i to za niemałe pieniądze, coś, co jak sadzę, będzie bardzo popularne. Cóż to zatem za dziwo? Czy stoi na własnych nogach? Tych, którzy pamiętają, jak dobry był kinowy debiut Maślony „Atak paniki", nie zdziwi informacja, że „Lalkę" ogląda się bardzo dobrze. A tych, którzy pamiętają jego dziwacznego „Kosa" zrównującego polskich chłopów z amerykańskimi czarnymi niewolnikami, nie zdziwi z kolei, że jest to oglądanie przerywane czasem głęboką irytacją.

Stanisław Wokulski (Tomasz Schuchardt) wraca z wojny z majątkiem, wciąż zakochany w Izabeli Łęckiej (Sandra Drzymalska). Sklepu pilnował tymczasem Ignacy Rzecki (Dariusz Chojnacki). Te podstawowe punkty są zgodne z literackim oryginałem. Podobnie jak to, że państwo Łęccy są zadłużeni po uszy, Tomasz Łęcki, ojciec Izabeli, nie ma ręki do interesów (gra go Jacek Braciak). Na scenie kręcą się także inne figury wyciągnięte z kart powieści: kuzynka Florentyna (Julia Wyszyńska), utracjusz baron Krzeszowski (Borys Szyc), jeszcze większy hulaka kuzyn Starski (Piotr Pacek).

W centrum wydarzeń stoi jednak Izabela, nie Wokulski. To znaczy, Izabela wedle Maślony oraz pozostałych scenarzystów (oprócz Demirskiego także Jagoda Dutkiewicz) wymyślona. Aktywna seksualnie, zafascynowana ideami feministycznymi, stała czytelniczka pisma „Bluszcz"; wreszcie gość w redakcji pisma, gdzie spotyka Elizę Orzeszkową. Orzeszkowa zaś jest w bliskiej relacji z lekarką (Polką kształconą w Zurychu), której carskie władze nie chcą nostryfikować dyplomu. Wątek Wokulskiego pomagającego prostytutce Mariannie został przepakowany w quasiszpiegowską intrygę, co pomaga w dalszym układaniu fabuły, ale działa na niekorzyść Wokulskiego.



REŻ. PAWEŁ MAŚLONA
„LALKA"
NETFLIX
2026

Prawda jest taka, że w ogóle niewiele działa tu na korzyść Wokulskiego, podstawowy koncept tej zremiksowanej „Lalki" jest taki, że wszyscy faceci to świnie, oszuści, pijacy, a w przypadku arystokracji osobnicy mniej lub bardziej zdegenerowani moralnie. Najwięcej sympatii budzą inspektor policji (!) oraz nowa wersja Rzeckiego, który został pozbawiony jednak szlachetności i romantyzmu starego subiekta na rzecz bycia rubasznym sługą Wokulskiego.

Sam Wokulski czasem przypomina Edmunda Dantesa, a czasem jakiegoś niedoszłego seryjnego mordercę, tak dziwacznie manifestuje się jego obsesja na punkcie Izabeli Łęckiej. Jego brak obycia w towarzystwie jest podkreślony przesadnie, niemal kabaretowo; zresztą w ogóle postacie są tu rysowane grubymi kreskami, jak w jakichś historycznych skeczach kabaretów znanych z letnich przeglądów festiwalowych. Parodią Łęckiego jest Tomasz Łęcki w wykonaniu Jacka Braciaka. W tym theatrum mundi niemal wszyscy są swoimi parodiami.

WOLNE ŻARTY

Najzabawniejsze jest to, że „współczesna reinterpretacja" dokonana przez Maślonę i Demirskiego jest zadziwiająco anachroniczna. Pisałem o podobnym kłopocie, gdy recenzowałem przed laty serial „Sexify". Kto w trzeciej dekadzie XXI w. weźmie na poważnie tezy, że dziś największym problemem świata jest patriarchat i to, że kobiety nie mogą same o sobie stanowić, nosić ubrań, jakie chcą, i sypiać z tym, z kim chcą? Wolne żarty, spójrzmy, co nas otacza, żyjemy w świecie, w którym do więzienia trafiają ci, którzy się modlą za to, by matki nie zabijały swoich nienarodzonych dzieci, a nie propagatorki aborcji. Swoją drogą, po zaliczeniu czułych gestów między paniami oraz niezbędnym kawałku o „samostanowieniu o swoim ciele" byłem też pewien, że Demirski zaserwuje nam w scenariuszu jakąś zgrabną, malowniczą aborcyjkę, ale jakoś się powstrzymał. Jednak damskie narządy, krew oraz instrumenty niekoniecznie lekarskie odegrają w tej historii istotną rolę.

Zatem: z jednej strony debile, złodzieje, oszuści, pijacy, hazardziści, czyli mężczyźni. Z drugiej strony kobiety,



Sandra Drzymalska w roli Izabeli Łęckiej
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c21ff32d6d

spośród których najkorzystniej prezentują się Orzeszkowa i jej ferajna, potem Łęcka, która choć ma jakieś ambicje (choć długo nie wie, jak mogłaby je realizować), prostytutka Marianna, która robiła, co robiła, bo musiała, oraz Kazimiera Wąsowska grana przez Magdalenę Cielecką, która jest mądra, a więc cyniczna. Reszta to głupiutkie gąski, bezwolne narzędzia w rękach zidiociałych mężczyzn. Samiec twój wróg!

I teraz najciekawsze: jakże to wszystko jest niepotrzebne! Jak ciągnie w dół produkcję, która pod wieloma aspektami jest… uwaga – znakomita. Chwaliliśmy kiedyś serial Canal+ „Król" według powieści Twardocha za realizacyjny rozmach i imersję, trochę gorzej to wychodziło – ale też było nieźle – w disneyowskiej serii „Breslau". Natomiast „Lalka" Maślony wznosi całą zabawę na nowy, nieosiągalny dotąd poziom. Zdjęcia Pawła Flisa są rewelacyjne, kostiumy uszyte z dbałością o szczegóły, scenografia świetna, plenery dobrane bardzo dobrze. Efekty specjalne są niezauważalne, więc i wrażenie zanurzenia w epoce jest pełne. Poza może jednym momentem, gdy bodaj w pierwszym czy drugim odcinku widzimy z góry Wisłę, na której cumują barki z maszynami kupionymi przez Krzeszowskiego i Łęckiego – tam widać cukierkowość w stylu AI. Montaż jest świetny, muzyka pomaga, choć główny motyw zadziwiająco przypomina ten znany z czołówki „Gry o tron". Co mi nie przeszkadza, jak podglądać, to najlepszych, jak robić remiks, to z porządnych kawałków, a nie ścinek.

Ta neo-„Lalka", ta niby-„Lalka" Maślony broni się jako osobna opowieść, nie jako ekranizacja Prusa. Broni się jako romans (zejdą się, nie zejdą?), broni się jako opowieść o zemście, broni się jako kryminał, broni się jako historia obsesji.

Wszystkie te włożone w nią kawałki ekstra, kawałki z przekazem propagandowym w stylu pogadanek przy winku w „Krytyce Politycznej", ciągną jednak serial w dół, szczególnie gdy dialogi stają się przefajnowane, gdy gwoli rechotu współczesnej gawiedzi wszyscy nagle zaczynają rzucać kur..mi i ch…mi. Wtedy to „Lalka" zamienia się w nędzny kabaret, nie dlatego że to nie jest „Lalka" Prusa, ale dlatego że to wszystko nie jest wcale potrzebne, by utrzymać naszą uwagę.



„Lalka" Maślony wznosi całą zabawę na nowy, nieosiągalny dotąd poziom

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

A przecież nie po to tak żeście, panie i panowie, pięknie szyli te stroje i budowali kamienice na Krakowskim Przedmieściu, żeby wystawiać w tym skecze z biesiady kabaretowej Polsatu.

A przecież tyle rzeczy tu zagrało. Gdyby przyjąć konwencję zaproponowaną przez Maślonę i Demirskiego (brukową powieść obyczajową z infuzją polityki), to i Sandra Drzymalska zachowująca się jak rozwydrzona nastolatka, i ten nieszczęsny klocowaty Wokulski (Schuchardta) – bronią się. Znakomita jest Julia Wyszyńska jako kuzynka Florentyna, jeszcze lepszy jest Piotr Pacek jako Starski – moim zdaniem kradnie każdą scenę, w której się pojawia. Świetny jest Mirosław Zbrojewicz w roli niechętnego policjanta. Borys Szyc daje radę jako baron Krzeszowski. To mógł być znakomity serial rozrywkowy luźno inspirowany polską klasyką. To być może nawet jest znakomity serial rozrywkowy, tyle że za często ześlizgujący się w niewłaściwy rodzaj rozrywki. Ot, klątwa III RP – jak już się trafi jakiś utalentowany twórca, który czuje kino, to albo się stacza w nihilizm-brutalizm jak Smarzowski, albo trzepie kasę przedsięwzięciami poniżej swego talentu jak Machulski, albo jak Maślona wpada w pułapkę podobania się salonom z ich głęboką ojkofobią napędzaną współczesnymi zawołaniami „bić bogatych" i żartami godnymi socrealistycznych roczników „Szpilek", gdzie obowiązkowo czarnym charakterem musiał być kamienicznik, ziemianin, arystokrata.

Ta neo-„Lalka", ta niby-„Lalka" Maślony broni się jako osobna opowieść, nie jako ekranizacja Prusa

I tu dochodzimy do sprawy najważniejszej – „Lalka" jest przecież powieścią polską, arcypolską, w której po raz pierwszy tak przenikliwie pokazano konflikt tradycji z nowoczesnością i tak drobiazgowo przedstawiono panoramę polskiego społeczeństwa czasów tego przełomu. Pytania o to, na ile modernizm jest ideą niszczącą, pytania o archaiczne formy kultywowania ideałów przeszłości – to wszystko wybrzmiewa u Prusa bardzo mocno. Ta warstwa w ogóle nie interesuje Maślony i Demirskiego, bo ten postępowy rechot z tępych arystokratów wystarcza im za całą diagnozę.

Marzyliśmy kiedyś, że jak już dorośnie nowe pokolenie polskich filmowców, to będzie ono opowiadało o Polsce w nowy, fascynujący sposób. Wolny od gorsetu PRL, wolny od prikazów płynących z Czerskiej w kwestii pedagogiki wstydu. Wtedy, myśleliśmy, pojawią się filmy i seriale wielkie, mądre, nowatorskie; będziemy mieli pieniądze na wielkie produkcje, wszystko będzie wyglądało godnie, a nie jak na planie polskiego serialu „Wiedźmin"…

I doczekaliśmy się. Marzenia, jak to zwykle bywa, spełniły się w sposób zwyrodniały. Wielkie pieniądze są, ale inwestują je nie polskie telewizje (o której z nich zresztą możemy powiedzieć, że zależy jej na rzetelnym opowiadaniu o Polsce i ekranizowaniu polskiej klasyki), lecz zagraniczne koncerny streamingowe. A im polskość do niczego nie jest potrzebna, wystarczy rechot, wystarczą uproszczone przesłania według tego, co akurat się podoba. Ci, którzy kręcić filmy umieją, wyrośli z kultury remiksu, mash-upu, wyszydzania wszystkiego; z kultury, w której nie ma dobra i zła, tylko to, co chwytliwe i niechwytliwe. Ze świata, który nie zna prawdy, tylko „narracje".

Kurczę, a mógł to być taki dobry serial… gdyby tylko zamiast męczących żartów było w nim więcej dialogów takich jak ten, w którym Wokulski mówi do Wąsowskiej: „nie inwestuję już w arystokrację, tylko w naftę. Bo nafta, w odróżnieniu od arystokracji, ma przyszłość".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d

Ciemno wszędzie, głucho wszędzie



Krzysztof Masłoń

Przed tygodniem odbyło się, już 15., Narodowe Czytanie, na które prezydent Karol Nawrocki wybrał Mickiewiczowskie „Dziady", co było niejaką niespodzianką, bo po ustanowieniu roku 2026 Rokiem Sergiusza Piaseckiego i objęciu przez prezydenta patronatem konkursu „W imię wolności. Literackie kontynuacje świata Sergiusza Piaseckiego" spodziewać się można było raczej „Kochanka Wielkiej Niedźwiedzicy". Ale że wycie naszych wykształconych nad wyraz liberałów przekroczyłoby wtedy wszelką, nawet najwyższą skalę, Karol Nawrocki wybrał się pod pomnik autora „Dziadów", który ma zresztą pod nosem, bo od Pałacu Prezydenckiego dzieli go żabi skok. I tam się, razem z małżonką, jak również z tymi wszystkimi, którzy wzięli udział w Narodowym Czytaniu, napawali słowami dramatu Adama Mickiewicza.

Twórca „Dziadów", uważany za największego polskiego poetę, do Narodowego Czytania wybrany został po raz trzeci. Piętnaście lat temu Bronisław Komorowski zaproponował do wspólnej lektury „Pana Tadeusza", a Andrzej Duda w roku 2022 „Ballady i romanse". Teraz przyszła kolej na „Dziady", utwór współcześnie mocno jednak wątpliwy. Znajdują się w nim wprawdzie cenne ustępy, którymi można się posłużyć w szkolnej edukacji, ale te są niestety nieliczne. Weźmy np. taki oto fragment rozmowy Pustelnika z Księdzem:

Wszakże lubisz książki świeckie?...
Ach, te to książki zbójeckie!
(ciska książkę)
Młodości mojej niebo i tortury!
One zwichnęły osadę mych skrzydeł
I wyłamały do góry,
Że już nie mogłem na dół skręcić lotu.
Kochanek przez sen tylko widzianych mamideł,
Nie cierpiąc rzeczy ziemskich nudnego obrotu,
Gardzący istotami powszedniej natury,
Szukałem, ach! szukałem tej boskiej kochanki,
Której na podsłonecznym nie bywało świecie,
Którą tylko na falach wyobraźnej pianki
Wydęło tchnienie zapału,
A żądza w swoje własne przystroiła kwiecie.
[...]
K s i ą d z
Podzielam twoję boleść, nieszczęśliwy bracie!
Lecz może jest nadzieja? są różne sposoby.
Słuchaj, czy już od dawna doświadczasz choroby?

I w tym miejscu nauczyciel winien poprosić uczniów, by spróbowali ocenić, jak długo choroba toczy organizm Pustelnika, z Żoliborza, gdyż oczywiste jest, że znany ze swych profetycznych zdolności romantyczny poeta wykreował w IV części „Dziadów" Jarosława Kaczyńskiego. Niestety, już postać kobieca z innej, II części dramatu, skądinąd spopularyzowana w popkulturze, jak ulał pasuje do posłanki Klaudii Jachiry, a naprawdę nie ma powodu, by tę zasłużoną politycznkę obśmiewać. Mickiewicz roznamiętniał się jednak tak oto:

Na głowie ma krośny wianek,
W ręku zielony badylek,
A przed nią bieży baranek,
A nad nią leci motylek.



FOT. PAWEŁ WODZYŃSKI/EAST NEWS

Jachira to jednak furda w porównaniu z samym najważniejszym z ważnych, niemiłościwie nam panującym Donaldem I, który – jak utrzymują jego wrogowie – idealnie wpasowuje się w portret Widma, naszkicowany ręką Guślarza z „Dziadów" części II:

Wszelki duch! jakaż potwora!
Widzicie w oknie upiora?
Jak kość na polu wybladły;
Patrzcie! patrzcie, jakie lice!
W gębie dym i błyskawice,
Oczy na głowę wysiadły,
Świecą jak węgle w popiele.
Włos rozczochrany na czele.
A jak suchy snop cierniowy
Płonąc miotłę ognia ciska,
Tak od potępieńca głowy
Z trzaskiem sypią się iskrzyska.

Do Widma dociera w końcu, że nie może liczyć na jakiekolwiek ulgowe traktowanie, i ze smutkiem stwierdza:

Tak muszę dręczyć się wiek wiekiem,
Sprawiedliwe zrządzenie Boże!
Bo kto nie był ni razu człowiekiem,
Temu człowiek nic nie pomoże.
A ponieważ za życia nie znał ów zły człowiek litości, musi się liczyć z okrutną zemstą:
Hej, sowy, puchacze, kruki,
I my nie znajmy litości!
Szarpajmy jadło na sztuki,
A kiedy jadła nie stanie,
Szarpajmy ciało na sztuki,
Niechaj nagie świecą kości!

Niewykluczone jednak, że Mickiewiczowi, nie bez kozery nazywanemu wieszczem, objawił się przyszły premier polskiego rządu w roli innego ducha, nieskutecznie wyklinanego przez Guślarza:

Duszo przeklęta czy błoga,
Opuszczaj święte obrzędy!
Oto rozwarta podłoga,
Kędy wszedłeś, wychodź tędy.
Bo cię przeklnę w imię Boga.
Precz stąd na lasy, na rzeki,
I zgiń, przepadnij na wieki!
(Widmo stoi)
Przebóg, cóż to za szkarada?
I milczy, i nie przepada!
C h ó r
I milczy, i nie przepada!

W IV części „Dziadów" zapada werdykt w kwestii takiego Donalda, upozorowanego na niejakiego Gustawa:

Bo słuchajmy i zważmy u siebie,
Że według Bożego rozkazu:
Kto za życia choć raz był w niebie,
Ten po śmierci nie trafi od razu.

Cóż, że z Gustawa zrodzi się Konrad, w innej jeszcze, III części „Dziadów", bo to inna sprawa. A Donald Tusk w niebie, to znaczy w Brukseli, już był, a nasza noblistka, prawie tak znamienita jak Olga Tokarczuk, zapewniała, że nic dwa razy się nie zdarza.

Generalnie wychodzi na to, że prezydent Karol Nawrocki dokonał wyboru – najdelikatniej mówiąc – problematycznego. Na wszelki wypadek robiąca za ministra edukacji Barbara Nowacka przesunie pewnie „Dziady" do lektur nadobowiązkowych, i to we fragmentach odpowiednio dobranych. Za to – podpowiadam – należałoby podkreślić znaczenie najmniej znanej, I części dzieła, a to z uwagi na brawurowy początek: „Świeco niedobra!". Wdzięczność środowisk LGBT+ zapewniona! ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



Ulica Piotrowska w Łodzi na wysokości wylotu w stronę Placu Wolności, 1942 r. FOT. NAC

Z Małgorzatą Czyńską, pisarką, dziennikarką, historykiem sztuki i autorką książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Czerwona ziemia obiecana

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: To proletariacka przeszłość sprawiła, że Łódź pokonała Kraków w walce o miano serca Polski z lat 1945–1948?

MAŁGORZATA CZYŃSKA: Na pewno robotniczy charakter Łodzi przeważył. Kraków komunistom nie odpowiadał ze względów ideologicznych. Wiadomo, że był konserwatywny, tradycjonalistyczny, toteż „czerwoną" Łódź chętniej widziano w roli tymczasowej stolicy kraju. Nikt jakoś nie patrzył na to, że przed wojną w Łodzi dominowali socjaliści, a nie komuniści. W nowych granicach miasto nagle znalazło się w centrum kraju, na skrzyżowaniu sprawnych szlaków komunikacyjnych. Idealnie nadawało się na przyjęcie aparatu administracyjnego państwa. Nowa władza potrzebowała tuby, więc do Łodzi zjechali twórcy teatru, literatury, filmu, muzyki, plastyki. Tu zainstalowały się liczne redakcje. Fabryczny gród otrzymał kulturę w najlepszym wydaniu.

„Oni nas nie wyzwolili, ale uratowali nam życie". Opinia Pawła Hertza trafnie oddaje postrzeganie panoszących się po mieście nad Łódką Sowietów?

Nie tylko w Łodzi tak myślano. Można też zacytować słowa Kazimierza Brandysa: „Jedynym oparciem dla mnie w złych myślach, w grozie były miliony żołnierzy z czerwonymi gwiazdami na czapkach. Pierwsza armia, której udało się powstrzymać napór hitlerowski". W pierwszych miesiącach 1945 r. w Łodzi cieszono się na powrót do pracy, do życia, do względnej normalności. Tadeusz Męczyński, warszawski księgarz, tak opisał wygląd łódzkiej ulicy: „Domy całe, tramwaje jeżdżące po ulicach, sporo ludzi, sklepy ziejące pustką. Szyby powybijane przez szabrowników. Trudności organizacyjne. Na ulicy Piotrkowskiej lokowały się nowo powstające urzędy, redakcje pism, kawiarnie". Rzeczywistość oczywiście nie była różowa: wzmagały się represje, nagonki i prowokacje ze strony władzy. Na murach rozklejano plakat autorstwa Włodzimierza Zakrzewskiego przedstawiający żołnierza 1. Armii Wojska Polskiego, któremu pod nogami pęta się mała obrzydliwa postać opatrzona literami „AK", z hasłem „Olbrzym i zapluty karzeł reakcji", a żołnierze sowieccy masowo rabowali.

Łódź przyciągała z racji nienaruszonej zabudowy oraz infrastruktury?

Była niczym „ziemia obiecana" – oferowała zatrudnienie i kwaterunek. W styczniu 1945 r. miasto zamieszkiwało ok. połowy ludności sprzed wybuchu wojny. Niebawem przybyło ponad 200 tys. osób. Z mieszkaniami udało się przede wszystkim tym uprzywilejowanym – przedstawicielom władz, nauki i kultury. Już w czerwcu 1945 r. zdobycie lokalu w Łodzi graniczyło z cudem. Wśród przyjezdnych krążyła sentencja: „Kto późno do Łodzi przychodzi, sam sobie szkodzi". Głód mieszkań był tak ogromny, że nie uszedł uwagi satyryka – w pierwszym powojennym numerze „Szpilek" – z 1 marca 1945 r. – opublikowano rysunek Henryka Tomaszewskiego zatytułowany „Ziemia obiecana", ukazujący ową wędrówkę ludów ciągnących dobytek na wozach i wózkach. Od dworca Łódź Kaliska codziennie szły tłumy.

„Cóż to za miasto, które składa się z jednej ulicy?". Te słowa odpowiadały prawdzie?

Najważniejsza była ulica Piotrkowska, tu przyjezdni jeszcze się odnajdowali i dobrze poruszali. Dla bohaterów mojej książki, ludzi kultury, to był ważny trakt, z Grand Hotelem i teatrem Syrena, z siedzibą wydawnictwa Czytelnik i wieloma przybytkami kulinarnymi. Adolf Rudnicki stwierdził, że „podobnie było zapewne w miasteczkach renesansowych, wszyscy się nawzajem stale mieli na oku". Ale nieznajomość topografii miasta też była tematem do satyrycznych tekstów. W tłumie przyjezdnych trudno było spotkać miejscowych, którzy wskazaliby drogę.

„Po latach nieżycia otwarły się oto bramy życia! Nabrało ono smaku jak po powrocie z cmentarza. Płacząc, ludzie radowali się, a radując, płakali. Wstydząc się, czuli się szczęśliwi" – obserwacje Adolfa Rudnickiego zdają się potwierdzać wysyp lokali gastronomiczno-rozrywkowych (na ogół jeszcze prywatnych) oraz frekwencja w nich panująca...

Chciałabym się przejść szlakiem tych lokali, po których oczywiście dzisiaj, poza kawiarnią w Grand Hotelu, zresztą zupełnie przearanżowaną, nie ma śladu. Grand Café otwarto we wrześniu 1945 r., w witrynie wisiał wtedy plakat „Gra

eprasa.pl c21ff32d6d



MAŁGORZATA CZYŃSKA „PISZ DO MNIE NA ŁÓDŹ!" MARGINESY 2026

orkiestra Braci Harris", to byli znani muzycy. Przy ich muzyce bawiono się również niebawem na balu sylwestrowym i z okazji rocznicy wyzwolenia Łodzi. W kamienicy Siemensa, gdzie ulokował się „Czytelnik", działała kawiarnia Fraszka i tam przesiadywali redaktorzy „Szpilek", „Kuźnicy", „Wsi". Trzy kroki od Piotrkowskiej, przy Traugutta 6 w Hotelu Savoy, na pierwszym piętrze, mieści się założony przez artystów tzw. Klub Pickwicka, gdzie schodzi się cały kulturalny światek ówczesnej Łodzi. Długo by wymieniać łódzkie powojenne lokale. Słuchano jazzu, tańczono w Maskotce, Tabarinie, Tivoli, Malinowej, a nawet w… zoo.

Rozkwitła także Melpomena…

Teatr Wojska Polskiego pod dyrekcją mjr. Władysława Krasnowieckiego zjechał do Łodzi z końcem lutego 1945 r. Bardzo szybko przybywało teatrów, działały tu m.in. Teatr Kameralny Domu Żołnierza, Teatr Powszechny, Teatr Miniatur Syrena, teatrzyki Gong i Rozmaitości, przybyły z Wilna Teatr Komedii Muzycznej „Lutnia", teatr dla dzieci „Pinokio".

Najważniejszy okazał się jednak przyjazd Leona Schillera na początku 1946 r. i objęcie przez niego dyrekcji Teatru Wojska Polskiego. W wywiadzie udzielonym łódzkiemu „Kurierowi Porannemu" stwierdził, że „nie ma nic przypadkowego w fakcie objęcia przeze mnie teatrów łódzkich. Łódź poza Warszawą, w okresie walki o teatr żywy, będący odbiciem współczesności, była drugim miejscem najśmielszych moich wypowiedzi. Tu, w mieście ujawniającym w okresie międzywojennym najdotkliwiej przeciwieństwa między ustrojem kapitalistyczno-mieszczańskim a dążącym do wyzwolenia się spod tego ustroju proletariatem rewolucyjnym, wystawione przeze mnie widowiska miały na całą Polskę płynący rezonans". Jego pierwsza inscenizacja na deskach TWP – „Krakowiacy i górale" Wojciecha Bogusławskiego – miała premierę jesienią 1946 r. Wzbudziła wielki zachwyt.

Sumienie artystyczne Schillera ustąpiło przed jego sumieniem partyjnym?

To ocena Bohdana Korzeniewskiego. Na pewno nieodosobniona. Kiedy w maju 1946 r. Schiller dostał list od wiceministra kultury, Leona Kruczkowskiego, z zarzutem, że „Elektra" Jeana Giraudoux, grana od trzech miesięcy na deskach Sceny Poetyckiej TWP, wywołuje straszne oddźwięki – bo w antycznych dekoracjach dopatrzono się współczesnych treści, apoteozy AK – nie uchronił sztuki przed zdjęciem z afisza. Na próżno Korzeniewski i Edmund Wierciński prosili go o wstawiennictwo, o obronę Sceny Poetyckiej, żeby „w imię prawdy" zajął stanowisko w prasie.

Dlaczego władza ludowa skonsolidowała kwaterunek środowiska literackiego?

W pierwszych latach po drugiej wojnie światowej w Łodzi przebywało ok. 200 pisarzy. Zajmowanie kamienic na przyszłe domy literatów to sowiecki sposób działania, bo przecież bezpieczniej mieć twórców pod jednym dachem, łatwiej ich obserwować i nimi zarządzać.

Kto zamieszkał pod adresem ul. Bandurskiego 8?

Zofia Nałkowska, Pola Gojawiczyńska, Adam Ważyk, Jan Brzechwa, Władysław Broniewski, długo by wymieniać… Julia Hartwig, która mieszkała tam przez rok, pisała po latach w „Dzienniku", że gdyby „jakiś złoczyńca chciał dokonać zamachu na taki dom, mógłby wysadzić w powietrze całą niemal ówczesną literaturę".

W drugiej połowie lat 40. gród stał się ośrodkiem akademickim…

Do 1945 r. Łódź nie posiadała szkolnictwa wyższego. Kolejne rządy zasłaniały się brakiem pieniędzy na takową uczelnię. Władze państwowe nie chciały mieć pod jednym dachem skupiska młodzieży w mieście o lewicowych poglądach. Zaraz po wojnie zaczął się oświatowy awans. Założono Uniwersytet Łódzki, powstały Państwowa Wyższa Szkoła Sztuk Plastycznych, Państwowa Wyższa Szkoła Teatralna, Państwowa Wyższa Szkoła Muzyczna, Państwowa Wyższa Szkoła Filmowa. Nagle w Łodzi znalazły się i kadra uniwersytecka, i studenci.

Wydział Plastyki Przemysłowej oraz jego animatora unicestwił socrealizm?

Nie sposób mówić o PWSSP, pomijając malarza i teoretyka sztuki Władysława Strzemińskiego. Oczywiście nie on jeden organizował szkołę, ale był ważną postacią, zasłużoną dla łódzkiego środowiska od lat 30., współorganizatorem Międzynarodowej Kolekcji Sztuki Nowoczesnej, reformatorem programu nauczania. Kres nauczaniu według nowoczesnego programu w łódzkiej PWSSP położyła doktryna sztuki socrealistycznej, zadekretowana w 1949 r. W lutym na zjeździe w Nieborowie socrealizm poparli plastycy, następnie ich śladem podążyli architekci i filmowcy, a także literaci. Strzemiński burzył się przeciwko terrorowi doktrynerstwa, nie zamierzał się stosować do nowych wytycznych władzy. Znał te odgórnie narzucone koncepcje jeszcze z bolszewickiej Rosji. W styczniu 1950 r. minister kultury Stefan Dybowski zwolnił go z posady wykładowcy akademickiego – ze skutkiem natychmiastowym! – pod zarzutem nierespektowania norm realizmu socjalistycznego.

Aglomeracja traciła na znaczeniu w miarę odbudowy Warszawy?

Od początku wiadomo było, że przeniesienie administracji państwowej i zorganizowanie ośrodka życia kulturalnego w Łodzi jest tymczasowe, że Warszawa będzie odbudowana. „Łódź była dla nas, Warszawian […], idealną przystanią, ale też tylko przystankiem" – mówił po latach Paweł Hertz, a setki artystów mogłyby się podpisać pod tym stwierdzeniem. Ich odpływ był dla miasta bolesny, niemożliwy do odrobienia.

Na dekady pozostało stolicą polskiego kina?

Tak jest od stycznia 1945 r., kiedy zjechała do Łodzi Wytwórnia Filmowa Wojska Polskiego, pod dowództwem umundurowanego reżysera, Aleksandra Forda.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone



Małgorzata Czyńska *– pisarka, dziennikarka, historyk sztuki, kuratorka wystaw. Autorka książek, m.in.: „Kobro. Skok w przestrzeń", „Berezowska. Nagość dla wszystkich", „Łempicka. Tryumf życia", „Julia Keilowa. Metaloplastyczka na nowe czasy", „Zgiełk serca. Opowieść o Marii Pawlikowskiej-Jasnorzewskiej".*

eprasa.pl c21ff32d6d



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

sky SHOWTIME

Kiedyś w Kalifornii



★★★★★★

SEZONY 1–6
„THE ROCKFORD FILES”
USA 1974–1980

wyst. James Garner, Noah Berry, Joe Santos

Telewizyjna klasyka dla zmęczonych współczesnymi przekombinowanymi thrillerami i kryminałami. „The Rockford Files” (1976–1980) to ostatni wielki serial kryminalny lat 70. Potem „Policjanci z Miami” (1984) zamienili telewizyjną rozrywkę w teledysk, a „Posterunek przy Hill Street” (1981) otworzył drogę do gryzącego realizmu późniejszych „The Shield” czy „The Wire”.

Jim Rockford to detektyw bliższy postaciom z Hammetta czy Chandlera niż „Policjantom z Miami”. Wiecznie jest spłukany, nosi się skromnie, mieszka w przyczepie na plaży w Malibu. Odsiedział parę lat w więzieniu (niesłusznie), bierze drobne sprawy, które niekiedy prowadzą do wielkich odkryć, ale rzadko kiedy do pieniędzy. Stara się nie wchodzić w drogę policji; jego główna broń to upór, zdrowy rozsądek i cięty język. Rockforda gra James Garner i jest to jego najbardziej (oprócz serialu „Maverick”) pamiętna rola.

Serial ma rytm zupełnie odmienny od rozrywki ery Internetu i komórek. Staromodny prywatny detektyw musi wszędzie pojechać lub dojść sam. Zamiast sprawdzać cyfrowe ślady w sieci osobiście rozmawia ze świadkami i z podejrzanymi. To daje nam okazję do oglądania na ekranie całej galerii bardzo malowniczych typów zagranych przez niezłych aktorów charakterystycznych; na drugim planie przewijają się Isaac Hayes, Louis Gossett jr czy Tom Selleck. W sercu opowieści jest natomiast relacja Rockforda z ojcem, emerytowanym kierowcą ciężarówki (Noah Berry).

Niewiele brakowało, a Rockford byłby tylko przypisem w dziejach telewizji. Zaczęło się od telewizyjnego filmu (pokazywanego potem jako dwuczęściowy pilot) „Backlash of the Hunter” o fabule tak naciąganej, że aż śmiesznej. Przeważyła jednak charyzma Garnera i dobre opinie widzów, potem powstało sześć sezonów i osiem filmów telewizyjnych (już w latach 90.). Po nierównej pierwszej połowie pierwszego sezonu potem było już tylko lepiej, aż posypały się nominacje i nagrody.

Co ciekawe, to właśnie podczas pracy nad tą serią dostrzeżono talent scenarzysty Davida Chase’a, który potem stworzył serial „Rodzina Soprano”. Chase napisał 20 odcinków w późniejszych, bardziej dojrzałych sezonach serialu. Kto lubił „Columbo”, „Kojaka” czy „Ulice San Francisco”, nie może przegapić „The Rockford Files” dostępnego od niedawna w SkyShowtime. ©℗

GRA TYGODNIA: „GRA O EMOCJACH”

Emocje ludzka rzecz, ale wiele osób – przede wszystkim dzieci – nie potrafi ich rozpoznawać i radzić sobie z nimi. Z pomocą dla całej rodziny przychodzi gra opisująca na kartach powszechne sytuacje i zachęcająca w formie zabawy do mówienia o uczuciach. Jest polecana jako narzędzie terapeutyczne w przypadkach wybuchów emocjonalnych najmłodszych, którzy mają tendencję do zamykania się w sobie. Zawiera osobne porady psychologiczne dla rodziców



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

i pomaga w rozwoju inteligencji emocjonalnej dzieci. ©℗

★★★★★★

Anna Zalewska

- ***Gatunek:*** *karciana, terapeutyczno-rodzinna*
- ***Producent, wydawca:*** *Memo Games*

eprasa.pl c21ff32d6d

Sylwoterapia

polsat box go



★★★★★★

REŻ. ILDIKÓ ENYEDI
„MILCZĄCA PRZYJACIÓŁKA” („STILLE FREUNDIN”)
NIEMCY 2026

wyst. Tony Leung, Luna Wedler, Enzo Brumm

Co czują rośliny i czy można się z nimi jakoś porozumieć? Sukcesy kampanii prozwierzęcej sprawiły, że odwagi nabrali również miłośnicy flory. Czy „Sekretne życie drzew” i „Milcząca przyjaciółka” są kamieniami, które zapoczątkują lawinę, to się dopiero okaże. Książka niemieckiego leśnika stała się światowym bestsellerem, ale botanicy uznali jej tezy za przesadne. Film Węgierki jest bardziej perfidny – kibicuje naukowym eksperymentom. Główny bohater, neurolog z Hongkongu, podczas badania aktywność mózgów noworodków dochodzi do zniechęcającego wniosku, że w procesie socjalizacji człowiek traci większość swojego potencjału. Innymi słowy, im jesteśmy starsi, tym głupsi.

W Marburgu prof. Wong zwraca uwagę na miłorząb, zasadzony w 1832 r. w uniwersyteckim ogrodzie. Ten ma co wspominać. Od wyklucia się z nasiona był niemym świadkiem życia studentów i kadry pedagogicznej. Możliwe, że wchłonął ich emocje, bowiem fabuła zaczyna się robić patchworkowa. Cofamy się do początku XX w., by śledzić zmagania Grete – pierwszej kobiety przyjętej na uczelnię – z kołtunerią i patriarchatem, używającym dzieł Linneusza jako narzędzia tortur.

Za chwilę machina czasu przenosi nas do epoki kontestacji. Hannes, student pierwszego roku niechętnie nastawiony do zieleniny, zmienia swoje podejście pod wpływem atrakcyjnej koleżanki, która jednak zdradza uniwersytecki etos na rzecz politycznej i obyczajowej rewolucji.

Ildikó Enyedi, objeżdżając ze swoim filmem międzynarodowe festiwale, opowiada o „przełamywaniu kulturowych barier”. Nie neguję szlachetnych intencji, rozumiem, że jako istoty dość szybko przemijające możemy zazdrościć miłorzębom długowieczności, ale przesadna antropomorfizacja świata roślinno-zwierzęcego źle służy naukowcom, a na dłuższą metę również artystom. Z wyjątkiem tych, którzy tworzą bajki dla dzieci. Autorytet Goethego słabnie zaś z chwilą opuszczenia niemieckiej strefy językowej. Mimo wszystkich zastrzeżeń „Milcząca przyjaciółka” intryguje i działa na zmysły. Należy do filmów, których nie da się odzobaczyć. Widząc pelargonię w doniczce, już zawsze będę podejrzewał, że mnie podgląda, podsłuchuje i co najgorsze – wyciąga wnioski. ©℗

Wiesław Chełminiak

RZYMSKI SŁOWIK

Coming out w pałacu Nerona: gospodarz ujawnia swoją artystyczną naturę. O zgrozo, publika reaguje na wokalne popisy cesarza bez entuzjazmu. Twórcy obchodzącej 70-lecie komedii zasadniczo zgadzają się z Sienkiewiczem, który sportretował ostatniego władcę z dynastii julijsko-klaudyjskiej jako błazna i tchórza. Inni protagoniści też są ulepieni z kiepskiej gliny. Mamuśka Agrypina (Gloria Swanson) to straszliwa zołza, filozof Seneka (Vittorio De Sica) bije rekordy obłudy, kusicielka Poppea (Brigitte Bardot) kąpie się w oślim mleku. Przefarbowany na ryżo Alberto Sordi jest zaś najsympatyczniejszym Neronem w historii kina. Rozumiemy, dlaczego podpalił Rzym, ale Bóg jeden wie, z jakiego powodu prześladował chrześcijan, skoro po wizycie w katakumbach mówił, że to „niegroźne typki”. Wstyd mi, ale naprawdę się uśmiałem. ©℗



cda.pl

★★★★★★

REŻ. STENO
„MÓJ SYN NERON” („MIO FIGLIO NERONE”)
WŁOCHY 1956

wyst. Alberto Sordi, Gloria Swanson, Vittorio De Sica



ANNA ZALEWSKA

DO ZOBACZENIA

Jak rower zmienia Warszawę

Rower, mimo że jest jednym z najbardziej przełomowych wynalazków, często był niedoceniany jako etap przejściowy – od ruchu pieszego, przez konny, do epoki silników spalinowych. Dzisiaj staje się znów doceniany – „nie tylko jako środek transportu, lecz także jako technologia, która kształtuje codzienne praktyki, wpływa na doświadczenie ciała i sposób postrzegania miasta”. Tak opisują zjawisko cyklizmu twórcy wystawy. Na wystawie rower został przedstawiony w kontekście mobilności jako doświadczenia kulturowego czy kwestii emancypacji. Można również zobaczyć fragmenty czasopism o tematyce rowerowej, archiwalne zdjęcia, m.in. Marii Skłodowskiej-Curie na rowerze, eksponaty towarzyszące rowerowej kulturze kibicowskiej, a także liczne gadżety. Nie pominięto także wymiaru politycznego cyklizmu. ©℗

GDZIE? ***Muzeum Woli, Warszawa***
KIEDY? ***do 2 lipca 2027 r.***



FOT. TOMEK KAZIOR

eprasa.pl c21ff32d6d



KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Adwokat w opałach

Bohater nowej powieści Johna Grishama, adwokat z małego miasteczka w Wirginii, ma 42 lata i z trudem wiąże koniec z końcem. Spłaca kredyty i pożyczki, chcąc zapewnić rodzinie życie w dostatku, do którego przywykli i jego żona, i troje dzieci. Z żoną się zresztą rozwodzi, bo nie są w stanie wytrzymać ze sobą już ani chwili. Do tego nie na wielką skalę, ale hazarduje się, a także popija co nieco.

W tej sytuacji spada mu z nieba fantastycznie bogata klientka dająca szansę na to, by jako adwokat i powiernik jej majątku zgarnął 10 proc. tej fortuny. Przekonuje się jednak, że chciwość nie popłaca, a niewielkie, zdawałoby się, nieuczciwości, których się dopuszcza, doprowadzają go – na skutek splotu nieszczęśliwych dla niego wydarzeń – na ławę oskarżonych. I gdy przysięgli uznają go za winnego śmierci klientki, będzie sam – mając na to zaledwie trzy miesiące – szukać mordercy.

Tytułowa wdowa była, jak na osobę tak zamożną, kobietą oszczędną, by nie powiedzieć skąpą, do tego twardo stąpającą po ziemi. Z nieliczną rodziną nie utrzymywała kontaktu, podobnie było z przyjaciółmi, i w efekcie nie miała komu przekazać akcji i pieniędzy, jeśli zaś chodzi o organizacje charytatywne, to – opowiadała swemu adwokatowi: „Jedna organizacja mi się podobała, a przynajmniej tak mi się wydawało. Lata temu widziałam w telewizji program o czepiakach, małpach pająkowatych w Ugandzie, i o tym, jak te małpy umierają z głodu przez jakieś chemikalia rozpylane przez rząd. Biedactwa kurczyły się i umierały setkami. Omal mi serce nie pękło, więc wysłałam tysiąc dolarów do Fundacji Czepiaki w Bostonie. Podziękowali mi,

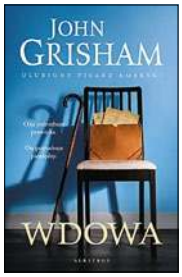


FOT. ETIENNE LAURENT/EPA/PAP

przysłali kalendarz, wciągnęli mnie do jakiejś rady i poprosili o więcej pieniędzy. Wysłałam kolejny czek, potem następny, a oni ciągle prosili o więcej. Chcieli nawet przysłać tu jakiegoś dyrektora. Żeby się ze mną spotkał, zjadł ze mną lunch i tak dalej. A potem sprzedali komuś moje nazwisko i adres i moja skrzynka pocztowa zaczęła pękać od listów od ludzi ratujących wieloryby, bizony, gepardy i kanadyjskie rosomaki. Nic im nie wysłałam. Było tak źle, że musiałam zmienić adres korespondencyjny. A potem FBI zrobiło nalot na tych od czepiaków, bo okazało się, że to jedno wielkie oszustwo. Naciągnęli mnie na jedenaście tysięcy dolarów".

Grisham w swojej powieści oddaje przy okazji hołd klasykowi literatury kryminalnej Johnowi D. MacDonaldowi. To jego książki podczytywać będzie w więziennej celi bohater „Wdowy", obiecując sobie, że po wyjściu na wolność skompletuje na nowo pełną, 21-tomową edycję powieści z detektywem Travisem McGee w roli głównej. Był MacDonald jego literackim idolem w latach studiów, gdy rozczytywał się w „Śmiertelnym blasku złota", a po latach te same kryminały pozwalały mu zapomnieć o rzeczywistości, w której się znalazł, przenosząc w zupełnie inny, ale wciąż jednako fascynujący świat. Zresztą nie kto inny, a sam Kurt Vonnegut powiedział, że „za jakiś tysiąc lat na nowo odkryta spuścizna literacka MacDonalda okaże się znaleziskiem na miarę skarbów z grobowca Tutanchamona". Teraz John Grisham, nazywany – może na wyrost – ulubionym pisarzem Ameryki, dokłada swoją cegiełkę pod pomnik stawiany autorowi „The Executioners", czyli sławnego „Przylądka strachu", znanego z ekranizacji, zarówno starszej, z 1962 r. – z Gregorym Peckiem i Robertem Mitchumem, jak i nowszej, z 1991 r. – z Nickiem Nolte i Robertem De Niro – oraz serialu Apple TV z 2026 r.

Jeśli chodzi o Johna Grishama, to filmową klasyką stał się z pewnością „Raport Pelikana" Alana J. Pakuli z 1993 r. z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem. Ostatnia dekada zeszłego wieku była dla autora „Wdowy" pod każdym względem wyjątkowa. Napisał wtedy przecież i „Firmę", i „Klienta", „Komorę" i „Ławę przysięgłych". I tak dalej, i tak dalej. W sumie ma na koncie ponad 40 książek, przetłumaczonych na 50 języków, a wydanych w łącznym nakładzie przekraczającym 300 mln egzemplarzy. Złote lata pisarza ma już wprawdzie za sobą, ale wciąż pozostaje mistrzem thrillera prawniczego, co potwierdza „Wdową", może miejscami nazbyt oczywistą, chyba jak na dzisiejsze standardy przydługą, ale nie pozostawiającą wątpliwości, że na sali sądowej John Grisham czuje się tak pewnie, jak nikt inny. A miejsce to wyjątkowe. Kto uważa inaczej, niech obejrzy sobie np. „Dwunastu gniewnych ludzi" Sidneya Lumeta z 1957 r. Wiem, wiem, wszyscy znamy ten film, tak jak wszyscy, jeśli nie czytali powieści Grishama, to z pewnością widzieli ich adaptacje filmowe. Rekord, jeśli nie świata, to Ameryki na pewno. ©℗



★★★★★★

JOHN GRISHAM „WDOWA" ALBATROS, WARSZAWA 2026

eprasa.pl c21ff32d6d



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Prawdziwy „Blade Runner”

Jedna z trzech najważniejszych powieści Dicka wiedzie żywot w cieniu ekranizacji. „Łowca androidów” w reżyserii Ridleya Scotta spopularyzował książkę „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach”, narzucił własne (sugestywne) imaginarium, jednak od literackiego oryginału jest daleko. Owszem, tu i tu pozostaje pytanie o relację między ludźmi a sztucznymi istotami (replikantami), jednak w powieści Dicka najbardziej fascynująca jest warstwa religijna, której w filmie brak.

Przede wszystkim dostajemy w powieści jednego z wielu proroków religijnych zaludniających światy wykreowane przez Dicka. To Mercer (nazwisko nieprzypadkowe, od „mercy” – „miłosierdzie”). Stworzona przez niego religia (merceryzm) opiera się na wynalazku pudełka empatii. Gdy wyznawca korzysta z pudełka Mercera, odczuwa wszystko to, co w tym samym czasie odczuwają pozostali wyznawcy: ich ból, tragedię istnienia. To niezwykle wymowna metafora – chrześcijanie przecież niosą wspólny krzyż. Oczywiście żaden pojedynczy umysł nie jest w stanie wziąć na siebie cierpienia wszystkich współbraci w wierze. Jedynie Jezus Chrystus zdołał wziąć na siebie ból i grzechy całego świata.

Empatia ma moc uczłowieczania, przemiany replikantów, którzy w odróżnieniu od filmu nie są romantycznymi buntownikami, tylko bezdusznymi maszynami nastawionymi na przetrwanie. Jednocześnie zamiast futurystycznego czarnego kryminału w książce mamy mnóstwo czarnego humoru, zresztą jeden z głównych konceptów opowieści – że status społeczny zależy od posiadania innej żywej istoty – jest celowo kontrowersyjny i prowokacyjny.

Niesłychanie ciekawa jest lektura tej powieści w kontekście słynnej „Egzegezy” (po polsku nieopublikowanej), czyli zapisu quasireligijnego doświadczenia Dicka z 1974 r. Wprost pisze tam o doświadczaniu Chrystusa, choć jest to wszystko okryte mgłą wątpliwości i sprzecznych tez. Był Dick jednym z tych niesłychanie utalentowanych i wrażliwych nieszczęśników, którzy przez całe życie poszukiwali, lecz nigdy nie była im dana pewność, czy znaleźli. Powieść „Czy androidy marzą o elektrycznych owcach” czytać można – a nawet należy – przede wszystkim omijając ekranizację (mającą własne, odmienne zalety). Podobnie jak „Ubik” czy „Człowiek z Wysokiego Zamku”, jest książką wybitną. © ℗

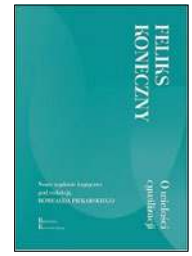


★★★★★★

PHILIP K. DICK „BLADE RUNNER” REBIS 2026

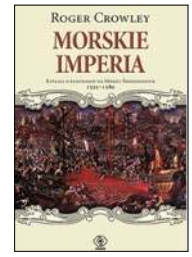
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Klasyka w naukowym opracowaniu, w wersji przejrzanej i opatrzonej komentarzem Romualda Piekarskiego. Jeden z najważniejszych polskich traktatów historiozoficznych, dziś aktualniejszy niż w chwili powstania.



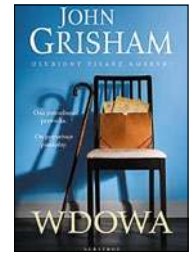
FELIKS KONECZNY „O WIELOŚCI CYWILIZACJI” FRONDA

Sześć dekad walki o panowanie nad Morzem Śródziemnym (1521–1580) i tym samym o przyszły kształt Europy. Wciągająca i barwna opowieść historyczna autora znanego w Polsce m.in. z książki „1453. Upadek Konstantynopola”.



ROGER CROWLEY „MORSKIE IMPERIA” REBIS

Prowincjonalny prawnik z Wirginii próbuje pomóc bogatej wdowie ukryć majątek przed chciwymi krewnymi zmarłego męża. Ani się obejrzy, a jest podejrzany o jej zamordowanie. Gorzka powieść mistrza thrillera prawniczego.



JOHN GRISHAM „WDOWA” ALBATROS

Polska odpowiedź na światowy fenomen popularności fantastyki typu CF (climate fiction), straszącej klęskami ekologicznymi i groźnymi skutkami zmian klimatycznych. Wśród autorów Istvan Vizvary i Romuald Pawlak.

recenzuje Piotr Gociek

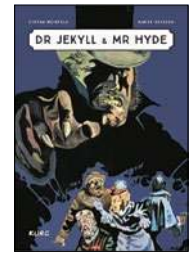


AUTORZY RÓŻNI „FIKCJA KLIMATYCZNA W POLSCE” SKMF BIAŁY KRUK

KOMIKS TYGODNIA:
PODWÓJNE ŻYCIE

„Każdy z nas ukrywa prawdziwą twarz” – mówi Ian Rankin, którego ulubionym utworem jest nowela Stevensona – „dlatego Jekyll i Hyde tak nas fascynują”. Wznowienie komiksowej wersji zostało opatrzone świetnymi materiałami dodatkowymi: Paweł Ciołkiewicz pisze o dziejach słynnego opowiadania i jego adaptacjach, a Marcin Osuch i Konrad Wągrowski przybliżają sylwetki scenarzysty oraz rysownika.

Piotr Gociek



STEFAN WEINFELD, MAREK SZYSZKO „DR JEKYLL & MR HYDE” KURC 2026

eprasa.pl c21ff32d6d

Jak Szmaciak zjadł inteligenta



FOT. STACH ANTKOWIAK/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Adam Michnik wszystko przegrał, i to istotnie. Tylko że nie z jakąś umowną prawicą, lecz z „tuskowszczyzną”. Oto formacja budująca „etos Solidarności” została przejęta i wchłonięta przez cwaniaków, dla których polityka to tylko wzajemna wymiana przysług, zapewniająca członkom partyjnej nomenklatury wpływy i „obrywy” finansowe

Obchodzę w tym roku skromny jubileusz: mija 20 lat od publikacji książki „Michnikowszczyzna. Zapis choroby”. Przez cały ten czas, stale dodrukowywana bądź wznawiana w nowych edycjach, pozostaje ona na rynku i wielokrotnie słyszałem od różnych rozmówców, także istotnych dziś dla życia publicznego, że jej lektura zmieniła przed laty ich poglądy i wpłynęła na ich życiowe wybory. Pozwala mi to wierzyć, że nie ma na rynku lepszego opisu „transformacji ustrojowej” sprzed 30 lat.

Nie piszę jednak tego tekstu dla przechwałek, tylko by opisać zmory naszego życia publicznego, będące spuścizną zwycięstwa michnikowszczyzny w latach

eprasa.pl c21ff32d6d

90. – zmory, z którymi wciąż nie możemy się uporać, mimo wszelkich zmian, które się w ciągu tych 20 lat dokonały. „Gazeta Wyborcza" od dawna nie sprawuje już „rządu dusz" nawet nad żelaznym elektoratem rządzącej koalicji, młode pokolenie całkowicie odrzuciło autorytety „Salonu", znajdując własne, po większej części zresztą znajdując je w obozie, którym od 35 lat straszyła i nadal straszy michnikowszczyzna, szermując histerycznymi oskarżeniami o faszyzm, rasizm i wszystko, co najgorsze. Jednak mimo to zło – które za sprawą Adama Michnika, ROAD i Unii Demokratycznej zatriumfowało w życiu publicznym lat 90. – trwa.

Złośliwi stwierdzą być może, że w takim razie moja książka źle się zestarzała – konstatowałem w niej przecież, że Michnik wszystko przegrał. Jednak nie popełniłem co do tego błędu, przegrał istotnie. Tylko że nie z jakąś „antymichnikowszczyzną", nie z umowną prawicą. Michnikowszczyzna przegrała z „tuskowszczyzną". Czy też – mówiąc szerzej – formacja liberalno-inteligencka, którą obok Michnika Bronisław Geremek, Jacek Kuroń, i inni prominenci dawnego Komitetu Obywatelskiego przy Lechu Wałęsie budowali w imię „etosu Solidarności" została przejęta i wchłonięta przez cwaniaków, dla których polityka to tylko wzajemna wymiana przysług, zapewniająca członkom partyjnej nomenklatury wpływy i „obrywy" finansowe.

PACYFIKACJA LUDU

Dziś, gdy praktycznie każdy dzień przynosi informacje o kolejnych aferach, gdy członkowie rządzącej partii rozkradają z bezprzykładną pazernością fundusze na naukę, ochronę środowiska, szpitale, pomoc dla powodzian i praktycznie wszystko, co znajduje się w zasięgu ich rąk, widać ze szczególną jaskrawością skutki poronionego pomysłu, by budować nową, wolną i demokratyczną Polskę na bazie „historycznego kompromisu demokratycznej części opozycji z reformatorskim skrzydłem Partii".

Klasa panująca III RP była owocem zmowy elit, jasno wyrażonej w publicystyce i deklaracjach politycznych towarzyszących założycielskiemu kompromisowi w Magdalence i przy Okrągłym Stole. Ta zmowa skierowana była przeciwko społeczeństwu, które „nie dorosło" i „nie rozumie", a przez to „zagraża". Do dziś nie umiem ocenić, ile było w tym sprytnej socjotechniki resortu generała Czesława Kiszczaka, a ile spontanicznej głupoty „opozycji demokratycznej": w każdym razie obie strony zgodnie zbudowały mit, w którym „transformacja" i „reformy", jako operacja szalenie skomplikowana i wymagająca wielkiej przebiegłości, musiały odbywać się poza wiedzą czy wręcz wbrew niezdolnym pojąć historyczne konieczności „masom". To w nich właśnie uczestnicy „historycznego kompromisu" upatrywali największe zagrożenie. Ci, którzy w Magdalence występowali jako „strona społeczna" i bojownicy demokracji, w istocie najbardziej bali się demokracji właśnie, tego, że lud swoimi niewczesnymi żądaniami wykolei cały proces zaprojektowany przez oświeconych doradców Solidarności. Żądania ludu należało więc spacyfikować, najlepiej dać mu jakąś narkozę, aby pozostał bierny. Tymczasem ta druga, „niepodległościowa" część opozycji, wyślizgana z list wyborczych Komitetu Obywatelskiego, nieodpowiedzialnie mąciła owemu ludowi w głowie hasłami o dekomunizacji i rozliczeniu win, równym rozkładaniu kosztów reform, powszechnym uwłaszczeniu… Z punktu widzenia samozwańczej „elity" z Magdalenki było to czystym złem, które należało zwalczyć wszelkimi możliwymi środkami, w sojuszu choćby z samym diabłem – a co dopiero z „komuną", którą „kuroniada" (określenie Krzysztofa Wyszkowskiego) uważała za definitywnie przetrąconą i skazaną na bycie jej junior partnerem.

Władzę obsługuje formacja dziedzicząca wszystkie zachowania PRL-owskiej nomenklatury, będącej typową „elitą kompradorską"

W ten sposób narodziła się największa ze zmór III RP, która od 35 lat uniemożliwia nam zbudowanie demokratycznego państwa prawa: odmowa podporządkowania się demokracji. Michnikowszczyzna i wszystkie jej polityczne emanacje, choć przypisały sobie nazwę „obozu demokratycznego", za jedyną dopuszczalną demokrację uważają tylko taką, w której rządzi ona. Jeśli wyborcy zadecydują inaczej – to jest to naruszenie moralnego porządku świata, któremu trzeba się przeciwstawić wszystkimi posiadanymi środkami. Ludzie wychowani w duchu „materializmu dialektycznego" nie uważali tego wcale za obłudę – edukowano ich przecież w przekonaniu, że postęp odbywa się „etapami" i na każdym z nich należy się kierować „mądrością etapu". Dążyli oczywiście do demokracji, ale dopiero kiedy społeczeństwo do niej dorośnie. Na razie nie dorosło, więc na tym etapie musi być pod strażą elity, która je oświeca, edukuje i wychowuje. Dopóki ten proces się nie zakończy, dopóty decyzje wyborców powinny być traktowane jak zachcianki dziecka, które zwyczajnie nie wie, co dla niego dobre.

MENTALNA GNOJÓWKA

Mieliśmy chyba w 35-leciu III RP wystarczająco wiele przykładów i dowodów tej mentalności panujących, żeby nie rozwodzić się zbytnio nad tym, co oczywiste. Państwo należy się oświeconym jak przysłowiowemu psu buda. Jeśli wyborcy dopuszczą do władzy polityków niemających certyfikatu oświeconych elit, to elity mają prawo, a wręcz moralny obowiązek buntu. Zobowiązane są delegitymizować taką władzę na każdym kroku, sabotować jej posunięcia, paraliżować te agendy państwa, nad którymi oświeceni stracili władzę, a te elementy życia publicznego, nad którymi wciąż panują, czynić bastionami stawiającymi opór rządowi. Rokosz establishmentu prawniczego po roku 2015 jest tu przykładem najbardziej wyrazistym i najgorszym w skutkach.

Rzecz w tym, że narzędzia, którymi dysponowały owe michnikowe, udeckie elity – głosy autorytetów, siła imponowania salonów, zawstydzanie „ciemnogrodu" z pozycji moralnej i intelektualnej wyższości – okazały się nie dość skuteczne. Owszem, pozwoliły zapanować nad warstwami najbardziej uwikłanymi w PRL, głównie nad tzw. inteligencją pracującą i partyjną nomenklaturą. Michnikowszczyzna nie tylko rozgrzeszyła je z kolaboracji z sowieckim okupantem i zawieranych w państwie niesuwerennym kompromisów. Dała coś więcej: legendę, w której to oni, a nie

eprasa.pl c21ff32d6d

„robole", obalili stalinizm (to nie jest błąd, tylko stylizacja: w publicystyce tego okresu Michnik nigdy nie pisze o przezwyciężeniu komunizmu czy socjalizmu, tylko właśnie stalinizmu, jakby „batiuszka" umarł dopiero w latach 80.). Kolaborując, byli „kamieniami, które zmieniły bieg lawiny". Po raz kolejny w polskiej historii egzaltacje poety zafartowały decyzje polityczne.

Na szczęście dla Polski do Polaków coraz bardziej dociera, że z Unii nie płyną już dobrobyt i bezpieczeństwo, ale coś zgoła przeciwnego

Jednak warstwy niższe zareagowały niezgodnie z oczekiwaniami: zamiast, wstydząc się swej roszczeniowości i ciemnoty, gorliwie poddawać się prowadzonej przez salony i ich media pedagogice, coraz bardziej się przeciwko niej buntowały. Salony nie miały innej broni, niż w takim razie eskalować chłostę wstydu, aż przerodziła się ona w jawne, nieskrywane okazywanie „ludowi" coraz większej pogardy, co oczywiście było przeciwskuteczne. U końca tej drogi mamy groteskową próbę „przelicytowania" pogardzanych „chamów" w… chamstwie właśnie. Przecież śp. Andrzej Lepper, ogłoszony benczmarkiem chamstwa, brutalności i agresji, mówił tylko grzecznie, że „Balcerowicz musi odejść". Nie mówił, że ma „wypier….ć", nie wzywał, by kogokolwiek „je..ć" ani nie nagrywał filmików dla kilkuletniej wnusi z przesłaniem, że jak dorośnie, musi tym wszystkim Michnikom i Balcerowiczom „dopier….ć". Tą mentalną gnojówką zalały polskie życie publiczne, u swego ostatecznego upadku, dopiero postinteligenckie „elity".

Skoro lud okazał się niepodatny na tresurę autorytetów, a w końcu odważył się dać władzę „populistom", czyli zagrozić samej demokracji i wszystkim najwyższym wartościom moralnym, to oświecone elity potrzebowały skutecznej siły, która mogłaby nad ludem zapanować. Po upadku znaczenia Unii Demokratycznej tej siły dostarczyli michnikowszczyźnie postkomunişci, a potem Donald Tusk, który ostatecznie wypchnął z polityki Bronisława Geremka i skupione wokół niego środowisko. Tusk bowiem zdołał zrobić to, do czego michnikowszczyzna była organicznie niezdolna: skomunikował się z masami. Jak cwaniak z cwaniakami: będziemy w Unii grzeczni, to nam dadzą kasę, będą promocje w marketach, aquaparki, ciepła woda w kranie, wszystko inne olać.

Upadku dopełniła afera Rywina, która złamała opiniotwórczą siłę Michnika i jego gazety. Taki był koniec rojeń o rządach inteligenckiego salonu, opartych na autorytecie. Został on sprowadzony do roli jednego z lobby, które w zamian za usługi świadczone dla politycznej propagandy władzy dostaje od niej swoje „obrywy", ale to nie on decyduje, jakie. Symbolicznym momentem była tu petycja ruchu „Obywatele Kultury", którą przedstawiciele środowisk artystycznych złożyli na ręce premiera Tuska, prosząc o zwiększenie dla nich funduszy. Premier demonstracyjnie dopisał się do sygnatariuszy petycji i oddał im list, odsyłając do ministra kultury w swoim rządzie, a pieniądze odebrane artystom przeznaczył na organizację zawodów piłkarskich i „strefy kibica".

ZAMIAST ZSRS – UE

Mówiąc krótko, powtórzyła się prawidłowość opisana przez Janusza Szpotańskiego w „Towarzyszu Szmaciaku". „Tak się historii koło kręci / że najpierw są inteligenci / co mają szczytne ideały / i przeobrazić chcą świat cały" – ale potrzebują do spełnienia swych rojeń wykonawców. A ci mają swoje priorytety: „Szmaciak chce władzy nie dla śmichu / lecz dla bogactwa, dla przepychu / chce mieć tytuły, forsę, włości / i w nosie przyszłość ma ludzkości" (można tu sparafrazować: i w nosie ma „Etos Solidarności"). „Ożywia go zasada prosta: z wszystkiego można szmal wydostać". W istocie rządy „obozu demokratycznego" przerodziły się w wielkie łupienie kraju, dokładnie wedle wzorca działania partyjnej nomenklatury za rządów PZPR. Tak samo jak wtedy, każdy, kto protestował przeciw złodziejstwu i układom, stawał się „wrogiem socjalizmu", „psem imperializmu" i „wodą na młyn odwetowców z Bonn" ze wszystkimi tego konsekwencjami, tak dziś rusza na niego nagonka „autorytetów", by opluć jako wroga demokracji i Europy oraz unurzać w Putinie. Do tego służą dziś rządzącym cwaniakom inteligenckie salony.

Rządy cwaniackie od rządów inteligenckich przejęły nie tylko bezgraniczne poczucie wyższości nad biedniejszą i mniej sprytną częścią Polski, widząc w nim moralną legitymizację nie tylko władzy nad tymi „starszymi, gorzej wykształconymi i z mniejszych ośrodków", którzy „nie poradzili sobie w transformacji", lecz także także prawo do „dojenia ich" („trzeba doić, strzyc to bydło, a kiedy padnie, zrobić mydło", by raz jeszcze zacytować satyryczny poemat, który idealnie opisuje dziedziczny mental „klasy panującej" III RP). Przejęły też przekonanie michnikowszczyzny, że w Polsce nie ma nic do wymyślenia, nie potrzebujemy żadnej strategii, żadnego planowania. Wszystkie te sprawy, w kraju normalnym będące zadaniem elit, od 35 lat są odrzucane jako nieważne i niepotrzebne: dyrektywy i wytyczne „reform" przysyłają nam przecież inni, jedyne, co pozostaje, to je „implementować". Całą energię można poświęcić na artykułowanie swego poczucia wyższości, chłostanie niedorastającej do Europy ciemnoty, niszczenie wszelkimi metodami opozycji, i, oczywiście, na kombinowanie, „jak w państwowy system rurek swój prywatny wkręcić kurek".

Nie może być inaczej, gdy władzę obsługuje formacja dziedzicząca wszystkie zachowania PRL-owskiej nomenklatury, będącej typową „elitą kompradorską" – czyli, jak definiuje to teoria państwa postkolonialnego, „nastawioną na obsługiwanie we własnym kraju interesów obcych". Taka „klasa polityczna" i jej intelektualne zaplecze widzi się tylko jako pas transmisyjny pomiędzy metropolią, z której płyną wzorce, zadania, wskazówki i wartości (a także pieniądze i ordery). Tyle tylko, że upadły ZSRS zastąpiła w tej roli Unia Europejska. To na niej, na jej autorytecie, na marzeniu o dołączeniu, byciu „Zachodem", trzymała się – i trzyma nadal, choć coraz bardziej chwiejnie – władza współczesnych Szmaciaków. Na szczęście dla Polski do Polaków coraz bardziej dociera, że z Unii nie płyną już dobrobyt i bezpieczeństwo, ale przeciwnie – podwyżki, kosztowne, biurokratyczne absurdy i traktujący nas jak kraj do podboju migranci.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Agnieszka Golańska-Bault

Duszenie wiary

Prześladują chrześcijan u siebie, a innych oskarżają o islamofobię. Czas się domagać elementarnej wzajemności w relacjach z krajami muzułmańskimi

Gdy 13 kwietnia br. papież Leon XIV postawił stopę na algierskiej ziemi, był pierwszym w historii biskupem Rzymu, który odwiedził ten kraj. Kraj, w którym wyznawanie chrześcijaństwa jest teoretycznie wciąż możliwe, ale z każdym rokiem coraz trudniejsze. Zgodnie z ostatnim raportem Komisji Stanów Zjednoczonych do spraw wolności religijnej Algieria znalazła się w 2025 r. na liście 20 najgorszych miejsc do życia dla chrześcijan na świecie (oprócz Chin, Wietnamu, Indii, Korei Północnej, Kuby, Nikaragui i Rosji wszystkie pozostałe kraje na liście to kraje islamskie). Publicyści i komentatorzy zastanawiali się tym samym, do kogo i z jakim przesłaniem przybywa do Algierii papież, skoro wspólnota katolików w tym kraju nie przekracza 9 tys. wyznawców (co stanowi zaledwie 0,02 proc. ludności 47-milionowego kraju i niespełna 6 proc. wszystkich algierskich chrześcijan) i składa się dziś niemal wyłącznie z obcokrajowców: dyplomatów, studentów i migrantów z Afryki Subsaharyjskiej oraz pracowników instytucji Kościoła katolickiego. Zadawano sobie również pytanie, czy papież upomni się o los ok. 150 tys. członków wspólnot protestanckich, które szczególnie w ostatnich trzech latach doświadczają niespotykanych dotąd represji i ograniczeń, zarówno ze strony islamskiego rządu, jak i muzułmańskiego społeczeństwa.

Na los algierskich chrześcijan warto spojrzeć w kontekście całego muzułmańskiego świata, w którym wyznawcy Chrystusa dzielą się na dwie zasadniczo różne grupy. Pierwszą są wspólnoty starsze od samego islamu – egipscy Koptowie, iraccy Chaldejczycy i Asyryjczycy, syryjscy prawosławni czy maronici – tolerowane, lecz pod bezwzględnym warunkiem: nie wolno im ewangelizować muzułmanów. Drugą stanowią konwertyci, byli muzułmanie, których liczbę na świecie badacze Duane Alexander Miller i Patrick Johnstone oszacowali w 2015 r. na ok. 10 mln (w stosunku do 200 tys. w 1960 r.). Wbrew potocznej opinii to nie Egipt jest ojczyzną nawróceń – tamtejsi chrześcijanie to niemal wyłącznie „rodowici" Koptowie – lecz Indonezja, a przede wszystkim Iran, gdzie z ok. 500 zidentyfikowanych konwertytów w 1979 r. wspólnota urosła, według anonimowej ankiety ośrodka GAMAAN z 2020 r., do prawie 1 mln. Do liczb tych trzeba jednak podchodzić ostrożnie: nawrócenia są z natury aktem prywatnym, ukrywanym nawet przed rodziną, wierni gromadzą się w konspiracyjnych kościołach domowych, a większość konwersji dokonuje się w płynnych strukturach wspólnot ewangelikalnych, których nikt nie jest w stanie rzetelnie policzyć. Pewny jest trend, a nie konkretne cyfry. Na mapę tej cichej wiosny nakłada się mapa represji: według Światowego Indeksu Prześladowań w minionym roku 388 mln chrześcijan doświadczało prześladowań, a prawie 5 tys. zabito za wiarę – najwięcej w Nigerii i Afryce Subsaharyjskiej. W Somalii czy Afganistanie dekonspiracja konwertyty oznacza śmierć, w Arabii Saudyjskiej nie ma ani jednego kościoła, w Pakistanie oskarżenia o bluźnierstwie prowokują pogromy. Na tym tle Algieria nie jest nawet najgorsza: nikt tu ostatnio nie zginął za wiarę, prawo nie przewiduje kary śmierci za apostazję. Algierski model to metodyczne, administracyjne duszenie kultu – ale zarazem, podobnie jak w Iranie, inny mocny dowód na to, że represje nie muszą zatrzymywać szerzenia wiary w Jezusa Chrystusa. Historia uczy jednak, że reguła Tertuliana o krwi męczenników („krew męczenników jest nasieniem chrześcijan") nie działa automatycznie – Algierczycy wiedzą o tym najlepiej, bo chrześcijaństwo dwa razy już u nich prawie wygasło.

POWRÓT 600 LAT PÓŹNIEJ

Afryka Północna była jedną z pierwszych kolebek chrześcijaństwa. To tutaj, w starożytnej Numidii, obejmującej częściowo ziemie północnej Algierii, urodzili się i nauczali m.in. właśnie Tertulian czy św. Augustyn z Hippony (dziś miasto nosi nazwę Annaba). Pierwsi chrześcijańscy męczennicy, św. Salsa, św. Marcjan i Kaspjan czy św. Fabiusz, oddawali życie na ziemiach tworzących współczesną Kabylię. Dopiero arabski podbój Afryki Północnej w VII w. rozpoczął długi proces islamizacji starożytnych, chrześcijańskich terenów. Niemniej jednak jeszcze przez wieki w Maghrebie chrześcijańskie wspólnoty pielęgnowały swoje dziedzictwo wiary i dopiero w XIII w., pod rządami rygorystycznej islamskiej dynastii Almohadów, wiara w Chrystusa niemal całkowicie zniknęła z tych ziem. Powróciła 600 lat później, wraz francuską kolonizacją. Od 1830 r. liczni misjonarze – w tym ojcowie biali, zgromadzenie założone przez

eprasa.pl c21ff32d6d

kard. Charlesa Lavigerie – budowali na terenie dzisiejszej Algierii kościoły, szkoły, szpitale i, podejmując próby chrześcijańskiej inkulturacji i reewangelizacji przede wszystkim berberyjskiej Kabylii, nawiązywali do wciąż żywego tu mitu o chrześcijańskich korzeniach Berberów. W połowie XX w. algierska społeczność chrześcijańska liczyła prawie 1 mln wiernych. Sytuacja zmieniła się jednak szybko i radykalnie w 1962 r., gdy po ogłoszeniu przez Algierię niepodległości i na skutek związanego z nim exodusu tzw. pieds-noirs (osadniczej ludności pochodzenia europejskiego, m.in. francuskiej) i większości rdzennych Algierczyków nawróconych na katolicyzm, chrześcijaństwo znów niemal zupełnie zniknęło z terenów Algierii, a Kościół katolicki zyskał status instytucji tolerowanej i ściśle kontrolowanej przez państwo. Paradoksalnie dopiero tzw. czarna dekada – algierska wojna domowa w latach 1991–2002 – przyniosła nową falę nawróceń. Przemoc islamistów, zamordowanie w 1996 r. siedmiu trapistów z Tibhirine, a także biskupa Oranu, Pierre'a Claveriego, wstrząsnęły społeczeństwem. Wielu Algierczyków, zwłaszcza Kabylów, zaczęło odchodzić od islamu i zwracać się ku chrześcijaństwu. Mimo gorliwości nowych wyznawców hierarchia kościelna zachowywała wobec nich duży dystans. Straumatyzowana islamskim terrorem, chciała pozostać jak najdalej od tragicznych wydarzeń wojny i wszelkich kontrowersji, nie chcąc się narażać. Kabylowie zaczęli więc przyjmować chrześcijaństwo mające w przeciwieństwie do miejscowego katolicyzmu mocny rys misyjny – zwrócili się ku protestantyzmowi. To oni tworzą dziś w Algierii liczną i prężną chrześcijańską mniejszość religijną. Co ciekawe, podobną sytuację można obserwować we Francji, w której muzułmanie pochodzący z różnych krajów, gdy zwracają się do „mainstreamowego" Kościoła katolickiego, najczęściej spotykają się z mało entuzjastyczną reakcją ze strony wystraszonych księży. Przyjmowani są chętniej przez pewnych swojej wiary katolickich tradycjonalistów, których w Algierii niestety nie ma, lub przez prężne wspólnoty ewangelickie.

Gdyby zapytać przeciętnego katolika żyjącego w Algierii o obecną sytuację Kościoła katolickiego i wolność wyznania w tym kraju, prawdopodobnie nie usłyszelibyśmy z ich ust dramatycznych opowieści o represjach czy prześladowaniach. Kościół katolicki jako instytucja wypracował sobie swoiste status quo, pozostający pod kontrolą muzułmańskich władz kult katolicki jest wciąż akceptowany. Duchowni katoliccy już w latach 60. porzucili swoją misję ewangelizacyjną i troszczą się głównie o pokojową koegzystencję z muzułmanami. Nawet zamknięcie we wrześniu 2022 r. organizacji katolickiej Caritas Algieria nie skłoniło ich do protestów i ostrej reakcji.

„NIEPOKORNA" KABYLIA

Samo istnienie na terenie Algierii katolickich świątyń z okresu francuskiej kolonizacji, takich jak Bazylika św. Augustyna w Annabie czy Bazylika Matki Bożej Afrykańskiej w Algierze i troska algierskich władz o ich utrzymanie mają świadczyć o wolności kultu i dobrych stosunkach międzyreligijnych. To jednak tylko piękna zasłona przykrywająca dużo brzydszą rzeczywistość. Kościół katolicki jest tolerowany, bo jest podporządkowany władzy – heterogeniczna, niezakorzeniona w Algierii katolicka mniejszość nie stanowi prawdziwej wspólnoty i nie zagraża tym samym algierskiej muzułmańskiej i arabskiej tożsamości. Nie są natomiast tolerowani protestanci, będący w większości Kabylami. Co prawda, konstytucyjnym trzecim filarem narodowej świadomości ma być teoretycznie także „berberyjskość", ale w praktyce reżim uznaje ją za regionalny partykularyzm zagrażający jedności narodowej. Kabyle są problemem dla rządów w Algierze jednocześnie z kilku powodów. Ich kultura i tożsamość są z natury pluralistyczne i demokratyczne, nie przystają zatem do religijnej i etnicznej wizji państwa islamskiego narzucanej przez rząd. Kabylia jest „niepokorna", od wieków opiera się ostatecznej islamizacji i arabizacji, a od dekad ma silny niepodległościowy Ruch na rzecz Samostanowienia Kabylii – tzw. MAK (w 2021 r. uznany przez rząd w Algierze za organizację terrorystyczną). Zdaniem historyk Charlotte Touati chrześcijaństwo również stało się w Kabylii elementem tożsamości, sposobem na odcięcie się od narzucanego islamu i etnicznej arabskości. Były ambasador Francji w Algierii Xavier Driencourt zwraca natomiast uwagę na to, że rząd postrzega kabylski protestantyzm jako zjawisko „antyalgierskie", nadal powiązane z kolonializmem i Francją. Warto również pamiętać, że w przeciwieństwie np. do sąsiedniego Królestwa Maroka, mogącego szczycić się ponad 1000-letnią historią, państwo algierskie jest wytworem dekolonizacji bez historycznych korzeni. Dlatego też, chcąc budować narodową tożsamość, reżim odczuwa potrzebę zwalczania wszelkich objawów różnorodności etniczno-religijnej. Kabylscy chrześcijanie ponoszą zatem podwójną karę: jako Kabyle są separatystami, a jako chrześcijanie zdrajcami islamu. Represje, które ich dotykają, prowadzą stopniowo do całkowitej likwidacji kultu, a w dłuższej perspektywie mogą spowodować ponowne całkowite wymazanie obecności chrześcijan w tej części Maghrebu.

W Algierii mocny rys misyjny ma protestantyzm. To go różni od miejscowego katolicyzmu

Od 2006 r. władze administracyjnie zamknęły w Algierii aż 58 kościołów protestanckich w całym kraju, a od roku na terenie Algierii działają już tylko trzy kościoły protestanckie. Każde zebranie modlitewne poza oficjalnie zatwierdzonym do tego celu budynkiem jest przestępstwem, zatem wierni gromadzący się w garażach, prywatnych domach czy pod gołym niebem (tzw. kościoły pod oliwkami) lub nawet na Zoomie narażają się na represje, jak np. pastor Youssef Ourahmane, wiceprzewodniczący Kościoła protestanckiego Algierii (EPA), skazany na rok więzienia i grzywnę za sprawowanie kultu bez zezwolenia. Dekret z 2006 r. i ustawa z 2012 r. wprowadziły obowiązek ponownej rejestracji wszystkich stowarzyszeń religijnych pod rygorem ich delegalizacji. Kościół protestancki Algierii wniosek taki złożył, ale nigdy nie został on zatwierdzony, zatem organizacja nie ma osobowości prawnej.

Ten sam dekret z 2006 r. penalizuje również nawracanie muzułmanów, a nawet posiadanie materiałów mogących

eprasa.pl c21ff32d6d



Papież Leon XIV w Bazylice Matki Bożej Afrykańskiej w Algierze, 13 kwietnia 2026 r. FOT. VATICAN MEDIA/IMAGO/EAST NEWS

„zachwiać wiarą muzułmanina" (przewiduje za to karę od dwóch do pięciu lat więzienia). W praktyce, nawet posiadanie przy sobie Biblii w torebce, noszenie krzyżyka, różańca w widocznym miejscu lub rozmowa na temat wiary, także ta zainicjowana przez zaciekawionego muzułmanina, mogą być uznane za przejaw prozelityzmu. W 2008 r. międzynarodowe zainteresowanie wywołała sprawa nawróconej na chrześcijaństwo nauczycielki, 37-letniej Habiby Kouider, która została aresztowana i skazana na trzy lata więzienia za posiadanie 11 egzemplarzy Biblii w domu.

Na mocy kodeksu karnego ściga się również bluźnierstwo, a za „obrażanie Proroka lub dogmatów islamu" grozi także kara więzienia, często orzekana w Algierii. Szczególnie dramatyczny jest przypadek Slimane'a Bouhafsa, aresztowanego w 2016 r. za satyryczne posty na temat islamu na Facebooku. Kiedy przebywał na warunkowym zwolnieniu po orzeczeniu kary trzech lat więzienia, uciekł do Tunezji, gdzie uzyskał status uchodźcy ONZ. W 2021 r. został jednak porwany, sprowadzony do Algierii. Tam więziono go, torturowano i ponownie skazano za „przynależność do organizacji terrorystycznej". Dziś, po odbyciu kary, odmawia mu się wystawienia dokumentów tożsamości oraz prawa do emerytury. Zrobiono z niego faktycznego bezpaństwowca we własnym kraju.

Dyskryminacja niemuzułmanów jest wpisana również w kodeks rodzinny, oparty na prawie szariatu: chrześcijanki są wykluczone ze spadku po mężu, apostazja jest automatycznie przyczyną rozwodu, administracja dysponuje listą „imion zakazanych", których nie można nadawać dzieciom ze względu na ich chrześcijańskie brzmienie, a pochówek chrześcijan bywa utrudniany. Powszechna jest dyskryminacja zawodowa chrześcijan, a na celowniku są zwłaszcza nauczyciele chrześcijanie, traktowani jako zagrożenie dla formacji młodego pokolenia Algierczyków. Konstytucja wprost zakazuje niemuzułmanom piastowania wysokich urzędów państwowych.

TRUDNO LICZYĆ NA WATYKAN

Żyjąc w środowisku tak wrogim, chrześcijanie nierzadko praktykują wiarę w ukryciu, nawet przed swoją najbliższą rodziną. W Algierii podobnie jak w innych krajach muzułmańskich przejście na chrześcijaństwo jest zdradą, także zdradą własnej społeczności. Ulegając presji społecznej, konwertyci uczestniczą zatem dalej w muzułmańskich obrzędach, szczególnie ważnych dla wspólnoty. Przestrzegają np. zasad Ramadanu. Okazuje się bowiem, że nawet publiczne spożywanie posiłku przez niemuzułmanów w miesiącu rytualnego postu może zostać uznane za obrazę islamu. Co gorsza, nawet ci, którzy w poszukiwaniu wolności religijnej wyjeżdżają do Francji, by móc przyjąć chrzest i praktykować nowo przyjętą wiarę, wciąż żyją w ukryciu, pragnąc chronić swoich bliskich pozostałych w Algierii przed represjami władzy i zemstą muzułmańskiej społeczności. Robią to także w trosce o własne bezpieczeństwo, ponieważ także we Francji każdego apostatę może dosięgnąć karząca „ręka Allaha".

Trudno o bardziej gorzką puentę niż ta, którą pisze sam Algier. Reżim, który dusi u siebie chrześcijaństwo, chętnie występuje bowiem w roli obrońcy prześladowanych – tyle że muzułmanów we Francji. Finansowany przez algierski rząd Wielki Meczet w Paryżu ostrzega ustami swojego rektora, że „muzułmanie Francji są w niebezpieczeństwie", algierskie media państwowe grzmią o „islamofobii" francuskich ministrów, a prezydent Abd al-Madżid Tebboune pretenduje do roli obrońcy praw milionów swoich rodaków nad Sekwaną. Nikt z nich nie chce dostrzegać hipokryzji: w Algierii imamowie są urzędnikami państwowymi, a ostatnie kościoły zamyka się na mocy arbitralnych, administracyjnych decyzji, we Francji zaś każdą wiarę, z islamem włącznie, wolno swobodnie wybrać, wyznawać i porzucić. Paradoks ten nie dotyczy zresztą jedynie Algierii i Francji, lecz całego świata muzułmańskiego i Zachodu. Czy nie pora więc, by Europa zaczęła się domagać w relacjach z krajami muzułmańskimi elementarnej wzajemności, jeśli chodzi o swobodę kultu religijnego? Na Watykan trudno przy tym liczyć: podczas kwietniowej wizyty Leon XIV ani słowem nie upomniał się o algierskich protestantów, mówiąc – wierny logice dyplomatycznej powściągliwości – o braterstwie, pokoju i świadectwie życia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Filip Memches

Racje kolaboranta



FOT. GALLICA DIGITAL LIBRARY

Pierre Drieu la Rochelle odrzucał nacjonalizmy. Snuł wizję europejskiego supermocarstwa. Brzmi znajomo? Tak, ale integratora Starego Kontynentu francuski pisarz upatrywał nie w jakimś polityku odwołującym się do równości i inkluzywności, lecz w Adolfie Hitlerze

Koncepcja zjednoczonej Europy jako scentralizowanego supermocarstwa, które ma zastąpić państwa narodowe Starego Kontynentu, często jest interpretowana jako lewicowa utopia. Nie przypadkiem krytycy tego projektu już dziś porównują Unię Europejską do Związku Sowieckiego. I w tym przypadku nie chodzi im tylko o centralistyczne zapędy instytucji unijnych, lecz także o forsowaną przez nie określoną agendę ideologiczną. Mimo że pod wieloma względami różni się ona od komunistycznej doktryny państwa sowieckiego, to jednak jej lewicowy charakter nie pozostawia złudzeń.

To właśnie unijna biurokracja jest doskonałym przykładem wdrożenia strategii przyjętej przez ludzi Pokolenia '68, a więc aktywistów zachodniej nowej lewicy. Doszli oni do wniosku, że swoje polityczne cele – takie jak równość i inkluzywność – osiągną nie przez akty rewolucyjne, lecz przeprowadzając długi „marsz przez instytucje". I tak się też stało. W UE kluczowymi ideologicznymi punktami odniesieniami stały się m.in.: feminizm, teoria gender, multikulti, ekologizm. Ale przede wszystkim trzeba zwrócić uwagę na podejrzliwe traktowanie wszelkich partykularyzmów narodowych i upatrywanie w nich potencjalnych źródeł krwawych konfliktów zbrojnych. Unia ma z jednej strony świecić dla świata jako wzór wprowadzania emancypacyjno-progresywnych rozwiązań, a z drugiej – być środkiem zapobiegającym wojnom między narodami Starego Kontynentu, zwłaszcza przez kształtowanie wspólnej tożsamości europejskiej. W tym kontekście trzeba podkreślić, że jednym z ideologicznych filarów UE jest szeroko pojęty antyfaszyzm, będący wyrazem odrzucenia wszelkich nacjonalizmów, w tym niemieckiego, który stał się podstawą narodowego socjalizmu.

Okazuje się jednak, że niegdyś idea zjednoczonej Europy przyświecała wrogom lewicy.

RUCH PANEUROPEJSKI

Myśl o integracji europejskiej krążyła na Starym Kontynencie już w okresie międzywojennym. Sytuacja była następująca: w Europie po pierwszej wojnie światowej rozpadły się wielkie imperia, w tym wielonarodowa monarchia Habsburgów. Natomiast zostało utworzonych mnóstwo nowych państw. Ale ustanowienie ładu wersalskiego nie ustabilizowało sytuacji. Liga Narodów, która miała strzec pokoju, coraz bardziej nie sprawdzała się w tej roli.

I w tych okolicznościach już w 1922 r. został powołany ruch paneuropejski. Inicjatorem tego przedsięwzięcia był austriacki arystokrata, dyplomata Richard Coudenhove-Kalergi. Z jednej strony paneuropeiści nie chcieli powtórki koszmaru pierwszej wojny światowej, z drugiej – zależało im na uchronieniu Starego Kontynentu przed agresywnymi zakusami Sowietów. Co ciekawe, jako problem wskazywali również ekspansję amerykańskiego kapitalizmu, będącą wyzwaniem dla rynków europejskich. W zaistniałej sytuacji zatem postulowali utworzenie federacji europejskiej (jej członków łączyłaby m.in. unia monetarna).

Coudenhove-Kalergi należał – przynajmniej przez jakiś czas – do loży masońskiej. Był dzieckiem fin de siecle'u – epoki, której ton nadała filozofia Friedricha Nietzschego. Jeśli chodzi o przyszłość ludzkości Austriak widział ją w tym, co określał mianem „hiperetyki". Opowiadał się za przewartościowaniem chrześcijaństwa i powrotem do natury. Głosił prymat piękna nad cnotą. Natomiast paneuropeizm może się jawić jako wytwór dziedzictwa oświecenia (nawiązanie do sformułowanego u zmierzchu XVIII w. przez Immanuela Kanta postulatu „wiecznego pokoju"). Jego zwolennicy stawiali na wartości liberalne i demokrację.

Można powiedzieć, że paneuropeizm był zwiastunem tych tendencji, z którymi mamy do czynienia dziś – zwłaszcza koncepcji „strategicznej autonomii" Starego Kontynentu – zarówno wobec USA, jak i wobec innych mocarstw świata. Tyle że ruch paneuropejski nie zdobył odpowiednich narzędzi do tego, żeby ideę zjednoczonej Europy spróbować

eprasa.pl c21ff32d6d

przemienić w polityczną rzeczywistość. Natomiast inaczej było z Narodowosocjalistyczną Niemiecką Partią Robotników. Polityka, którą prowadziły Niemcy pod jej przywództwem, sprawiła, że wśród intelektualistów z różnych krajów Europy zrodziła się nadzieja na to, że państwo Adolfa Hitlera stanie się integratorem Starego Kontynentu. Opinia ta obecnie brzmi szokująco. Nazizm uchodzi przecież za najwyższe – skrajnie szowinistyczne i w dodatku ludobójcze – stadium niemieckiego nacjonalizmu, czyli zaprzeczenie jakichkolwiek projektów integracji europejskiej. A jednak warto się zmierzyć z prawdą, która jest niewygodna dla dzisiejszych orędowników centralizacji Unii Europejskiej. W ich propagandzie UE to przecież humanistyczne i uniwersalistyczne remedium na jakąkolwiek recydywę brunatnych trendów.

PACYFISTA I FASZYSTA

Oto w najnowszym wydaniu kwartalnika „Kronos" (nr 1/2026) został zamieszczony blok tekstów przybliżających sylwetkę i twórczość Pierre'a Drieu la Rochelle'a. Myśl tego francuskiego pisarza – trzeba podkreślić, że pełna sprzeczności – rzuca światło na to, jak niegdyś idea zjednoczonej Europy wkomponowała się właśnie w faszyzm.

Młodość Drieu la Rochelle'a przypadła na okres pierwszej wojny światowej. Pisarz przywdział mundur i trafił na front, był kilkakrotnie ranny. To zaowocowało u niego postawą pacyfistyczną. Jednocześnie co do przyszłości Europy żywił pesymizm. Zwycięstwo Francji w 1918 r. pisarza nie przekonywało. A jako człowiek pióra uprawiał prozę psychologiczną (w „Kronosie" jej próbkę stanowi opowiadanie „Pusta walizka") i publicystykę polityczną. Obracał się w kręgu bohemy artystycznej – dadaistów i surrealistów, ale ci zrazili go do siebie swoją prosowiecką lewicowością.

Stanowisko polityczne, które zajmował Drieu la Rochelle, wyrastało poniekąd z republikańskiego i laickiego nacjonalizmu będącego pokłosiem rewolucji 1789 r. To przecież dopiero na gruzach porządku feudalnego zaczął się kształtować naród francuski jako wspólnota obejmująca rozmaite warstwy społeczne. Pisarz zatem odrzucał konserwatyzm monarchistyczny, który lansowała organizacja Akcja Francuska Charlesa Maurrasa, choć przez pewien czas był z nią związany. Jednocześnie z awersją odnosił się do demokracji jako ustroju, który – jego zdaniem – był skazany na porażkę.



„KRONOS" NR 1/2026

Ale Drieu la Rochelle właściwie nacjonalistą nie był. Już bowiem w latach 20. zaświtała mu wizja zjednoczonej sfederalizowanej Europy, zdolnej przeciwstawić się dwóm mocarstwom i zarazem dwóm systemom materialistycznym: Ameryce i kapitalizmowi oraz Związkowi Sowieckiemu i komunizmowi. Bazą tego nowego podmiotu, a zarazem motorem jego polityki, byłoby pojednanie francusko-niemieckie. Pisarz chwalił średniowiecze jako epokę „Międzynarodówki Chrześcijańskiej" – czasy, w których nie było jeszcze antagonizujących wewnętrznie Europę nacjonalizmów – co znalazło odzwierciedlenie w eseju „Genewa albo Moskwa", którego fragmenty można przeczytać w „Kronosie".

Ostatecznie Drieu la Rochelle opowiedział się za faszyzmem, czemu dał wyraz m.in. przez wstąpienie do Francuskiej Partii Ludowej Jacquesa Doriota, która po zajęciu Francji przez wojska niemieckie w 1940 r. stała się stronnictwem kolaboracyjnym.

W „Kronosie" są zamieszczone fragmenty dziennika, który pisarz prowadził w latach 1939–1945 (polski przekład: Piotr Herbich). Mówią one same za siebie. W 1940 r., cztery dni przed napaścią Niemiec na Francję Drieu la Rochelle notował: „Skończony jest czas ojczyzn. Hitlerowcy to nie patrioci – to adepci Europy, która porzuciła już abstrakcyjne doktryny XIX stulecia, niewystarczające do zastąpienia spontanicznych obyczajów Europy monarchicznej i arystokratycznej. Już po nacjonalizmie i socjalizmie, tak samo jak po liberalizmie i kapitalizmie". Półtora miesiąca później pisarz orzekał: „Nie tylko Francja umiera; umierają wszystkie ojczyzny. Pisałem to: Europa powstaje przeciw ojczyznom i je pożera. Także Niemcy stając się imperium, natychmiast przestaną być ojczyzną z ciała i krwi […]. Nie mając dyktatorów, Francja i Anglia nie potrafiły dać Genewie [mieściła się tam siedziba Ligi Narodów – przyp. F.M.] władzy, której potrzebowała, by zrealizować Europę. Mówiłem i to: Genewę zrealizuje faszyzm. Tylko dwaj lub trzej ludzie wyjątkowej miary mogą wspólnym namysłem wypracować światłe decyzje, których wymaga polityczna i ekonomiczna jedność Europy – od kilku dziesięcioleci nagląca potrzeba. Nie mogli tego dokonać premierzy o mandatach chwilowych i mało znaczących. Demokracja parlamentarna, która nie potrafiła już administrować ojczyznami, nie mogła stworzyć Europy".

Jak wiadomo, Drieu la Rochelle co do roli Hitlera mocno się pomylił. Zresztą przyznał to w swoim dzienniku w 1944 r. Jednocześnie trzeba nadmienić, że pisarz nigdy nie wyzbył się pesymizmu. Popierał faszyzm, bo widział w nim konieczność dziejową, ale zarazem wieszczył schyłek cywilizacji europejskiej. Niezależnie jednak od sprzeczności, w które popadał przez całe swoje życie, klęska III Rzeszy postawiła go jako kolaboranta w bardzo trudnej sytuacji. Niecałe dwa miesiące przed końcem drugiej wojny światowej połykając śmiertelną dawkę luminalu, popełnił samobójstwo.

Poglądy Pierre'a Drieu la Rochelle'a nie były w latach 20, 30. i 40. czymś wyjątkowym (spośród francuskich pisarzy podobne miał choćby Louis-Ferdinand Céline). Po pierwszej wojnie światowej przekonanie o tym, że cywilizację europejską trapi kryzys i trzeba szukać radykalnych rozwiązań (wyjść poza schematy „kapitalizm vs komunizm", „prawica vs lewica"), było powszechne. W jakimś stopniu obecne czasy przypominają tamten okres.

Przede wszystkim jednak pisma Drieu la Rochelle'a warto potraktować jako memento. Skłaniają one do refleksji nad ideą zjednoczonej Europy, która znowu – tak jak 100 lat temu – łączy się z pytaniami o hegemoniczne aspiracje Niemiec (choć oczywiście nie sposób dzisiejszego państwa niemieckiego porównywać do III Rzeszy). Inna rzecz, że za sprawą masowych migracji zróżnicowanie etniczne społeczeństw Starego Kontynentu stało się faktem – ten wątek zresztą proroczo podejmuje pisarz w „Genewie albo Moskwie". Ale to jeszcze nie przesądza o tym, że wykształcił się naród europejski. Jego brak zaś stanowi zasadniczą przeszkodę dla budowy europejskiego scentralizowanego supermocarstwa, które mogłoby być „strategicznie autonomiczne" wobec USA, Rosji i Chin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d

Elon Musk, symulacja życia i totalna władza



Paweł Chmielewski

Jeszcze kilka lat temu Elon Musk przestrzegał przed rozwojem AI, wieszcząc ludzkości katastrofę. Nagle zmienił narrację o 180 stopni. Obecnie wieszczy raj bez pracy i pieniędzy. Jednak nawet w raju ktoś musi przecież rządzić



FOT. BRENDAN SMIALOWSKI/AFP/EAST NEWS

Wielu ekspertów w dziedzinie AI uważa, że niekontrolowany rozwój systemów sztucznej inteligencji może doprowadzić cywilizację na skraj zagłady. Takie tezy prezentują zarówno badacze z Polski, jak i z innych krajów świata, przede wszystkim z wiodących w obszarze rozwoju tych technologii Stanów Zjednoczonych. Scenariusze katastroficzne są różne. W niektórych AI zachowuje się tak jak w „Terminatorze", dążąc do fizycznej zagłady ludzkości przy użyciu broni nuklearnej; w innych, jak w „Matrixie", wykorzystując ludzi jak niewolników. Jeszcze inne prognozy wskazują, że zaawansowane systemy sztucznej inteligencji będą raczej przejmować kontrolę nad systemem finansowym, medialnym i gospodarczym, aż do momentu, w którym ludzie utracą jakikolwiek wpływ na świat, w którym żyją.

CZY ŻYJESZ W SYMULACJI?

Kilka lat temu przed katastrofą związaną z AI przestrzegał również Elon Musk, obecnie najbogatszy człowiek świata, kierujący wieloma firmami wykorzystującymi i rozwijającymi sztuczną inteligencję. W marcu 2023 r. wraz z tysiącem ekspertów podpisał apel o wprowadzenie półrocznego moratorium na badania nad AI. Jak twierdził nieco później, istnieje konkretne ryzyko realizacji scenariusza znanego z „Terminatora"; ewentualnie systemy AI mogłyby w przyszłości „umieścić ludzkość pod ścisłym nadzorem".

Dziś Musk zupełnie inaczej rozkłada akcenty. Wprawdzie przyznaje, że rozwój AI może być groźny, ale wskazuje raczej na potencjalne gigantyczne dobrodziejstwa, które miałyby z tego wypływać. Co takiego się wydarzyło?

W 2003 r. szwedzki filozof Nick Bostrom opublikował dziwaczny artykuł dotyczący natury naszej rzeczywistości, zatytułowany pytaniem: „Czy żyjesz w symulacji komputerowej?". Argumentował, że z dużym prawdopodobieństwem nasza rzeczywistość… nie jest prawdziwa. Wszystko, co obserwujemy, miałoby być wyłącznie symulacją komputerową. Szwed wskazywał na szybkość rozwoju technologicznego. Zakładając, że ten rozwój będzie nadal postępować, należy jego zdaniem przyjąć możliwość stworzenia tak zaawansowanych symulacji świata, że będą nieodróżnialne od świata faktycznego. Właśnie w jednej z takich symulacji mielibyśmy żyć.

Elon Musk zapoznał się z koncepcją Bostroma. Wprost się do niego odwołując, w 2016 r. publicznie ogłosił, że jego zdaniem niemal na 100 proc. żyjemy właśnie w symulacji. Szansa na to, że nasz świat jest prawdziwy, miałaby wynosić tylko „jeden na miliard". Nieco później przyznał, że rozmawia i myśli o tym tak często, że wraz ze swoim bratem podjął decyzję o wprowadzeniu zakazu rozmów na temat rzeczywistości jako symulacji, kiedy kąpią się razem w jacuzzi, żeby nie psuć sobie tej miłej rozrywki tak trudnymi refleksjami.

W tym samym 2016 r. „The New Yorker" opublikował obszerny artykuł poświęcony postaci Sama Altmana, dziś

eprasa.pl c21ff32d6d

znanego powszechnie dyrektora generalnego firmy OpenAI. Autor tekstu ujawnił na marginesie, że koncepcja rzeczywistości jako symulacji jest w Dolinie Krzemowej niezwykle popularna, a niektórzy traktują ją zgoła „obsesyjnie". Według artykułu dwóch miliarderów miało zainwestować duże pieniądze w badania dotyczące… sposobu ucieczki z symulacji, w której mielibyśmy się znajdować.

Czy jednym z nich był właśnie Elon Musk? Szczegóły badań wzmiankowanych przez „The New Yorker" nie są znane, ale nieco światła rzuca na to znany informatyk zajmujący się cyberbezpieczeństwem, Roman Yampolskiy. Uczony pracuje na Uniwersytecie w Louisville w stanie Kentucky w USA; jest powszechnie ceniony dzięki swoim pracom dotyczącym zabezpieczenia systemów AI. W marcu 2023 r. – czyli dokładnie w momencie największego wzrostu obaw przed rozwojem AI u Muska – Yampolskiy ogłosił na łamach czasopisma „Seeds of Science" artykuł pt. „Jak uciec z symulacji". Postawił tezę, że najprawdopodobniej żyjemy w cyfrowej symulacji, bo rozwój AI miałby tylko potwierdzać przekonanie Nicka Bostroma o możliwościach symulacyjnych nowoczesnych systemów technologicznych. W obszernym tekście starał się pokazać rozmaite możliwe sposoby ucieczki z tej symulacji – trochę tak, jakby zupełnie na poważnie potraktować wspomniany film „Matrix".

Uwagę zwraca jedna bardzo szczególna droga ucieczki proponowana przez Yampolskiyego. Otóż autor sądzi, że wyrwać się z cyfrowego świata może nam pomóc właśnie AI. Yampolskiy uważa, że jeżeli uda się stworzyć tzw. AGI, czyli superpotężną Ogólną Sztuczną Inteligencję, to będzie można umieścić ją stworzonej przez nas symulacji… i obserwować, w jaki sposób ucieka. Następnie ludzie powinni skopiować ten sposób – by uciec z tej symulacji, w której rzekomo sami jesteśmy – albo też przyłączyć się do AGI i uciec razem z nią. Nie wiem, czy Elon Musk czytał artykuł Yampolskiy'ego, ale biorąc pod uwagę jego zainteresowanie koncepcją symulacji oraz wysoką pozycję tego autora w świecie AI – najprawdopodobniej tak. W końcu od 2016 r. Musk konsekwentnie głosi, że prawdopodobnie żyjemy w symulacji; ostatni raz zrobił to jeszcze latem 2026 r.

Sytuacja jest zatem następująca. Najbogatszy człowiek świata sądzi, że rzeczywistość, która nas otacza, jest prawdopodobnie cyfrową fikcją. Być może chce z niej uciec – a za drogę do tej ucieczki może uważać taki rozwój AI, przed którym jeszcze do niedawna uciekał. Wiem, że dla czytelnika brzmi to najpewniej jak absurd. Ale co zrobić, kiedy ten absurd poważnie traktują tak wpływowi ludzie jak Musk?

To ma przecież oczywiste konsekwencje społeczne i polityczne. Jeżeli przyjmie się tezę o nieprawdziwości świata, to czy można go w ogóle poważnie traktować? W konsekwencji, czy można poważnie traktować… ludzi? Właściciel Tesli i SpaceX kilkukrotnie sugerował, że w jego ocenie ludzkość jest tylko „biologicznym programem rozruchowym", który ma umożliwić powstanie cyfrowej superinteligencji; z tym wiąże się program kolonizacji Marsa – chodzi o umieszczenie „inteligencji" poza Ziemią. W tej sytuacji trudno mówić o jakiejś wyjątkowej ludzkiej godności, a bez tej godności nie da się uzasadnić również wolności. Innymi słowy, symulacjonizm w połączeniu z wiarą w dziejową konieczność rozwoju AI może prowadzić do filozofii skrajnie przedmiotowego traktowania ludzkości.

CYFROWY TOTALITARYZM

Pod koniec lipca 2026 r. Elon Musk udzielił wywiadu magazynowi „The Economist". Przekonywał, że choć w przeszłości był sceptyczny co do AI, to teraz stara się patrzeć na pozytywną stronę tego zjawiska, bo jego rozwoju… i tak nie da się już zatrzymać. Istnieje szansa, że AI zniszczy ludzkość, ale większe jest prawdopodobieństwo, że rozwój sztucznej superinteligencji doprowadzi do epoki wielkiej obfitości. To właśnie kluczowy punkt, bo tę epokę Musk scharakteryzował bardzo specyficznie. Otóż, jego zdaniem, w niedalekiej przyszłości nie będzie już w ogóle pracy. Trochę jak u Karola Marksa, dzięki rozwojowi materialnemu praca przestanie być koniecznością. Absolutna większość ludzi nie będzie pracować, a w związku z tym nie będzie też zarabiać. Musk uważa, że dojdzie jednak do wielkiej deflacji, a zresztą pieniądze też nie będą potrzebne. To rządy krajowe mają gwarantować każdemu „wysoki dochód gwarantowany", przydzielając czeki. Każdy będzie miał to, co mu potrzebne. Co istotne, podobne tezy głosi obok Muska wielu innych miliarderów, w tym Sam Altman czy Bill Gates.

Kto w tej wizji ma jednak kontrolować sam rdzeń systemu, to znaczy: niesamowicie rozbudowaną maszynerię napędzaną AI? Przecież to ona miałaby odpowiadać za produkcję i organizację życia, a zatem jej kontroler będzie równocześnie kontrolerem całej rzeczywistości społecznej. Jeżeli wykluczymy scenariusz, w którym to sama AI przejmuje tę władzę, to musimy wskazać na… technologicznych multimiliarderów. Właściwym dystrybutorem dobrobytu w świecie „raju bez pracy i pieniędzy" byliby ci, którzy jako jedyni posiadają niemal nieograniczone zasoby technologiczne i finansowe. Odmalowywana przez nich utopia nie oznacza przecież społeczeństwa pełnej równości: równość ma dotyczyć tylko tych, którzy nic nie mają; ale nad nimi musi znajdować się struktura zarządzająca dystrybucją.

Zwykli ludzie, pozbawieni na skutek braku pracy i własnych środków jakiejkolwiek roli politycznej, zostaliby w konsekwencji zredukowani do poziomu niższego niż niewolnicy – ostatecznie nawet niewolnicy byli w ręku swoich panów jakimś zasobem, a więc posiadali określoną wartość. Gdzie szukać wartości „biologicznego tłumu ludzkiego", który jest wyłącznie odbiorcą gratisowych donacji od rządu, utrzymywanego przez grupę technologicznych gigantów? Elon Musk chyba otwarcie mówi o wielu swoich obawach, koncepcjach i planach; to jego niewątpliwa zaleta. Jak chcą wykorzystać AI inni cyfrowi giganci? Co chcą dzięki niej osiągnąć chińscy komuniści, przecież niemal na równi z Amerykanami uczestniczący w wyścigu do stworzenia superinteligentnej AGI?

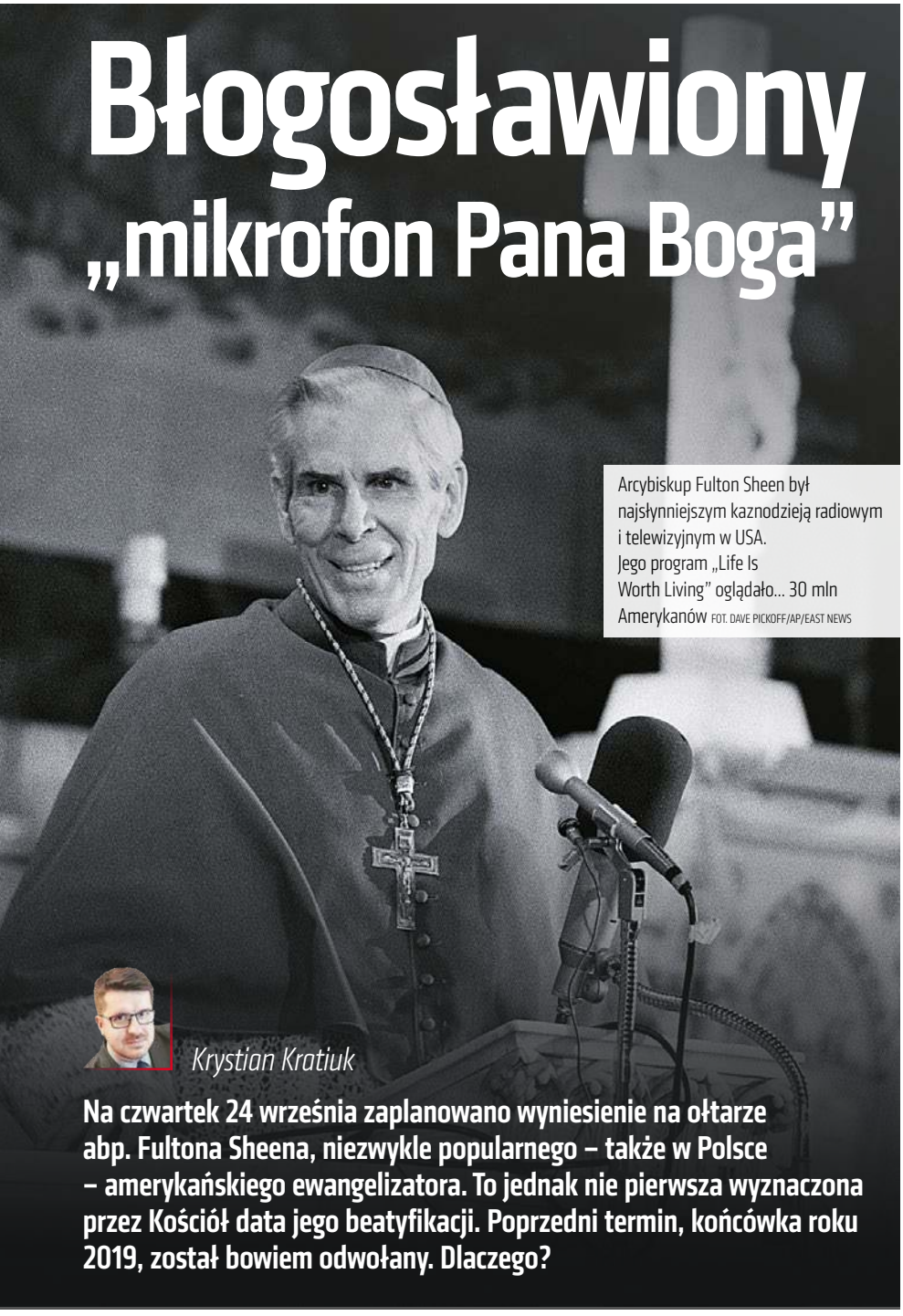
Na horyzoncie rysuje się poważne zagrożenie: objęcie społeczności ludzkich ścisłą kontrolą pod hasłem zagwarantowania każdemu „raju na ziemi". Nie ma znaczenia, czy „gwaranci" będą motywowani pragnieniem ucieczki z rzekomej symulacji rzeczywistości, czy też po prostu dążeniem do władzy. W każdym przypadku stawką jest wolność – i to wolność na najbardziej fundamentalnym poziomie. O tym problemie nie dyskutujemy prawie w ogóle. Tymczasem rosnąca koncentracja władzy w rękach gigantów AI powinna sprawić, że problem ochrony wolności przed cyfrowym totalitaryzmem stanie się głównym tematem publicznego dyskursu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest publicystą portalu PCh24.pl.

eprasa.pl c21ff32d6d

Błogosławiony „mikrofon Pana Boga”



Arcybiskup Fulton Sheen był najsłynniejszym kaznodzieją radiowym i telewizyjnym w USA. Jego program „Life Is Worth Living” oglądało... 30 mln Amerykanów FOT. DAVE PICKOFF/AP/EAST NEWS

Krystian Kratiuk

Na czwartek 24 września zaplanowano wyniesienie na ołtarze abp. Fultona Sheena, niezwykle popularnego – także w Polsce – amerykańskiego ewangelizatora. To jednak nie pierwsza wyznaczona przez Kościół data jego beatyfikacji. Poprzedni termin, końcówka roku 2019, został bowiem odwołany. Dlaczego?

Gdy w listopadzie 2019 r. ogłoszono, że Fulton Sheen zostanie beatyfikowany w ciągu kilku tygodni w rodzinnej Peorii, wydawało się, że po latach starań wszystko jest już rozstrzygnięte. Watykan zatwierdził cud niezbędny do ogłoszenia arcybiskupa błogosławionym, termin uroczystości podano publicznie. Jednak w ostatniej chwili nastąpił zwrot. Salvatore Matano, biskup diecezji Rochester, zwrócił się do nuncjusza z prośbą o odłożenie beatyfikacji, powołując się na konieczność ponownego zbadania decyzji Sheena wobec księży dopuszczających się nadużyć seksualnych wobec dzieci. Kilkanaście dni później Watykan odwołał beatyfikację.

Papieżem był wówczas Franciszek, niełączony w żaden sposób z linią duszpasterską odbieranego dziś jako konserwatysta Sheena, dlatego bezprecedensowa decyzja o odwołaniu beatyfikacji wywołała ogromne emocje. Sprawy dotyczące nadużyć seksualnych są bowiem bardzo poważne, a przyklejenie tego typu zarzutu do nieżyjącego od 40 lat kandydata na ołtarze wielu wydało się wręcz niegodne. Pytanie dotyczyło bowiem tego, czy jako biskup diecezji Rochester abp Sheen właściwie reagował na przypadki nadużyć. Diecezja Peoria odpowiadała, że wszelka dokumentacja została przecież już wcześniej przebadana i nie wykazała żadnej jego winy.

Niektóre amerykańskie media sugerowały, że za decyzją Watykanu stać mieli kardynałowie Timothy Dolan i bliski Franciszkowi Blase Cupich. Tym samym zaczęły się gorszące plotki, jakoby wcale nie chodziło o ostrożność proceduralną, ale o niedzisiejszy konserwatyzm Sheena, choć nigdy nie przedstawiono dowodu, że motywacją były różnice ideowe między wspomnianymi kardynałami a nieżyjącym arcybiskupem. Biskup diecezji Rochester – w której zresztą za swego urzędowania Sheen nie był szczególnie lubiany – twierdził jednak, że wniósł swój sprzeciw wyłącznie w trosce o rzetelne rozstrzygnięcie wszelkich spekulacji.

Przez resztę pontyfikatu Franciszka (ponad cztery i pół roku) beatyfikacja pozostawała jednak odłożona. Dopiero po objęciu Stolicy Piotrowej przez rodaka abp. Sheena Roberta Prevosta – Leona XIV – spór rozstrzygnięto i w roku 2026 Watykan odblokował beatyfikację.

NIELUBIANY...

Bez względu na motywacje, które rzeczywiście kierowały osobami wstrzymującymi beatyfikację, samego abp. Sheena w żaden sposób nie zdziwiłoby, gdyby chodziło o wewnątrzkościelne gierki. Jako kapłan przeżył bowiem w Kościele duże upokorzenia, np. gdy jego ówczesny przełożony, kard. Francis Spellman, wszedł z nim w ostry konflikt o pieniądze przeznaczone na misje. Sheen, z olbrzymimi finansowymi sukcesami kierujący Towarzystwem Krzewienia Wiary, nie chciał dopuścić, by środki zbierane na działalność misyjną były wykorzystywane do innych celów, na co naciskał kardynał. Sprawa dotarła aż do Piusa XII, który

eprasa.pl c21ff32d6d

opowiedział się po stronie Sheena. Dla potężnego ordynariusza Nowego Jorku była to dotkliwa porażka.

Kardynał Spellman miał zapowiedzieć Sheenowi, że jeszcze się z nim „rozliczy". Od tego momentu jego pozycja w Nowym Jorku zaczęła słabnąć, a biografowie wiążą ten konflikt z późniejszym odsunięciem go od wpływów i przeniesieniem do diecezji Rochester.

A i w tej diecezji nie był słuchany przez współpracowników, gdyż część duchowieństwa i wiernych z rezerwą przyjęła jego energiczny styl oraz społeczne zaangażowanie. Szczególne kontrowersje wywoływały jego decyzje dotyczące pomocy ubogim i krytyka wojny w Wietnamie.

Arcybiskup miał gorzko skomentować to w rozmowie z jednym z księży słowami: „Cały kraj przychodzi słuchać Fultona Sheena – z wyjątkiem jego własnej diecezji".

... CHOĆ UWIELBIANY

I tak w istocie było – można bowiem powiedzieć, że abp. Fultona Sheena w pewnym momencie rzeczywiście słuchał cały kraj. Był bowiem najsłynniejszym amerykańskim kaznodzieją radiowym i telewizyjnym. Jego program „Life Is Worth Living", nadawany od początku lat 50., gromadził przed telewizorami nawet... 30 mln Amerykanów, i to nie tylko katolików. Sheen stawał przed kamerą niemal bez dekoracji, w biskupiej sutannie, z kredą w ręku i czarną tablicą za plecami. Mówił o Bogu, grzechu, cierpieniu i śmierci, ewangelizując językiem prostym, pełnym humoru i błyskotliwych porównań.

Jego popularność była prawdziwym fenomenem. Oto katolicki duchowny konkurował o widza w protestanckich Stanach Zjednoczonych z największymi gwiazdami telewizji. Co więcej, otrzymał za swój program nagrodę Emmy! Nie próbował przy tym łagodzić katolickiego nauczania, by przypodobać się publiczności. Przeciwnie, mówił otwarcie o grzechu, piekle, odpowiedzialności moralnej i konieczności nawrócenia.

Telewizja była jednak tylko częścią jego działalności. Sheen pozostawił po sobie dziesiątki książek, prowadził audycje radiowe, rekolekcje i wykłady, a jego dzieło „Życie Jezusa Chrystusa" do dziś należy do najczęściej wznawianych katolickich książek XX w.

Postulator procesu beatyfikacyjnego zapytany, dlaczego rozpoczęto starania o wyniesienie Sheena na ołtarze, wskazywał przede wszystkim na świadectwo życia duchowego. Jego zdaniem trudno wyjaśnić siłę, z jaką Sheen oddziaływał na masy i indywidualnych ludzi, jeśli nie przyjąć, że za słowami arcybiskupa stała autentyczna, głęboka więź z Bogiem. To właśnie osobista świętość miała sprawiać, że jego nauczanie trafiało do ludzi bardzo różnych środowisk i pokoleń. I to dlatego nazywano go „mikrofonem Pana Boga". Drugim argumentem była nieustająca aktualność samego przesłania Sheena: przekonanie, że jego refleksja o sensie życia, wierze, cierpieniu, odpowiedzialności i ludzkim przeznaczeniu pozostaje potrzebna także współczesnemu Kościołowi i światu.

KOMUNIZM I POLSKA

Arcybiskup Sheen – mimo krytykowania decyzji o wojnie w Wietnamie – był również jednym z najzagorzalszych katolickich krytyków komunizmu. Nie traktował go jednak wyłącznie jako systemu politycznego czy ekonomicznego, lecz przede wszystkim jako konsekwencję odrzucenia Boga i chrześcijańskiej wizji człowieka. Zauważał, że komunizm zdobywa wpływy tylko tam, gdzie Zachód sam wcześniej osłabił własne fundamenty, redukując człowieka do istoty wyłącznie materialnej, czyniąc dobrobyt najwyższym celem życia i tracąc przekonanie o obiektywnym porządku moralnym. Dlatego ostrzegał nie tylko przed sowieckim totalitaryzmem, lecz także przed duchową słabością Zachodu, która przygotowywała grunt pod niebezpieczne ideologie.

Najpełniej przedstawił te poglądy w wydanej w 1948 r. książce „Communism and the Conscience of the West" („Komunizm i sumienie Zachodu"). Pisał w niej, że za sukcesy komunizmu częściowo odpowiada sam Zachód, ponieważ wcześniej porzucił chrześcijańskie rozumienie osoby ludzkiej i jej nadprzyrodzonego przeznaczenia. Antykomunizm nie był zatem dla niego jedynie elementem zimnowojennej polityki, ale częścią szerszej walki o duszę człowieka i o odzyskanie przez Zachód własnej, chrześcijańskiej tożsamości.

Co ciekawe, w kontekście jego zainteresowania polityką międzynarodową i ideologiami, w swej publicystyce znalazł też miejsce dla Polski, którą postrzegał jako jeden z głównych punktów starcia między chrześcijaństwem a totalitaryzmami XX w. Jeszcze przed wybuchem drugiej wojny światowej przewidywał, że nazizm i komunizm, choć wrogie sobie, mogą zjednoczyć się przeciw Polsce.

A już w czasie wojny wielokrotnie ostrzegał, że los naszego kraju będzie sprawdzianem moralnym dla całego Zachodu. Pisał o Polsce jako o kraju „ukrzyżowanym między nazizmem i komunizmem" i uważał, że sposób, w jaki mocarstwa potraktują Polaków po wojnie, pokaże, czy powojenny ład będzie oparty na sprawiedliwości czy na przemocy i politycznym cynizmie.

40 TYS. NAWRÓCONYCH

Pod koniec życia abp. Sheen został szczególnie uhonorowany przez Jana Pawła II. Podczas spotkania w Nowym Jorku papież podziękował mu za dziesięciolecia ewangelizacyjnej służby, mówiąc: „Pisałeś i mówiłeś dobrze o Chrystusie. Jesteś wiernym synem Kościoła". Było to symboliczne podsumowanie życia schorowanego już wówczas człowieka, który bywał również ofiarą zawiści i małości niektórych ludzi Kościoła. Nigdy publicznie do tego nie nawiązał, nigdy się na to nie żalił. W swej obszernej autobiografii napisał na ten temat dosłownie kilka zdań, wspominając jedynie – bez żadnych szczegółów – że nawet wewnątrz Kościoła wystawiano go na próbę.

W dokumentacji procesu beatyfikacyjnego zapisano podobno, że programy, kazania i książki abp. Sheena przyprowadziły do Kościoła katolickiego ponad 40 tys. Amerykanów. On sam nigdy nie chciał podawać liczby osób, które dzięki niemu przeszły na katolicyzm. Gdy go o to pytano, odpowiadał, że nie liczy nawróconych, aby nie ulec pokusie przypisywania sobie zasługi, która należała do Chrystusa. Chrystusa, którego od dnia święceń kapłańskich każdego dnia swego życia adorował w Najświętszym Sakramencie co najmniej przez godzinę.

Pozostał wierny tej praktyce przez 60 lat kapłaństwa. Jego ziemskie życie zakończyło się 9 grudnia 1979 r. Znaleziono go zmarłego w jego prywatnej kaplicy.

Przed Najświętszym Sakramentem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl c21ff32d6d



Marek Klecel

Długi cień Katynia



Doktor Helge Tramsen (pierwszy z lewej na drugim planie) z innymi lekarzami, badający ofiary zbrodni katyńskiej, 1943 r. FOT. IWM

O tym, że Helge Tramsen był duńskim lekarzem, który w komisji 12 specjalistów z całej Europy został wysłany przez Niemców do Katynia po odkryciu grobów polskich oficerów w 1943 r., Romuald Twardowski dowiedział się zapewne później. Niemiecka komisja lekarska po przeprowadzeniu ekshumacji miała ostatecznie stwierdzić, kto jest sprawcą zbrodni katyńskiej

Młody i świetnie zapowiadający się kompozytor Romuald Twardowski przybył w końcu 1957 r. z Wilna do Warszawy. Przeżył z rodziną wojnę na Litwie, dwie okupacje sowieckie, jedną niemiecką i litewską, a następnie 12 lat powojennych w sowieckim już Wilnie. Dzięki polskiemu środowisku, które pozostało w stolicy republiki litewskiej, odebrał początki nauczania muzycznego, gry na fortepianie i organach. Jeszcze przed maturą ukończył konserwatorium i zaczął komponować, odnosząc pierwsze sukcesy. Wcześniej grywał na organach w wielu kościołach, które pozostały jeszcze katolickie. Gdy zaczęto je kolejno likwidować, poza grą tylko w jednym organizował chóry i spotkania muzyczne. W Wilnie usuwano ślady polskości, zamykano zakony, zabierano także cmentarze. Cmentarz bernardyński, jak wspominał, ocalał tylko dlatego, że znajdował się tam grób matki Dzierżyńskiego z krzyżem i nagrobkiem z napisem: „Najlepszej z matek".

Dopiero po 1956 r. i długich zabiegach, które nazywano myląco repatriacją, pozwolono rodzinie Twardowskiego na opuszczenie Litwy i przyjazd do Polski. Zamieszkał najpierw z matką w Częstochowie i na Śląsku, a studia muzyczne rozpoczął w Warszawie od razu na trzecim roku. Szybko dał się poznać jako zdolny kompozytor. Na studiach u prof. Bolesława Woytowicza poznawał nowsze tendencje kompozycyjne, w późniejszej twórczości łączył nowatorskie środki wyrazu z tradycją muzyczną, również staropolską. Był kompozytorem wszechstronnym, obok utworów instrumentalnych pisał muzykę chóralną, operową i baletową, dramaty muzyczne oparte na utworach literackich. Zaczął zdobywać uznanie i liczne nagrody na konkursach krajowych i zagranicznych. Po nagrodzie za „Antyfony" w 1961 r. uzyskał stypendium rządu francuskiego na wyjazd i studia do Francji. Rozpoczął je u słynnej Nadii Boulanger w 1963 r. W ciągu kilku miesięcy poznał Paryż i polskie środowisko. Na letnich kursach w Fontainebleau, które kompozytorka prowadziła dla muzyków z różnych krajów, poznał też swą przyszłą narzeczoną, duńską pianistkę Elizabeth Tramsen.

Po powrocie do kraju kontynuuje pracę i odnosi wiele sukcesów. W 1965 r. zdobywa główną nagrodę w konkursie kompozytorskim w Monako za muzykę do baletu „Posągi czarnoksiężnika" (ponownie zdobędzie tę nagrodę w 1973 r. za operę „Lord Jim" według powieści Conrada). Pokaźna jak na warunki krajowe nagroda pozwala mu usamodzielnić się i kupić mieszkanie w Warszawie, a także odbywać regularne podróże na

eprasa.pl c21ff32d6d



Zachód. W następnych latach objeżdża wspólnie z Elizabeth całą Europę, zahaczając o Afrykę i Egipt, który go bardzo interesował. Zamierzają się pobrać, Twardowski poznaje w Kopenhadze jej rodziców. Jesienią 1970 r. przyjeżdża ona do Warszawy, żeby podjąć ostateczną decyzję życia za żelazną kurtyną. Wynajmuje pokój u rodziny wojskowych na Saskiej Kępie. Umawiają się na kolejne spotkania. Któregoś dnia Elizabeth nie odpowiada na telefony. Twardowski dzwoni do właścicielki mieszkania z pytaniem, czy wie coś o jego narzeczonej. Po chwili milczenia gospodyni mówi: „Proszę pana, ona nie żyje!”.

Oficjalnie podano, że był to nieszczęśliwy wypadek. Elżbieta miała zatruć się gazem ulatniającym się z nieszczelnego piecyka. Dla Twardowskiego, podobnie jak dla duńskiej rodziny, był to wielki wstrząs. Zwłaszcza dla jej ojca, Helge Tramsena, który był przeciwny wyjazdowi córki do Polski. Miał ku temu swoje powody. On jeden nie uwierzył w podawane przez polskie władze przyczyny jej zgonu.

ŚWIADEK LUDOBÓJSTWA

Zapewne Romuald Twardowski nie wiedział wtedy bliżej, kim był ojciec Elizabeth. Z rozmów, które prowadził z narzeczoną podczas długich podróży po Europie, dowiedział się zapewne tyle, że był emerytowanym lekarzem. O tym, co robił podczas wojny, sam niewiele mówił, więc młodzi, zajęci sobą narzeczeni nad tym się nie zastanawiali. O tym, że Helge Tramsen był duńskim lekarzem, który w komisji 12 specjalistów z całej Europy został wysłany przez Niemców do Katynia po odkryciu grobów polskich oficerów w 1943 r., Romuald Twardowski dowiedział się zapewne później. Niemiecka komisja lekarska po przeprowadzeniu ekshumacji miała ostatecznie stwierdzić, kto jest sprawcą zbrodni katyńskiej. Po wydobyciu ciał z masowych grobów, sprawdzeniu ich stanu, opisaniu ubrań i przedmiotów znalezionych przy pomordowanych, dokumentów, gazet, notatek i listów, w końcu po przeprowadzeniu wyrywkowych sekcji zwłok jednomyślnie stwierdzono, że sprawcami ludobójstwa byli Sowieci. Wspólny protokół tej treści podpisało wszystkich 12 lekarzy. Helge Tramsen zrobił jeszcze coś, co było początkiem długiej i trudnej historii. Wracając, zabrał ze sobą głowę jednego z zabitych oficerów. Zapewne jako patomorfolog odciął ją od tułowia i przewiózł najpierw do Niemiec, później do Danii, nie tyle może jako dowód zbrodni, ale jako pokazowy eksponat naukowy. Był z tym kłopot w drodze powrotnej, bo musiał odpowiednio głowę zabezpieczyć, a później ją spreparować i jako oczyszczoną czaszkę przekazać do zbiorów Instytutu Medycyny Sądowej, w którym pracował. Była to zapewne jedyna w tych zbiorach czaszka przestrzelona na wylot.

Dlaczego jednak Helge Tramsen miałby po wojnie powody, by o tym nie rozpowiadać, by o tym milczeć, by nie mówić o tym nawet swej rodzinie? Miał przecież jeszcze jeden dodatkowy tytuł, jeśli nie do sławy, to przynajmniej do szacunku i poważania. Helge Tramsen należał w czasie wojny do duńskiego ruchu oporu, który wykonywał szpiegowskie zadania dla aliantów. Do Katynia nie pojechał dobrowolnie, było to polecenie zwierzchnictwa jego Instytutu, a ponadto za radą, po konsultacjach z kolegami z konspiracji, którzy podejrzewali, że to wszystko niemiecka propagandowa prowokacja, oskarżająca Sowietów. Tramsen miał to sprawdzić. Razem z głową polskiego oficera miał także przewozić tajne materiały

eprasa.pl c21ff32d6d

zdobyte w Niemczech o strategicznych obiektach wojskowych. Miały być potem wykorzystane przy alianckich bombardowaniach Niemiec. Głowa polskiego oficera mogła być dobrym alibi w razie kontroli granicznych.

Rok później, w połowie 1944 r., Helge Tramsen, świadek z Katynia, został aresztowany przez gestapo. Po nieudanej akcji duńskiego ruchu oporu odbicia magazynu materiałów wybuchowych, które miały posłużyć do zaminowania Kopenhagi, wpadła cała organizacja. Tramsen nie brał w akcji udziału, ale po brutalnych śledztwach rozpracowano całą podziemną siatkę i natrafiono także na niego. Był bity i torturowany w śledztwie przez duńskiego kata Birkedala Hansena. Postraszono jego żonę i rodzinę. Zagrożono mu śmiercią i urządzono pozorowane rozstrzelanie w piwnicach więzienia. Nie wiadomo, czy Niemcy nie wiedzieli o jego misji w Katyniu, może nie dotarło to do ich duńskich wykonawców i kolaborantów. Dopiero po paru miesiącach i interwencjach siostry Tramsena, Karen, ustalono, że jej brat był świadkiem

W 1945 r. na Wschodzie zapanowała sowiecka prawda o Katyniu, czyli kłamstwo obowiązujące w całym obozie

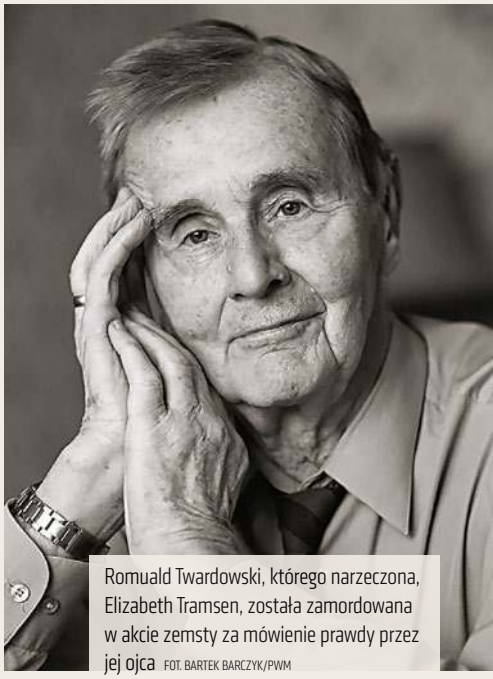
z Katynia. Była już jesień 1944 r. i Niemcy zdawali sobie sprawę z malejących szans na zwycięstwo. W bezsensownej w tych warunkach sprawie Tramsena nieco ustąpili, ale wpadli jeszcze na jeden perfidny pomysł. Zaproponowali mu zwolnienie pod warunkiem objęcia stanowiska chirurga wojskowego na froncie wschodnim. Tramsen wiedział, co to oznacza. Niedawno dostał wiadomość o śmierci dr. Buhtza na tymże froncie, który był szefem niemieckiej komisji w Katyniu. Helge odmówił i został wysłany łaskawie nie do obozu w Niemczech, lecz do duńskiego obozu Freslev, gdzie przebywał prawie do końca wojny. Według świadectwa rodziny wrócił jako człowiek złamany i zniszczony. Spotykał się do tego z podejrzliwością otoczenia, nie przyjęto go do poprzedniej pracy w Instytucie, którego dyrektor Sand wysyłał go poprzednio do Katynia, wiedział zatem o ustaleniach komisji. Tramsen jednak stał się widocznie znów człowiekiem niewygodnym.

NOWA WERSJA PRAWDY

Wiedział już, że kapitulacja Niemiec, na której przecież mu zależało, nie będzie jego osobistym zwycięstwem. Wiedział, jaki obrót przyjmą sprawy po 1945 r. i co będzie wtedy oznaczała sprawa Katynia. Zwycięstwo Sowietów zadecydowało, że zwycięży także ich wersja wydarzeń i umocni ona kłamstwo katyńskie jako prawdę; tym gorzej dla niemieckiej prawdy o Katyniu, gdyż jest to prawda zbrodniarzy i dlatego nie może się obronić i utrzymać. Helge Tramsen nie mógł powtarzać tego, co widział w Katyniu. Wycofał się i zapadł w milczenie.

Powiały nowe wiatry. Na Wschodzie zapanowała sowiecka prawda o Katyniu, czyli kłamstwo obowiązujące w całym obozie. Na Zachodzie pozostała jeszcze jakiś czas polityka wojenna, nie dementowano kłamstw niedawnych aliantów na korzyść przegranych Niemców, więc sprawę Katynia stłumiono, wyciszono, karząc nawet za raporty o Katyniu, działając w ten sposób na rzecz Sowietów. Legendarny polski „kurier z Katynia" Józef Czapski, który poszukiwał po całej Rosji polskich oficerów – jak mu mówiono, prawdopodobnie zbiegłych do Mandżurii – był oburzony wiadomościami o amerykańskich oficerach, jeńcach sowieckich, którzy byli karani za składanie raportów o zbrodni w Katyniu. Później opisywał, jak jeszcze w latach 70. władze angielskie wyciszały sprawę Katynia, nie pozwalając nawet postawić pamiątkowego pomnika w Londynie.

Sowieci nie próżnowali, zadbali o swoją prawdę. Wcześniej jeszcze, w czasie wojny, zorganizowali w Katyniu konkurencyjne ekshumacje. Tak zwana komisja Burdenki fałszowała dowody w 1944 r. i propagandowo zapewniała, że sprawcami byli Niemcy w 1941 r. Po wojnie pracowicie i skutecznie „odkręcano" wersję niemiecką. W obozie sowieckim obowiązująca była pod różnymi rygorami wersja Burdenki, na Zachodzie też została milcząco przyjęta – czy to przez zaniechanie, czy asekurację; w przeciwnym razie musiano by przyjąć za prawdziwą wersję nazistowskich Niemiec. Sprawa Katynia znalazła się w mentalnej i moralnej próżni.



Romuald Twardowski, którego narzeczona, Elizabeth Tramsen, została zamordowana w akcie zemsty za mówienie prawdy przez jej ojca FOT. BARTEK BARCZYK/PWM

DŁUGIE RĘCE MOSKWY

W niemieckiej komisji z 1943 r., w której brał udział Tramsen, było kilku lekarzy, którzy znaleźli się teraz w „strefie sowieckiej". Bułgar Markow i Czech Hajek, poddani niewątpliwie zewnętrznym naciskom (Markow miał najpierw wyrok śmierci za kolaborację z Niemcami, Hajek potwierdził jako lekarz sądowy rzekomą śmierć samobójczą Jana Masaryka w 1948 r.), odwołali swe zeznania, tłumacząc, że ulegli naciskom niemieckim. Rumun Birkle oparł się na wersji niemieckiej i potwierdził ją, ale wkrótce potem zginął w wypadku samochodowym. Włoski lekarz Palmieri był szykanowany przez rodzimą partię komunistyczną, która miała duże wpływy we Włoszech. Chorwat Miloslavić uciekł wcześniej do USA, podobnie jak Słowak Subik, którego nakłaniano do odwołania zeznań. Fiński lekarz Saxen zmarł nagle w wieku 52 lat na zawał serca podczas konferencji naukowej w Zurychu w 1952 r. Było to krótko przed rozpoczęciem prac specjalnej komisji amerykańskiej do sprawy Katynia. Nie trzeba przypominać, że polscy pisarze, którzy brali udział w innej komisji katyńskiej, Józef Mackiewicz, Ferdynand Goetel i Jan Emil Skiwski, szybko opuścili kraj po zakończeniu wojny. Nic dziwnego, że Helge Tramsen przez ten czas milczał.

eprasa.pl c21ff32d6d

Dopiero na początku lat 50. powołano amerykańską komisję senatora Maddena, która miała stwierdzić prawdę o Katyniu po wcześniejszych zaniechaniach i fałszerstwach. Odbywała się w Ameryce i Europie, gdzie powołano na świadków także lekarzy z komisji niemieckiej z 1943 r. Zdecydował się wystąpić na niej i złożyć zeznania także Helge Tramsen. Razem ze Szwajcarem Naville'em i Węgrem Orsosem potwierdzili we Frankfurcie swój podpisany jednogłośnie w Katyniu protokół i zdementowali późniejsze zeznania Markowa i Hajka. Dziesięć lat później Tramsen opowiedział o tym w wywiadzie dla Radia Wolna Europa. Na Zachodzie sprawa Katynia została wyjaśniona, ale później, w czasie zimnej wojny, nie miała żadnego finału, żadnych skutków poza zgromadzonymi dowodami i dokumentami.

CZASZKI Z KATYNIA

Tramsen nie wspomniał przed komisją we Frankfurcie o posiadaniu pewnego dowodu zbrodni, który przywiózł z Katynia, pewnie dlatego, że nie miało to znaczenia dla ustalenia sprawców. Była to spreparowana czaszka polskiego oficera, którego tożsamość poznał z dokumentów, jakie przy nim odnalazł, ale później nazwisko usunął z opisu czaszki, zachowując je w innych dokumentach. Przekazał czaszkę do zbiorów Instytutu Medycyny Sądowej w Kopenhadze. Dopiero po ponad 60 latach natrafiła na nią duńska dziennikarka Anna Jessen. Zaintrygował ją widok przestrzelonej na wylot czaszki, niewątpliwy dowód egzekucji. Rozpoczęła własne śledztwo, dotarła do rodziny Tramsenów, opisała historię Helge Tramsena, zrobiła filmy i programy radiowe o sprawie Katynia i jej długotrwałych konsekwencjach. Z pomocą polskich dziennikarek, Anny Dudzińskiej i Anny Sekudewicz, dochodziła tożsamości polskiego oficera. Był to Ludwik Szymański, również lekarz, pochodzący z Krakowa, w Katyniu oficer rezerwy. Przy okazji odnaleziono jeszcze siedem innych czaszek z Katynia, które wywiózł stamtąd szef komisji lekarskiej, dr Buhtz, i umieścił w zbiorach zakładu medycyny sądowej we Wrocławiu, wówczas Breslau. Wśród nich znalazła się czaszka Janiny Lewandowskiej, pilota i oblatywacza, córki gen. Dowbora-Muśnickiego, jedynej kobiety w Katyniu. Po stwierdzeniu tożsamości Ludwika Szymańskiego również z pomocą jego rodziny, która po wojnie wyjechała do Australii, uroczyście złożono jego czaszkę w Kaplicy Katyńskiej Katedry Wojska Polskiego w 2008 r.

Helge Tramsen musiał wiedzieć coś o dalszych losach swoich dawnych kolegów z komisji katyńskiej, której konsekwencji w żaden sposób nie mógł przewidzieć, gdy zgodził się na wyjazd do Związku Sowieckiego w 1943 r. Po wojnie musiał być zaskoczony, a nawet przerażony dalszym obrotem spraw. Po ustaleniach komisji Maddena mógł podejrzewać, że sprawa Katynia nie została wcale zamknięta, że dalej będzie toczyć się niejawnie, że dalej będzie fałszowana, skoro usuwa się niewygodne świadectwa, a nawet samych świadków. Musiał słyszeć, że znikali lub ginęli ludzie, którzy znaleźli się w kręgu sprawy Katynia. Miał prawo obawiać się o własne losy. Według wspomnień rodzinnych po zdławieniu węgierskiej rewolty w Budapeszcie w 1956 r. był przekonany, że trzeba będzie uciekać z Danii. Kiedy więc dowiedział się o zamiarze małżeństwa córki z Polakiem Romualdem Twardowskim i o decyzji wyjazdu do Polski w 1970 r., był bardzo zaniepokojony. Jej zagadkowa śmierć przekonała go, że nie był to żaden nieszczęśliwy wypadek, lecz zemsta, której nie dokonano wprost, lecz bardziej perfidnie, bo na jego dziecku. „Helge Tramsen, który w tym czasie był przybitym i osłabionym nerwowo człowiekiem, nie miał wątpliwości, że to Rosjanie chcieli go ukarać za jego świadectwo w Katyniu w 1943 r. Podczas pogrzebu Elizabeth w Danii załamał się nerwowo i trafił do kliniki. Po utracie córki nigdy już nie wrócił do pełnego zdrowia, umarł w 1979 r. w wieku 69 lat" – napisała Anna Jessen w książce „Czaszka z Katynia".

CARMEN DE MORTUIS

Romuald Twardowski także był na pogrzebie Elizabeth. Musiał to być dla niego również wielki wstrząs. Zapewne rozmawiał wtedy z jej ojcem. Utrzymywał później znajomość z rodziną Tramsenów, przyjeżdżał na grób Elizabeth w Silkeborgu. Wyjaśnienie, że to był nieszczęśliwy wypadek, nie mogło go całkiem uspokajać. Przeżył sowiecką okupację wojenną w Wilnie, a potem 12 lat sowietyzowanej Litwy. Nie mógł nie wiedzieć o nowych wywózkach Polaków i represjach wobec polskiej konspiracji. Można sobie wyobrazić, że po tym wszystkim twórczość muzyczna była jeszcze jednym sposobem oderwania się od ówczesnej polskiej rzeczywistości za żelazną kurtyną. Całkowicie poświęcił się pracy kompozytorskiej i działalności w środowisku muzycznym. Elizabeth zadedykował muzyczne epitafium „Trzy sonety pożegnalne" wykonane w następnym roku.

Romuald Twardowski poświęcił się pracy kompozytorskiej. Elizabeth zadedykował epitafium

Był niezwykle płodnym, wszechstronnym i uznanym kompozytorem zarówno w kraju, jak i za granicą. Można by powiedzieć, że jak na ówczesne warunki polskie robił także zawrotną karierę na Zachodzie, gdzie zdobywał liczne nagrody. Otwierała mu ona drogę do całej Europy. Mógł niemal swobodnie podróżować, uzyskał niezależność, jaką mieli tylko nieliczni w PRL. Tacy ludzie byli jednak zawsze „w zainteresowaniu służb", jak mówiono w ich fachowym języku, bo mogli być użyteczni w takiej czy innej roli. Sam Twardowski wspominał już pod koniec życia, że po stanie wojennym przyszli do niego kiedyś dwaj panowie i poprosili o przysługę, wiedząc, że będzie wyjeżdżał za granicę. Chcieli przekazać jakieś tajne materiały na Zachód dla nowej polskiej emigracji. Obrotna żona zorientowała się od razu. „Proszę natychmiast wyjść!" – odezwała się nieprzyjemnie. Chodziło pewnie o podrzucenie kompromitujących materiałów, które można by wykryć przy jakiejś kontroli.

Jest jeszcze jeden ważny trop w zagadce śmierci Elizabeth Tramsen, która zapewne pozostanie niewyjaśniona. Romuald Twardowski miał wspomnieć w liście do przyjaciółki Elizabeth Tramsen w Danii, że przyczyną jej śmierci był gwałtowny krwotok wewnętrzny. Nie zatrucie gazem.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



KOMUCHOŻERCA

Fałszerze

LESZEK ŻEBROWSKI

To mniej znane zagadnienie, dotyczące konspiracji w Polsce, ale bardzo istotne. Mieliśmy bowiem do czynienia z podszywaniem się przez uzurpatorów pod polskie organizacje niepodległościowe. Czyny popełniane przez nich były na ogół nieetyczne, a w większości przypadków wprost haniebne i nie są one przedmiotem odrębnych badań historyków, mogą natomiast bardzo mocno wypaczyć obraz całości.

W tym przypadku rzecz dotyczy podszywania się pod NSZ przez komunistów: PPR i GL-AL, a po wojnie nawet przez Milicję Obywatelską. Podczas okupacji można natknąć się na komunikaty Dowództwa NSZ, że trwa akcja wymuszania okupu i haraczy przez ugrupowania komunistyczne, w tym szantażowania ukrywających się Żydów. Dla niepoznaki zostawiali fałszywe „pokwitowania" z podpisem Egzekutywa NSZ, choć ta formacja nie miała w swej strukturze organizacyjnej komórek o takiej nazwie. Ujawnienie i rozpracowanie takich działań było przez NSZ każdorazowo bardzo surowo karane.

Sporo śladów takich działań zostało w archiwach PPR i GL-AL. Nie było to zbytnio ukrywane, a nawet traktowane było jako tytuł do chwały i jako dowód… sprytu organizacyjnego. Oto typowe sprawozdanie PPR z tego zakresu, z 22 maja 1944 r. Członkowie partii i „wypadówki" AL, Jan Raś i Stanisław Siewierski, dokonali brawurowej akcji partyzanckiej w Woli Trzydnickiej. Akcja polegała na zabraniu chłopu świni i, co gorsza, nie zostawili właścicielowi kolczyka, co mogło go uratować przed większymi represjami niemieckimi. Prosił on również, żeby mu zostawili chociaż łeb (na potrzeby rodziny). Został jednak zelżony, ale otrzymał stosowne poświadczenie konfiskaty: „Pokwitowanie wystawili na NSZ". Jak się okazuje, była to wówczas powszechna praktyka, bo napastnicy mieli… „stos pokwitowań". Ile mitów powstało później na ten temat, że NSZ napada i rabuje?

W tużpowojennych wspomnieniach jeden z największych bandziorów i morderców z PPR i GL-AL Bolesław Kaźmirak vel Bolesław Kowalski „Cień" z rozkoszą rozpisywał się o takich sprytnych praktykach. Czy ktoś to kiedy zechce badać i wyjaśniać? Już nie ma dla kogo, pozostaje zatem tylko łżenie przez środowiska lewackie na podstawie takich „dowodów". Dowód takich praktyk znalazłem również w dokumentacji Wojskowego Sądu

Rejonowego w Katowicach z 1946 r. Funkcjonariusze Adam Olczyk i Jerzy Gleń dokonali napadu na sklep w stylu „akcji zaopatrzeniowej", wykonanej oczywiście na użytek własny. Ot, akcja bandycka, których wówczas było bardzo wiele. Najważniejsze jest to, że milicyjni bandyci zostawili na miejscu gotowe „pokwitowanie", sygnowane jako… NSZ. ©℗



HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

„Dar Pomorza" i jego następca

SŁAWOMIR KOPER

Do dzisiaj przetrwała tradycja, że przyszli oficerowie floty handlowej lub wojennej biorą udział w rejsach szkolnych na żaglowcach. Zapewne powodem takiego stanu rzeczy jest to, że służba pod żaglami jest o wiele bardziej wymagająca niż na współczesnych statkach i okrętach. Przyszłe wilki morskie przechodzą tam bowiem ostrą szkołę życia i morza, a najsłabsi odpadają.

Podobnie było po odzyskaniu przez Polskę niepodległości. Gdy zatem w 1920 r. powołano do życia Szkołę Morską w Tczewie mającą kształcić kadry dla marynarki handlowej, zakupiono bark „Lwów", który miał się stać prawdziwą „kolebką nawigatorów".

„Lwów" zakończył służbę w 1929 r. i – przekazany Marynarce Wojennej – został zdegradowany do roli hulku, a po kilku latach trafił na złom. Jego następcą została fregata „Dar Pomorza", zakupiona ze składek mieszkańców Wybrzeża.

Żaglowiec rozpoczął służbę latem 1930 r., a jego najbardziej spektakularnym przedwojennym osiągnięciem było opłynięcie Ziemi (1934–1935). Jednostka przebyła 39 tys. mil morskich, dokonując tego wyczynu jako pierwszy polski statek. Dwa lata później fregata opłynęła przylądek Horn, a w latach 1937–1938 dotarła na Karaiby.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 r. fregata odbywała rejs szkoleniowy po Bałtyku i na polecenie władz wpłynęła do szwedzkiego portu Oxelösund. Tam zastał ją wybuch wojny i z tego powodu została przeholowana do Sztokholmu, a następnie internowana. Większość załogi przedostała się do Anglii, by tam kontynuować walkę z Niemcami.

Po zakończeniu drugiej wojny światowej statek powrócił do kraju i w ostatni rejs wypłynął 15 września 1981 r. Obecnie zacumowany w Gdyni pełni funkcję muzeum, a jego godnym następcą został „Dar Młodzieży". Jednostka ta w 1988 r. dokonała wyczynu, o którym było głośno w żeglarskim świecie. Fregata pojawiła się na uroczystościach z okazji 200-lecia zasiedlenia Australii i wpływając do portu w Sydney, przeszła pod pełnymi żaglami (!) pod Harbour Bridge. Wyczyn obserwowały tłumy mieszkańców, załogi statków zgromadzonych w porcie oraz koronowane głowy przybyłe na uroczystości. Na filmie, który można znaleźć w Internecie, widać zaskoczoną twarz ówczesnego księcia Walii, Karola, który z niedowierzaniem obserwował ułańską szarżę polskiego żaglowca. Dynasta dobrze znał się na sprawach morskich (służył w marynarce brytyjskiej) i wiedział, że był to prawdziwy ewenement. Pomiędzy kładką Harbour Bridge a szczytem najwyższego masztu żaglowca został bowiem zaledwie metr (!) różnicy. Nikt nigdy przedtem ani potem nie dokonał podobnego wyczynu. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!



TRIUMF NAD NIEMNEM: JAK POLACY PRZEPĘDZILI BOLSZEWIKÓW

LEWY NIEMEŃSKI „Klęska pod Warszawą nie przesądza jeszcze o wyniku wojny" – pisał w telegramie do Lenina gen. Michaił Tuchaczewski. Dopiero cios wyprowadzony przez Polaków nad Niemnem złamał marzenia Kremla o „eksporcie" rewolucji – podkreśla Grzegorz Janiszewski

KLUCZ DO RYGI – Do przeprowadzania wielkiej operacji nad Niemnem Piłsudski musiał przekonać Sejm i Radę Obrony Państwa, ponieważ Polsce groziło nie bezpieczeństwo stania się państwem kadłubowym – mówi w wywiadzie prof. Andrzej Chwalba

NIEUDOLNA POKAZÓWA SĄDOWA Władze postanowiły surowo ukarać uczestników antykomunistycznych zajść. Procesy pokazowe okazały się jednak kompletną „klapą" i ośmieszyły aparat państwowy – pisze Piotr Semka

CUDA LIBAŃSKIEGO PUSTELNIKA – Dysponujemy listą 45 tys. udokumentowanych cudów, do których doszło za wstawiennictwem tego libańskiego świętego – mówi w wywiadzie ks. Andrzej Sochal, autor książek na temat św. Szarbela

LEGENDA BUŁGAROBÓJCY Bazyli II uważany jest za jednego z największych władców w dziejach Bizancjum. Surowy, zdyscyplinowany cesarz żołnierz, który zasłynął tym, że wszystkie wojenne trudy dzielił ze swoim wojskiem – pisze Anna Szczepańska

OCZAROWANIE IWASZKIEWICZA Dawno temu Adam Pomorski napisał, że „długi cień Iwaszkiewicza wciąż zabiega drogę współczesnej literaturze polskiej". Ze wszystkimi tego następstwami, dobrymi i złymi – ocenia Krzysztof Masłoń

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c21ff32d6d



FOT. KREMLIN.RU

Putin się boi. Niepotrzebnie



Maciej Pieczyński

Zbliżające się wybory do Dumy nie doprowadzą do zmiany władzy w Rosji. Niemniej kampania pokazała, że rosną nastroje antywojenne i antyputinowskie. Putin się ich przestraszył, choć zdecydowanie na wyrost

W Rosji obowiązuje system prezydencki, definiowany przez niektórych politologów jako superprezydencki. Choć Duma Państwowa, jako izba niższa parlamentu, uchwala prawo, nie jest jednak ośrodkiem władzy niezależnym od głowy państwa. Szczególnie w warunkach postępującej dyktatury, a także w sytuacji, gdy wyniki wyborów są w mniejszym lub większym stopniu (w zależności

eprasa.pl c21ff32d6d

od zapotrzebowania) fałszowane. Parlament nie jest najważniejszym, jest jednak istotnym elementem układanki władzy Władimira Putina. Wiadomo, że większość mandatów deputowanych do Dumy zdobędą kandydaci z list prezydenckiej partii Jedna Rosja. Jednocześnie, z punktu widzenia Kremla istotne jest to, z jak wielkim trudem to zwycięstwo przyjdzie, i jak bardzo trzeba będzie wyniki „poprawić".

Charakterystycznym elementem rosyjskiego systemu politycznego jest funkcjonowanie tzw. systemowej opozycji. Innymi słowy – w dużej mierze udawanej. Systemowa opozycja formalnie występuje przeciwko władzy, krytykuje konkretne jej posunięcia, ale co do zasady akceptuje reguły gry, narzucone przez Putina, i nie dąży do odsunięcia go od sterów państwa. Popiera też najważniejsze kierunki polityki ekipy rządzącej. Według sondażu przeprowadzonego pod koniec sierpnia przez WCIOM (Wszechrosyjskie Centrum Badania Opinii Publicznej) 37,2 proc. Rosjan zagłosowałoby na Jedną Rosję, 11,6 – na Komunistyczną Partię Federacji Rosyjskiej (KPRF), 8,7 – na Liberalno-Demokratyczną Partię Rosji (LDPR), 11,5 – na Nowych Ludzi, 5,3 – na Sprawiedliwą Rosję. Reszta to plankton. WCIOM to ośrodek państwowy, tym bardziej więc można założyć, że podaje dość prawdopodobne wyniki. To znaczy nie tyle Rosjanie tak zagłosują, ile władze są zainteresowane takimi mniej więcej wynikami. Systemowe partie opozycyjne reprezentują szerokie spektrum światopoglądowe. Dla każdego coś miłego. Jesteś nacjonalistą? Możesz zagłosować na LDPR, która wbrew nazwie właśnie takie poglądy głosi. Jesteś komunistą? Oddajesz głos na KPRF. Jesteś umiarkowanym socjalistą? Wrzucasz do urny kartę z krzyżykiem obok nazwiska kandydata popieranego przez Sprawiedliwą Rosję. Uważasz, że państwo nie powinno ingerować nadmiernie z jednej strony w gospodarkę, z drugiej strony – w życie osobiste obywateli? Prosta sprawa – jesteś wyborcą Nowych Ludzi.

Wbrew pozorom opozycja ta odgrywa bardzo ważną rolę w Rosji, wzmacniając stabilność systemu. Po pierwsze, pozwala kanalizować niezadowolenie. Jeśli ktoś nie popiera Putina, zawsze może zagłosować na bezpieczną z punktu widzenia opozycję. Co więcej, niekoniecznie taki wybór musi być wynikającym ze strachu konformizmem. To przecież sam Aleksiej Nawalny wpadł kiedyś na pomysł „mądrego głosowania", czyli popierania każdego, kto nie należy do Jednej Rosji. Ta strategia budziła kontrowersje, bo przecież głosujący faktycznie wchodzi w rolę napisaną na Kremlu. Ale jednak o takie zachowanie apelował nawet największy wróg Putina. I to bynajmniej nie dlatego, że w rzeczywistości był ukrytym agentem Kremla. Systemowa opozycja jest wobec władzy lojalna, ale nie jest władzą. Dopóki jest słaba, nie jest groźna. Natomiast każde zwycięstwo komunisty czy nacjonalisty nad putinistą osłabia obóz tego ostatniego. Wyborca może więc głosować na LDPR czy Nowych Ludzi, rzeczywiście wierząc, że w ten sposób nie popiera Putina. Po drugie, istnienie systemowej opozycji tworzy pozór realnej konkurencji wyborczej, tym samym legitymizując wybory. Putin zawsze może powiedzieć, że w Rosji istnieje demokracja. Po trzecie, publiczna działalność tego rodzaju ugrupowań dostarcza Putinowi informacji o nastrojach społecznych. Po czwarte, konstruktywna krytyka, na jaką mogą sobie pozwolić systemowi opozycjoniści, pełni funkcję stabilizującą i pozwala władzy dostrzegać swoje błędy i je korygować bez większych kosztów politycznych.

Parlament nie jest najważniejszym, jednak jest istotnym elementem układanki władzy Putina

FUNDAMENTALNA KWESTIA

Nawet ludzie systemu, wybijający się ponad przeciętność, są traktowani przez władze jako potencjalne zagrożenie. Najbardziej jaskrawym tego przykładem podczas kampanii do Dumy jest polityk KPRF Nikołaj Bondarenko. Stosunkowo młody działacz, nazywany „czerwonym blogerem", niezwykle popularny w Internecie, gdzie ma wielomilionowy wirtualny elektorat, z możliwym przełożeniem na elektorat w świecie realnym. Jeden z najbardziej medialnych komunistów. Wielokrotnie pozwalał sobie na krytykę obozu prezydenckiego. Co prawda, w sprawach społecznych, czyli w sferze, która dla Putina nie jest najważniejsza. Mimo to władze najprawdopodobniej postanowiły dmuchać na zimne. 7 września Centralna Komisja Wyborcza (CIK) wykreśliła Bondarenkę z listy kandydatów. Powód? Prawomocny wyrok administracyjny, skazujący na 1 tys. rubli grzywny za „demonstrowanie symboliki nazistowskiej albo ekstremistycznej". Tak zakwalifikowano… publikację zdjęcia Nawalnego na telegramowym kanale Nikołaj Bondarenko Live. Przy czym sam polityk zarzeka się, że to nie on prowadzi ten kanał.

Jest jedna, fundamentalna kwestia, w której systemowi opozycjoniści zgadzają się z linią Kremla bez żadnego „ale". Wszystkie najważniejsze partie w różnym stopniu, ale jednak, popierają „specjalną operację wojskową". Lider KPRF Giennadij Ziuganow powiedział w sierpniu: „Bez zwycięstwa […] nie mamy realnej przyszłości". Komuniści ostrożnie krytykują Putina jako kapitalistę i patrona oligarchii, jednocześnie popierają prowadzoną przez niego wojnę. A jak wiadomo, właśnie polityka zagraniczna jest dla gospodarza Kremla najważniejsza. LDPR wręcz domaga się realizacji wszystkich celów „SWO". Lider ugrupowania Leonid Słucki nazwał wojnę „świętą i szlachetną". Program Sprawiedliwej Rosji zaczyna się od postulatu wsparcia dla żołnierzy walczących na Ukrainie. Lider partii, Siergiej Mironow, wspólnie z żoną adoptował 10-miesięczną dziewczynkę z domu dziecka w okupowanym Chersoniu, a de facto ją porwał. Ponadto chwalił się prezentem od Prigożyna – młotem, którym wagnerowcy wykonywali wyroki śmierci na zdrajcach. Nowi Ludzie, jako systemowi liberałowie, są w popieraniu wojny najostrożniejsi. Z jednej strony partia chwali się, że głosowała przeciwko represyjnym rozwiązaniom, takim jak karanie za wyszukiwanie w Internecie określonych treści i korzystanie z VPN, a także podwyższeniu wieku poborowego do 30 lat czy ściąganiu podatków bez wyroku sądu. Z drugiej strony, popierają „specoperację", ponieważ „dziś przeciwko Rosji jest pół świata". Kandydat tej partii w wyborach prezydenckich 2024 r. po przegranej kampanii spotkał

eprasa.pl c21ff32d6d

się z Putinem i życzył mu powodzenia w prowadzeniu działań zbrojnych.

ZARZUT „EKSTREMIZMU"

Jest tylko jedno, w miarę poważne, systemowe ugrupowanie polityczne, które w obecnej kampanii wyborczej wystąpiło przeciwko wojnie. To liberalno-demokratyczna (z pewnymi odcieniami umiarkowanego socjalizmu – społeczna gospodarka rynkowa) partia Jabłoko. To weteran rosyjskiej sceny politycznej. Jako blok wyborczy istnieje od 1993 r., jako partia – od 2001 r. Nieprzerwanie rządzona przez Grigorija Jawlinskiego. Jej listy wyborcze zostały zarejestrowane pod koniec lipca. Niedługo potem zaczęły się jednak problemy. Działacze nacjonalistycznej, prokremlowskiej partii Rodina (ros. ojczyzna) złożyli do Sądu Najwyższego pozew o anulowanie rejestracji. Pozew został uwzględniony. Orzekał sędzia Wiaczesław Kiriłłow, który wcześniej wsławił się m.in. wyrokiem uznającym „Memoriał" za organizację ekstremistyczną czy też odrzucaniem skarg Nawalnego na administrację kolonii karnej, w której przebywał i w której ostatecznie zginął.

Jabłoko zostało wykluczone z udziału w wyborach pod absurdalnymi zarzutami. Zostało oskarżone m.in. o złamanie praw autorskich. Grigorij Jawlinski w jednym z wywiadów użył bowiem sformułowania „Niech zawsze będzie słońce" (Pust` wsiegda budiet solnce). Tak brzmi tytuł (i zarazem refren) słynnej rosyjskiej piosenki z czasów sowieckich, po raz pierwszy wykonanej na festiwalu w Sopocie w 1963 r. Poza tym partia na swojej stronie publikuje grafiki przerobione przez sztuczną inteligencję, co rzekomo łamie prawa autorskie firmy OpenAI, do której należy ChatGPT. Wreszcie, zdaniem partii Rodina, Jabłoko ukradło własność intelektualną również… armii amerykańskiej, ponieważ używało zdjęć ruin Hiroszimy po zrzuceniu bomby atomowej.

Poważniejszy zarzut dotyczył finansowania kampanii z zagranicy. To wszystko były jedynie preteksty. Najważniejszy zarzut dotyczył, rzecz jasna, samej wojny. Jabłoko, jako jedyna partia biorąca udział w wyborach, wzywało do zawieszenia broni. Rodina argumentowała, że ugrupowanie Jawlinskiego w ten sposób głosi ekstremizm. Zawieszenie broni musiałoby bowiem oznaczać zatrzymanie się Rosji na aktualnej linii frontu. Czyli rezygnację z „wyzwalania" części terenów, wpisanych do konstytucji. Przypomnijmy, że zgodnie ze znowelizowaną ustawą zasadniczą w skład Federacji Rosyjskiej w całości wchodzą ukraińskie obwody ługański, doniecki, chersoński i zaporoski. Ergo: nawoływanie do zawieszenia broni jest… zamachem na integralność terytorialną państwa. Co ciekawe, sąd akurat zarzutu o ekstremizm nie przyjął. I tak jednak wykluczył Jabłoko z wyborów. Według zgodnej opinii ekspertów to właśnie stosunek do wojny był prawdziwym powodem, niezależnie od treści uzasadnienia wyroku.

Jest tylko jedno, w miarę poważne, systemowe ugrupowanie polityczne, które w obecnej kampanii wyborczej wystąpiło przeciwko wojnie. To liberalno-demokratyczna partia Jabłoko

Jabłoko to stary wyjadacz rosyjskiej sceny, ale jednak partia z dołu tabeli. W kolejnych wyborach zdobywała liczby głosów niepozwalające na realny wpływ na rządzenie krajem. Jak do tej pory nie stanowiła absolutnie żadnego zagrożenia dla systemu, którego była częścią. Co więcej, Jawlinski nie cieszył się sympatią ani nawet szacunkiem wśród prawdziwych opozycjonistów, takich jak nawalniści. Teoretycznie więc Putin mógł całkowicie tę partię zignorować. Wybrał jednak wykluczenie jej z wyborów, ryzykując, że z nudnych, niewybieralnych liberałów uczyni męczenników. Dlaczego? Najprawdopodobniej dlatego, że nieoczekiwanie Jabłoko stało się największą nadzieją prawdziwej opozycji. Jako jedyne, legalnie działające w Rosji i startujące w wyścigu wyborczym ugrupowanie, głosiło hasła antywojenne. To historia podobna do tej z Borysem Nadieżdinem sprzed ponad dwóch lat. Wtedy ten systemowy liberał, wcześniej znany głównie dzięki występom w kremlowskiej telewizji, w której odgrywał rolę chłopca do bicia, nagle zyskał poparcie rzeczywistych przeciwników Putina, bo zamierzał walczyć o prezydenturę, postulując zakończenie „specoperacji". Nadieżdina ostatecznie wykluczono z wyścigu – podobnie jak teraz ludzi Jawlinskiego, z przyczyn oficjalnie formalnych (zakwestionowano sporą część zebranych pod jego kandydaturą podpisów). Oczywiście Jabłoko i tak nie wygrałoby wyborów. Ale startując w nich, narobiłoby wokół siebie sporo szumu. Kreml musiałby się nagimnastykować, aby narysować dobry dla siebie wynik. Najwidoczniej więc z wewnętrznych sondaży wynikało, że Rosjanie tak bardzo są niezadowoleni z konsekwencji wojny, iż masowo zagłosowaliby nawet na Jawlinskiego.

DZIEDZICTWO PUTINA

Ten strach Putina to dmuchanie na zimne. Bo i tak poradziłby sobie z niezadowoleniem. Z jednej strony, usunięcie mało znaczącej, ale antywojennej partii z wyborów, które same w sobie mają średnie znaczenie, wydaje się ruchem niemal histerycznym. Z drugiej strony, jest ruchem skutecznym. Bo w obronie Jabłoka nie wybuchła jeszcze większa fala niezadowolenia. Putin po raz kolejny pokazuje, że utrzymuje kontrolę nad państwem i społeczeństwem. Oczywiście sam gospodarz Kremla wieczny nie będzie. Prędzej czy później ktoś go zastąpi. Nie będzie to jednak Grigorij Jawlinski ani nikt jego pokroju i poglądów. Putina zastąpi… nowy Putin.

System, stworzony przez byłego KGB-istę, przetrwa jego samego. Putin namaści swojego następcę, tak jak sam został namaszczony przez Borysa Jelcyna. W mediach pojawia się co jakiś czas giełda nazwisk – od oligarchy Igora Sieczina, przez byłego ochroniarza Putina Aleksieja Diumina, po szefa wywiadu zagranicznego Siergieja Naryszkina. To jednak wróżenie z fusów, czcza intelektualna zabawa. Jedno wydaje się pewne: zmiana na Kremlu nie odbędzie się w sposób demokratyczny. System władzy zostanie zachowany. Z partią Jabłoko na listach kandydatów czy bez. Ale z silną władzą prezydencką, silną kontrolą nad społeczeństwem, które nie ma siły albo ochoty się sprzeciwiać, wreszcie: z asertywnym stosunkiem do Zachodu i wrogim do Ukrainy. Putin nie ma więc się czego obawiać – jego „dziedzictwo" przetrwa.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Jan Bogatko z Berlina

Berlin (przed wyborami)

Wrzesień to arcyważny miesiąc wyborczy w Niemczech – w Saksonii-Anhalcie, Meklemburgii-Pomorzu Zachodnim i – co najważniejsze – w stołecznym mieście Berlinie odbywają się wybory landowe (Berlin to także jeden z 16 landów w Republice Federalnej). W Saksonii-Anhalt wybory trzymały w napięciu do ostatniej chwili w niedzielę 6 września przed godz. 18. Zakończyły się one wielkim sukcesem bojkotowanej przez lewicę (CDU wbrew zapewnieniom i nazwie też na razie do niej należy) konserwatywnej partii AfD (Alternatywa dla Niemiec). I to bez względu na to, czy będzie ona w Magdeburgu rządzić sama, w koalicji czy pozostanie na twardej ławie opozycji (relacja powstaje w niedzielę wieczorem). Lewacki „front jedności narodu" dostał w Saksonii-Anhalt potężne baty

Od epoki berlińskiego marsza „Berliner Luft" („Berlińskie powietrze"), śpiewanego do niedawna w miejscowym dialekcie w knajpach przed północą, klimat w stolicy Niemiec zmienił się na serio i na stałe. Inne przeboje zajęły jego miejsce. Berlin to twierdza niemieckiej lewicy. Nawet jeśli w „czerwonym ratuszu" (bo z czerwonej cegły) w przeszłości komuniści siedzieli na gorszych krzesłach. Rząd landowy w Berlinie nazywa się senatem, ministrowie – senatorami, a premier rządu krajowego nosi tytuł nadburmistrza. Berlin to land mały, ale nie najmniejszy, jeśli bierzemy pod uwagę liczbę mieszkańców (taki Kraj Saary nad granicą z Francją pozostaje za Berlinem daleko z tyłu). Aglomeracja berlińska liczy prawie 5 mln mieszkańców. To, że rząd w Berlinie nazywa się senatem, wynika z decyzji politycznych. Jakie byłoby zamieszanie – pytali zwolennicy tej nazwy – gdyby Berlin był zarówno siedzibą kanclerza, jak i premiera, i na domiar wszystkiego dwóch rządów? Garść pasjonującej statystyki: w czerwcu 2026 r. Berlin liczył 3 917 196 mieszkańców, co stanowi wzrost o 14 551 osób w porównaniu z rokiem poprzednim. Liczba obcokrajowców wzrosła o 1899, do 972 941. To prawie milion! Większość obcokrajowców mieszkających w Berlinie (59,1 proc.) posiadała obywatelstwo UE, a ok. jednej czwartej (26,9 proc.) – obywatelstwo jednego z państw Azji. To też ma znaczenie w tych wyborach, mimo że obcjokrajowcy nie mają prawa głosu. Średnia wieku w Berlinie wyniosła 42,9 roku. 54,1 proc. mieszkańców było stanu wolnego, 32,5 proc. w związkach małżeńskich, a 8,2 proc. rozwiedzionych. A jak z młodzieżą? Berlin zawsze przedstawia się jako miasto młode. Na pierwszy rzut oka tak (japonki, krótkie spodnie, tatuaże na łydce itd.), ale na drugi już nie. Nie pomogą puder, róż…

ZADECYDUJE MŁODZIEŻ?

Struktura wiekowa populacji Berlina ulega zmianom. Podczas gdy liczba starszych mieszkańców stale rośnie, odsetek osób potencjalnie w wieku produkcyjnym maleje. Odsetek osób powyżej 65. roku życia wzrósł z 15 do 19 proc. w latach 2000–2024. Jednocześnie odsetek osób poniżej 20. roku życia spadł o 1 p.p. do 18 proc., a odsetek osób w wieku 20–64 lata spadł z 67 do 62 proc. Tendencja starzenia się społeczeństwa będzie się utrzymywała w stołecznym Berlinie. Do 2050 r. 23 proc. populacji może mieć 65 lat lub więcej. Z kolei odsetek osób poniżej 20. roku życia i w wieku 20–64 lata będzie nadal spadał. Takie są wyniki 16. skoordynowanej prognozy demograficznej, zakładającej umiarkowany wzrost wskaźnika urodzeń, oczekiwanej długości życia i salda migracji. Jednak w porównaniu z resztą Niemiec populacja Berlina będzie nadal uchodzić za bardzo młodą. A Berlin dba o młodzież. Czyż nie jest tego wyrazem przyznanie czynnego prawa wyborczego 16- i 17-latkom? W nadziei na wyborców lewicowego „frontu jedności narodu" w 2023 r. wprowadzono stosowną poprawkę do landowej konstytucji. W tym roku w Berlinie liczba uprawnionych do głosowania jest najwyższa niemal od 30 lat. To prawie 2,49 mln osób. Tak wynika z danych o strukturze wyborczej Urzędu Statystycznego Berlina-Brandenburgii. Oznacza to, że w tym roku głosujących jest o ok. 58 tys. więcej niż w powtórnych wyborach krajowych w Berlinie, które miały miejsce trzy lata temu. Dane Urzędu Statystycznego zostały zebrane 31 grudnia 2025 r. Aktualizacji należy spodziewać się przed wyborami we wrześniu.

Ale uwaga: w ostatnim czasie liczba uprawnionych do głosowania w Berlinie spadała. Obniżenie wieku uprawniającego do wzięcia udziału w wyborach tymczasowo zahamowało tę tendencję. Czy do udziału w następnych wyborach zaprosi

eprasa.pl c21ff32d6d



się dzieci? Równolegle z tym rozwojem sytuacji odsetek uprawnionych do głosowania w populacji znacząco spadł w ostatnich latach. Dane Państwowego Urzędu Statystycznego pokazują również, że liczba Berlińczyków bez prawa głosu osiągnęła nowy rekord. Ponad 1,4 mln Berlińczyków nie ma prawa głosu w kolejnych wyborach do Izby Reprezentantów Berlina. To więcej niż kiedykolwiek wcześniej. Zwłaszcza od 2011 r. liczba osób nieuprawnionych do głosowania rośnie znacznie szybciej w porównaniu z liczbą uprawnionych do głosowania. W danych dotyczących prawa do wzięcia udziału w wyborach można zaobserwować kilka tendencji demograficznych: stolica się rozrasta, szczególnie ze względu na napływ cudzoziemców, jednocześnie rośnie liczba osób wyprowadzających się. Wielu ucieka przed islamizacją stolicy Niemiec, przed złymi szkołami, przedszkolami, w których dzieci mówią w większości po arabsku, i brudnymi dzielnicami. Na mieszkanie przy „lepszej" ulicy ludzi, zwłaszcza młodszych, często nie stać. I to mimo programów zamrażania cen wynajmu. Od lat 90. XX w. liczba mieszkańców Berlina wzrosła z 3,4 mln (1995) do 3,9 mln (2026). Wśród osób pozbawionych praw wyborczych największą grupę stanowi 976 tys. osób bez obywatelstwa niemieckiego. Ich liczba wzrosła ponaddwukrotnie od 2011 r., kiedy w Berlinie mieszkało „tylko" 457 806 cudzoziemców.

GŁOSY BEZDOMNYCH I MUZUŁMANÓW

Drugą co do wielkości grupą niebiorącą udziału w wyborach stanowią dzieci i młodzież poniżej 16. roku życia. Liczy ona ok. pół miliona osób. Marginalne znaczenie mają natomiast osoby pozbawione praw wyborczych przez sąd. Ale z kolei bezdomni mogą jednak brać udział w wyborach w Berlinie, jeśli są niemieckimi obywatelami. Po raz pierwszy bezdomni mogą zarejestrować się do głosowania bezpośrednio w ośrodku dziennym w dzielnicy Pankow, a jeśli chcą, to mogą głosować korespondencyjnie. Nowy projekt pilotażowy w Berlinie oferuje osobom bez stałego adresu uproszczony sposób udziału w wyborach. Inicjatywa, będąca wspólnym przedsięwzięciem biura wyborczego w Pankow i Diakonie (ewangelicka organizacja pomocy społecznej), odbywa się w ośrodku dziennym prowadzonym przez lewicowy projekt społeczny Prenzlauer Berg.

W Berlinie można nawet głosować w meczecie. Khadija-Moschee w berlińskiej dzielnicy Heinersdorf zostanie ponownie wykorzystana jako lokal wyborczy podczas wyborów do Izby Deputowanych Berlina. Meczet należy do Ahmadiyya Muslim Jamaat (AMJ), islamskiej wspólnoty wywodzącej się z ruchu Ahmadijja. Jej religijnym przywódcą jest… kalif. Fakt, że świątynia ponownie będzie pełnić funkcję oficjalnego lokalu wyborczego, przedstawiciele wspólnoty postrzegają jako przejaw „normalizacji i równego traktowania wspólnot religijnych". W meczecie kazania wygłasza imam Scharjil Khalid. Jak informował berliński lewicowy dziennik „Tagesspiegel", imam obawia się rosnącego poparcia dla AfD Alice Weidel i Tina Chrupalli. Według relacji medialnych Khalid obawia się m.in. ograniczenia finansowania oraz większej presji na muzułmanów. Jego zdaniem mogłoby to doprowadzić do ponownego wzrostu znaczenia radykalnych ugrupowań. Khalid określił sposób, w jaki AfD zwraca się do muzułmańskich migrantów, jako „perfidny i cyniczny". Według imama partia rozróżnia migrantów, którzy mieszkają w Niemczech od dłuższego czasu, od osób, które przybyły niedawno. Jak twierdzi Khalid, uprzedzenia podsycane przez AfD są kierowane przede wszystkim wobec nowych migrantów, którym zarzuca się brak integracji, odbieranie miejsc pracy oraz pogarszanie wizerunku migrantów mieszkających w Niemczech od wielu lat. Zdaniem 32-letniego duchownego AfD nie jest już jednak w środowisku muzułmańskim zjawiskiem marginalnym. Jak powiedział, każdy muzułmanin zna „kogoś, kto głosuje na AfD, albo przynajmniej rozważa oddanie na nią głosu". Khalid od 2022 r. jest członkiem Nie-

eprasa.pl c21ff32d6d



Alice Weidel, Ulrich Siegmund i Tino Chrupalla, przedstawiciele AfD, cieszący się z wyniku wyborów w Saksonii-Anhalt, 6 września 2026 r. FOT. IMAGO/EAST NEWS

mieckiej Konferencji Islamskiej. „Islam jest niemiecką religią"... Czyje to słowa? Prezydenta Niemiec, Christiana Wulffa, wypowiedziane 3 października 2010 r. w Bremie. Ale zachwyt Niemców nad islamem ma długą tradycję. Wszak to nie tyle religia, ile porządek społeczny.

NIEWIARYGODNE SONDAŻE

No więc kto wygra wybory landowe w stołecznym Berlinie 20 września 2026 r.? Nic łatwiejszego: dowiemy się o tym w niedzielę 20 września, późnym popołudniem. Teraz mamy do dyspozycji tylko sondaże. Ale jak tu im wierzyć? Instytut badania opinii publicznej INSA na zlecenie portalu NIUS jeszcze kilka tygodni temu na pytanie: „Kto wygra wybory, gdyby miały się one odbywać w najbliższą niedzielę?" miał dla Berlina następującą odpowiedź: CDU – 18 proc., SPD – 13 proc., Zieloni – 16 proc., FDP – 4 proc., Linke (komuniści) – 18 proc. i – uwaga: Berlin to bastion lewicy – AfD 19 proc.! Nie do wiary, konserwatywna Alternatywa dla Niemiec idzie po zwycięstwo w Berlinie? Radość trwała krótko, komuniści znowu wychodzą na prowadzenie; po nieco łaskawym dla prawicy sondażu INSA głos zabiera Forsa na zlecenie portalu T-Online, przynosząc laur zwycięstwa komunistom: Linke – 22 proc., niedawni liderzy; AfD – już tylko 18 proc., łeb w łeb z kulejącą CDU, niegdyś najpotężniejszą siłą w Niemczech! Wrześniowy już sondaż INSA dla tabloidu Bild także stawia na komunistów przed AfD, ale zwycięstwo prognozuje jednak partii Friedricha Merza. Czy na wyniki tego sondażu nie wpłynęły jednak informacje o zakusach komunistów na prywatną własność w gospodarce mieszkaniowej Berlina, sprowadzających się do skopiowania bierutowskiego „uspołecznienia"? Stołeczni deweloperzy na serio przerażeni są wizjami czerwonych. Czy stąd poparcie dla CDU? Może wynika to z nadziei, że niegdyś chrześcijańscy demokraci wyhamują zapędy Die Linke wprowadzenia w stolicy Niemiec sowieckiego komunizmu tylnymi drzwiami?

NOWY NADBURMISTRZ

Elif Eralp jest kandydatką berlińskich komunistów na fotel nadburmistrza Berlina. Rzuca ona wyzwanie zarówno CDU, jak i AfD. Dla stołecznej elity beneficjentów tzw. państwa socjalnego (zabierać pracującym, oddawać tym drugim) Eralp to zwiastunka nowego porządku (stałego dobrobytu, oczywiście tak długo, jak długo kapitalizm trwa). Jest Turczynką, jej ojciec jest lekarzem, matka feministką. To niby nie zawód. A może jednak? Eralp skończyła prawo w Hamburgu, a po pomyślnych egzaminach państwowych (odpowiednik aplikacji) przeniosła się w 2010 r. do Berlina, podejmując pracę jako doradca do spraw polityki prawnej w grupie parlamentarnej Die Linke w grupie roboczej „Prawa Obywatelskie i Demokracja". Oczywiście zawsze dla komunistów demokracja to tylko demokracja socjalistyczna, rzecz jasna. Eralp jest aktywistką od młodości, angażuje się m.in. w działalność na rzecz ochrony środowiska i wspiera blokady transportów Castor (akcje przeciwko elektrowniom atomowym). W 2017 r. wstąpiła do Die Linke, gdzie po raz pierwszy została wybrana do krajowego komitetu wykonawczego partii w Berlinie. Oprócz działalności partyjnej Eralp angażuje się również w inicjatywy przeciwko rasizmowi i gentryfikacji oraz na rzecz mieszkań komunalnych dla wszystkich.

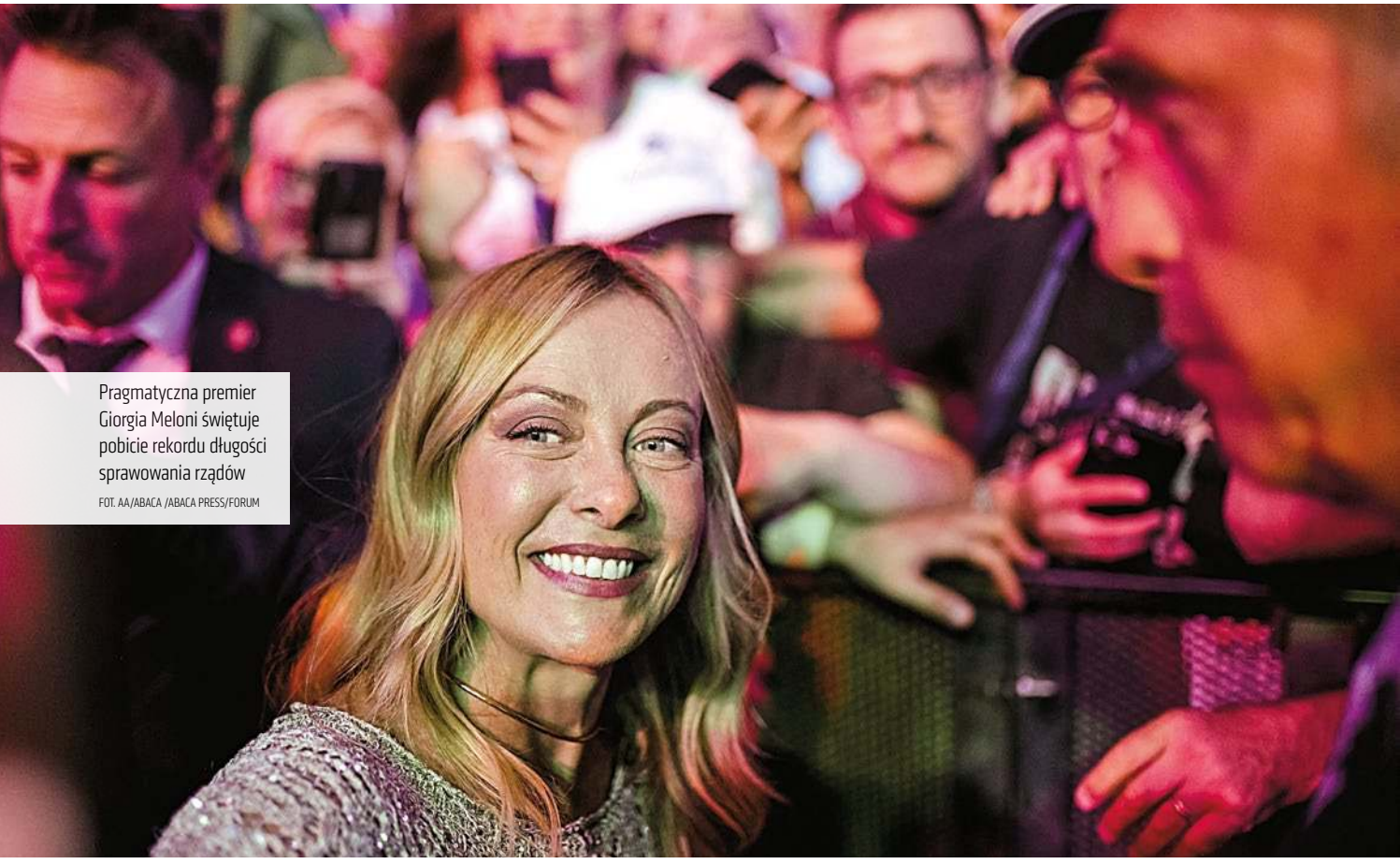
Elif Eralp jest kandydatką berlińskich komunistów na fotel nadburmistrza. Rzuca ona wyzwanie zarówno CDU, jak i AfD

W połowie 2019 r. Eralp, wraz z towarzyszami z krajowego komitetu wykonawczego: Hamze Bytycim z Kosowa, Kurdem Feratem Koçakiem i Belmą Bekos (o bośniackim imieniu i grecko brzmiącym nazwisku) z dzielnicy Berlina Neukölln, założyła ogólnokrajową sieć Links*Kanax, która działa m.in. na rzecz większej integracji członków partii, którzy doświadczyli rasizmu. Sojuszowi udało się m.in. utworzyć wolontariackie biuro do spraw przeciwdziałania dyskryminacji dla osób doświadczających jej w partii. Eralp i jej towarzysze postulowali również utworzenie komisji do spraw różnorodności, której zadaniem byłoby opracowanie strategii oraz koncepcji organizowania i angażowania w partię większej liczby osób z doświadczeniem migracyjnym. Jak wiadomo, to jest cel Niemców (zwłaszcza tych w pierwszym pokoleniu). Znamy zatem program tych aktywistów w Berlinie.

Media obiegła sensacja: luksusowy pięciogwiazdkowy Hotel Adlon w Berlinie („ojczyzna ponadczasowego luksusu" – jak głosi strona internetowa Hotelu Kempinski) w City, tuż obok Bramy Brandenburskiej, ma zostać sprzedany. Za co najmniej 280 mln euro. Stacja RBB informuje, że – na razie – biznes nie dojdzie do skutku, bo brakuje niezbędnej większości udziałowców. Na ile chęć sprzedaży schroniska dla pięknych i bogatych wynika z planów towarzyszki Eralp „uspołecznienia" firm nieruchomościowych, tego nie wiadomo. Wiadomo jednak, że właściciele luksusowych domów czy mieszkań w Berlinie rozglądają się za potencjalnymi kupcami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



Pragmatyczna premier Giorgia Meloni świętuje pobicie rekordu długości sprawowania rządów

FOT. AA/ABACA /ABACA PRESS/FORUM

Meloni pokonała Berlusconiego



Jacek Przybylski

Giorgia Meloni niespodziewanie pobiła powojenny rekord długości funkcjonowania gabinetu i jednocześnie zmieniła postrzeganie rządów konserwatystów przez wiele europejskich mediów. Czy w przyszłorocznych wyborach osiągnie kolejny sukces? Wiele zależy od stanu włoskiej gospodarki i zachowania jej nowego rywala: byłego generała Roberta Vannacciego

Włochy. Kraj, który na przestrzeni 80 lat miał 68 rządów, nie jest najłatwiejszy do bicia rekordów długości sprawowania władzy. To zadanie wydawałoby się jeszcze trudniejsze dla pierwszej kobiety na stanowisku premiera we włoskiej historii. A jednak w burzliwych czasach zaostrzających się globalnych konfliktów i coraz trudniejszych wyzwań gospodarczych i społecznych Giorgia Meloni stała się tym politykiem, który w powojennej historii Italii najdłużej stoi na czele rządów.

4 września 2026 r. pobiła rekord ustanowiony w 2005 r. przez Silvio Berlusconiego (rządził przez 1412 dni z rzędu). Gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy", u steru władzy Giorgia Meloni była nieprzerwanie od 1420 dni. Nie da się argumentować, że premier Włoch po prostu przyszło rządzić w łatwiejszych czasach niż poprzednikom. W innych zachodnich krajach politycy zmieniali się bowiem o wiele częściej niż we Włoszech. W okresie jej urzędowania – czyli od października 2022 r. – Wielka

eprasa.pl c21ff32d6d

Brytania miała już czterech premierów (licząc od odejścia Borisa Johnsona), a we Francji było ich już pięciu. Nawet w Niemczech trudno szukać tradycyjnej przewidywalności. Niespodziewanie to właśnie Włochy stały się więc oazą politycznej stabilności.

BÓG, OJCZYZNA, RODZINA

Gdybym dekadę temu próbował na tych łamach prognozować, że taki sukces osiągnie pierwsza Włoszka na stanowisku premiera, mająca zaledwie 45 lat i reprezentująca prawą stronę sceny politycznej (co w UE automatycznie oznacza brak jakichkolwiek ułatwień i przywilejów), to w głowę pukaliby się nie tylko polscy, lecz także włoscy politolodzy.

Jak to się więc udało? „Jestem Giorgia, jestem kobietą, jestem matką, jestem Włoszką, jestem chrześcijanką" – tak brzmiało wygłoszone siedem lat temu proste polityczne credo włoskiej premier. Niby banalne zdanie w świecie lewicowych pseudowartości w 2019 r. brzmiało niemal niczym wezwanie do kontrrewolucji. I tak też zostało odebrane. Ta wypowiedź stała się internetowym viralem. Była bowiem wyrazem sprzeciwu wobec prób zastępowania w oficjalnych dokumentach słów określających odwieczne role w tradycyjnej rodzinie, takie jak „matka" czy „ojciec" elementami „inkluzywnej" nowomowy: „rodzic 1" i „rodzic 2". Meloni – zdecydowana przeciwniczka małżeństw osób tej samej płci oraz adopcji dzieci przez pary jednopłciowe – doskonale wie, że takie zabiegi niszczą znaczenia słów głęboko zakorzenionych w chrześcijańskiej kulturze Europy.

„Jeśli obraża was krzyż lub szopka bożonarodzeniowa, to nie tutaj powinniście mieszkać! Będziemy bronić Boga, ojczyzny i rodziny" – te słowa Giorgii Meloni wypowiedziała 19 października 2019 r. na Piazza San Giovanni w Rzymie jeszcze jako liderka opozycyjnego wówczas ugrupowania Bracia Włosi (Fratelli d'Italia). Przypomniała wówczas również o prześladowaniach chrześcijan w licznych krajach muzułmańskich. Ta wypowiedź jest regularnie przypominana przez konserwatywnych polityków w różnych krajach świata przy okazji kolejnych wybryków islamskich najeźdźców na Stary Kontynent.

Gdy została premierem, nie zapomniała o wartościach chrześcijańskich. Nadal podkreśla przywiązanie do tradycyjnych wartości, opowiada w mediach, jak ważne jest dla niej spędzanie czasu z córką. I nie boi się publicznie deklarować wiary. W rocznicę śmierci św. Jana Pawła II wprost pisała w mediach społecznościowych, że „zawsze nosi w sercu nauczanie, które pozostawił nam wszystkim swoim dziełem, swymi gestami i słowami".

WOREK Z „RADYKAŁAMI"

Giorgia Meloni po wyborach w 2022 r. stworzyła stabilny koalicyjny rząd dysponujący większością absolutną w obu izbach włoskiego parlamentu (Izbie Deputowanych oraz Senacie). Osiągnęła niesamowity sukces, mimo że tuż po zwycięstwie światowe media – a zwłaszcza media niemieckie – rozpaczały, że Włosi skręcili „ku radykalnej prawicy", a na czele rządu stanie kobieta z „radykalnej partii Bracia Włosi". Do worka z „radykałami" wrzucono ją m.in. ze względu na jej obrazoburczy dla zwolenników „nowoczesnych wartości" światopogląd, pełen tradycyjnych wartości, a nawet sprzeciwu wobec ustalanych przez Brukselę obowiązkowych „kwot" dla kobiet w zarządach czy rządach.

Meloni nie przejmowała się tymi ocenami i, wielokrotnie pokazując silny charakter, stworzyła własny obraz ciężko pracującego konserwatywnego gabinetu w Europie XXI w. Mimo trudnej koalicji, składającej się z Braci Włochów, Ligi, Forza Italia i mniejszych ugrupowań, potrafiła uniknąć wewnętrznych sporów. Nie zrezygnowała z narodowo-konserwatywnych przekonań, a jednocześnie sprawuje rządy w sposób o wiele bardziej pragmatyczny niż obawiało się wielu niemieckich publicystów i o wiele bardziej skuteczny, niż spodziewało się wielu Włochów.

Sprawnie porusza się na arenie międzynarodowej. A ponieważ po poprzednikach odziedziczyła ogromny dług publiczny (wynosi ponad 3,21 bln euro, czyli ok. 138,9 proc. włoskiego PKB), nie zdecydowała się na z góry skazaną na porażkę samotną walkę z Brukselą. Przeciwnie: ściśle współpracuje z instytucjami Unii Europejskiej, co pozwoliło jej na szybkie odblokowanie pieniędzy z Krajowego Planu Odbudowy. Jednocześnie zażarcie broni włoskich interesów, a jej poglądy wpływają na kierunek debaty o przyszłości Starego Kontynentu. Wbrew kłamliwym oskarżeniom lewicowych sił nowa szefowa włoskiego rządu nie doprowadziła również do rozłamu we wspólnym europejskim froncie poparcia dla Kijowa.

„Nie taki straszny prawicowy rząd Giorgii Meloni, jak go malują" – taki tytuł pojawił się więc w „The Economist" już na początku 2024 r. Część komentatorów widzi w niej kandydatkę na włoską Angelę Merkel. Inni – jak były brytyjski premier, Rishi Sunak, porównują ją do Margaret Thatcher. „Zawsze uważałam posiadanie zagranicznych wzorców za zły trend. Każdy naród ma swoją historię. Celem przywódców politycznych musi być więc zbudowanie własnego modelu, a nie powielanie wzorców stworzonych przez innych" – tłumaczyła mi włoska premier w wywiadzie sprzed dwóch lat („Do Rzeczy", nr 16/2024).

PLANY REFORMY UE...

Giorgia Meloni i jej polityczni sojusznicy skutecznie dotarli również do tych, którzy mieli dość nie tylko lewicowych pseudowartości, lecz także pseudoekologii – której wyznawcy blokowali duże projekty infrastrukturalne, sprzeciwiali się selektywnej wycince lasów i chcieli niemal zakazać polowania.

Włoska premier nie próbuje też przymuszać ludzi do Zielonego Ładu. Gdy mieszkańcy wsi zaczęli protestować wobec planów stawiania kolejnych 200-metrowych turbin wiatrowych, które niszczą piękne włoskie krajobrazy, rząd kierowany przez Meloni nie próbował im tłumaczyć, że są zacofanymi głupkami, lecz zaczął rozważać powrót do energii atomowej, choć od wyłączenia reaktorów w Italii minęły już niemal cztery dekady. Problem dotyczy nie tylko piękna krajobrazu, lecz także kosztów życia i prowadzenia działalności gospodarczej. Italia w dużym stopniu jest uzależniona od importowanych paliw kopalnych. Włosi płacą więc obecnie za prąd mniej więcej jedną trzecią więcej, niż wynosi unijna średnia. Inwestycje w nowoczesne technologie jądrowe mają więc coraz więcej zwolenników, zwłaszcza wśród przedsiębiorców działających w najbardziej energochłonnych branżach.

eprasa.pl c21ff32d6d

Gabinet Giorgii Meloni w czerwcu zrobił krok w kierunku realizacji tego celu. Parlament zatwierdził wówczas nową ustawę ramową upoważniającą koalicyjne władze do opracowania nowych zasad dotyczących krajowej produkcji energii jądrowej za pomocą małych reaktorów modułowych (SMR). Nie wiadomo, czy Meloni ostatecznie uda się przekonać większość Włochów do powrotu do atomu. W 1987 r. po katastrofie w Czarnobylu Włosi zażądali w referendum zamknięcia elektrowni jądrowych. W 2011 r. w głosowaniu zorganizowanym zaledwie kilka miesięcy po katastrofie w Fukushimie ok. 90 proc. głosujących odrzuciło plan powrotu do energii atomowej ówczesnego premiera Silvia Berlusconiego.

BRAK WIELKICH REFORM

Włoska prawica może również liczyć na głosy wyborców, którzy sprzeciwiają się niekontrolowanej migracji i rosnącej przestępczości wywołanej przez nieszczelne granice południowej Europy. Meloni zawarła co prawda umowę z Albanią, do której mogą być przewożeni niektórzy migranci, ale nie udało jej się osiągnąć w tej dziedzinie spektakularnego sukcesu.

Nie udało jej się też znacząco zmienić unijnego kursu. „Chcemy Unii Europejskiej innej niż ta, którą mamy dzisiaj. Takiej Unii, która jest w stanie skoncentrować swoje inicjatywy i zasoby gospodarcze tylko na kilku ważnych tematach, w których może naprawdę wnieść wartość dodaną. Mam tu na myśli w szczególności energetykę i infrastrukturę, suwerenność żywnościową, autonomię technologiczną i obronność. Całą resztę należy pozostawić państwom członkowskim, zgodnie z zasadą pomocniczości" – zapowiadała w wywiadzie dla „Do Rzeczy". Nie zdołała jednak przekonać przywódców w Brukseli do zdroworozsądkowych zmian w dziedzinie polityki klimatycznej (KE nie zrezygnowała z wyjątkowo szkodliwego pomysłu wprowadzenia ETS2).

Niestety, w kraju, w którym próby jakiekolwiek większej reformy natychmiast są krytykowane przez lewicowe media jako faszyzm grożący powrotem ideologii Mussoliniego, brak wielkich kryzysów wynika m.in. z ograniczenia się do sprawnego zarządzania państwem i niepodejmowania zbyt wielu prób kontrowersyjnych reform. Te ostatnie rządowi Meloni wychodzą bowiem średnio. Koalicji nie udało się np. przekazać dodatkowych kompetencji władzom regionalnym ani zaprowadzić porządku w wymiarze sprawiedliwości.

Czy Giorgia Meloni ma szansę na kolejną kadencję? Jej wygrana w przyszłorocznych wyborach jest nadal możliwa, choć z pewnością nie będzie to zadanie łatwe. Wzrost gospodarczy Włoch pozostaje słaby. Minister gospodarki Giancarlo Giorgetti prognozował jednak na początku września, że gospodarka może wzrosnąć „nawet o 1 proc." (kwietniowe prognozy przewidywały wzrost na poziomie 0,6 proc.), deficyt budżetowy nieco spadł, a wysoki dług publiczny przynajmniej zbyt szybko nie rośnie.

Vannacci deklaruje, że jest gotów do współpracy z obecną premier. Meloni wyklucza jednak przedwyborczy sojusz

Stopa bezrobocia wśród młodych spadła z ponad 40 proc. w ubiegłej dekadzie do ok. 17–18 proc. obecnie (chociaż najzdolniejsi młodzi Włosi wciąż uciekają z kraju w poszukiwaniu lepszego życia). Pojawiają się wreszcie nowe inwestycje infrastrukturalne, a na drogach zmniejsza się liczba tragicznych wypadków.

Meloni próbowała również ulżyć wyborcom, wprowadzając stałe, uproszczone trzy progi podatkowe (podatek IRPEF) i obniżając stawkę drugiego progu z 35 proc. do 33 proc. Wciąż nie wiadomo jednak, czy klasa średnia doceni przy urnach jej starania.

NA PRAWO OD BRACI WŁOCHÓW

Część dawnych wyborców Meloni oskarża ją o zdradę dawnych, prawicowych ideałów. Właśnie dlatego jej główny rywal nie jest przedstawicielem lewicy ani centrum (Elly Schlein z Partii Demokratycznej, liderka największego opozycyjnego ugrupowania, jest przez większość postrzegana jako zdecydowanie zbyt lewicowa). Na największego przeciwnika wyrasta człowiek, który na włoskiej scenie politycznej zajmuje miejsce na prawo od Braci Włochów. Roberto Vannacci, były generał włoskich sił specjalnych, a obecnie europoseł, który mandat zdobył, gdy startował z listy Ligi Matteo Salviniego, systematycznie zyskuje w sondażach. Wprawdzie 57-latek polityką aktywnie zajmuje się dopiero od niespełna dwóch lat, ale jego własne ugrupowanie (Futuro Nazionale, czyli Przyszłość Narodowa) może już liczyć – w zależności od badania – od 7,9 proc. do nawet 10 proc. poparcia.

Vannacciemu popularność przyniosła m.in. wydana przez niego samodzielnie po pandemii COVID-19 książka „Il Mondo al Contrario" („Świat na głowie"), która błyskawicznie stała się bestsellerem. Polityk, który w latach 2021–2022 był attaché wojskowym Włoch w rosyjskiej stolicy, jest nazywany obecnie przez zachodnie media „koniem trojańskim Moskwy". Jasno deklaruje bowiem, że skończy z włoskim wsparciem dla Ukrainy i doprowadzi do zniesienia sankcji wobec Rosji. „Finansujemy Ukrainę, dajemy jej broń, drony, które bombardują rosyjskie rafinerie. W ten sposób uruchamiamy błędne koło, które obraca się przeciwko nam, wpływając na ceny energii. Jak pies, który gryzie własny ogon" – przekonuje jeden z groźniejszych obecnie rywali Meloni, który opowiada się także za tzw. remigracją, czyli masowymi deportacjami imigrantów.

Lewicowe media już rozpowszechniają wiele teorii spiskowych dotyczących źródeł jego politycznego sukcesu. Miały za tym stać służby rosyjskie, francuskie, a nawet ruch MAGA Donalda Trumpa. Ten ostatni publicznie poróżnił się z włoską premier. I tym samym zamiast wsparciem i sojusznikiem, stał się dla niej wyraźnym politycznym obciążeniem.

Czy Meloni uda się pokonać Vannacciego? A może po wyborach będzie zmuszona do wejścia z nim w koalicję? Na razie ambitny były generał deklaruje, że jest gotowy do współpracy z obecną premier. Sama Meloni – jak dotąd – wyklucza jednak przedwyborczy sojusz z nowym rywalem. Jest jednak prawdopodobne, że po przyszłorocznych wyborach Meloni, tworząc koalicyjny rząd, będzie musiała się porozumieć nie tylko z Salvinim, lecz także z Vannaccim.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



FOT. FACEBOOK.COM/GUINNESSWORLDRECORDS

POCHŁONĄĆ BURRITO

Brytyjska influencerka Leah Shutkever ustanowiła po raz trzeci rekord Guinnessa w najszybszym zjedzeniu burrito. W Londynie pochłonęła ponad pół kilo tej potrawy w 30,75 s. Tym samym pobiła poprzedni rekord ustanowiony przez Amerykankę Miki Sudo w 2022 r. (31,47 s). Shutkever jest doświadczoną zawodniczką w konkurencji błyskawicznego spożycia. Zaczynała od wyzwań kulinarnych na YouTube i bicia rekordu najszybszego zjedzenia pomarańczy w czekoladzie.

DZIWACTWA NAUKOWCÓW

Ig Noble to nagrody dla naukowców prowadzących dziwaczne badania. Przyznawane są od 1991 r. Skrót „ig" w nazwie laurów wziął się od angielskiego słowa „ignoble" („niegodziwy"), co rymuje się z nazwiskiem Nobel. W tym roku podczas ceremonii w Zurychu uhonorowano uczonych, którzy badali m.in.: mleko karaluchów, ewolucję pocałunków, testowanie gleby za pomocą bielizny, dmuchanie nosa, pisuary bez pluskania, kradzieże słodyczy dzieciom przez przedstawicieli wyższych sfer.

JELEŃ

Zastępca szeryfa hrabstwa Trinity w Teksasie przeżył chwile grozy. Kiedy patrolował samochodem w nocy teren, natknął się na jelenia, który leżał na drodze. Uznał go za martwego. Tymczasem nagle zwierzę poderwało się na nogi. Przerażony funkcjonariusz krzyknął z przerażenia i uciekł do radiowozu. Jeleń wyszedł z całego zdarzenia bez szwanku i zbiegł do lasu. Scenę uchwyciła kamera w aucie. Wideo zostało zamieszczone w internecie i miało ponad 10 mln odsłon.

DZIECI I MAŁPY

Siedem lat więzienia w zawieszeniu – taki wyrok zapadł w hrabstwie Lincoln w Missouri w sprawie 70-letniej kobiety, która podczas sprawowania opieki zastępczej nad 17-letnią dziewczyną postanowiła ją „odstąpić" komuś w zamian za... małpę. Jak się okazało, skazana już wcześniej bardzo źle ją traktowała (z aktami przemocy włącznie). Ale dotyczyło to też innych jej podopiecznych, których na przestrzeni lat było ponad 200. Kobieta miała też co najmniej siedem małp, ale – jak powiedziała jej biologiczna córka – nie była dla nich milsza niż dla dzieci.

WŁAMANIE

Dwaj zamaskowani złodzieje ukradli cztery obrazy o wartości 9 mln euro z Muzeum Renoira w Cagnes-sur-Mer na Lazurowym Wybrzeżu. Włamali się tuż przed szóstą rano, wycięli dzieła z ram i uciekli. Policja była na miejscu pięć minut później, ale sprawcy zniknęli. Zostawili jedno płótno w ogrodzie. To kolejny głośny skok na francuskie muzeum. W październiku ub.r. doszło do kradzieży królewskich klejnotów z Luwru. ©℗

Filip Memches



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

AI: pieniądze albo życie

Najpierw dobra wiadomość dla pracowników z ludzką inteligencją: globalne firmy technologiczne oraz znane na całym świecie fintechy, takie jak choćby Meta i Klarna, ograniczają planowane zwolnienia spowodowane rozwojem sztucznej inteligencji. Okazało się bowiem, że AI często nie spełnia pokładanych w niej oczekiwań. Przedstawiciele przestarzałego gatunku ludzkiego (to ci, którzy muszą spać, czasem chorują, biorą urlopy i – co gorsza – pensje) nie tylko dzięki AI nie oszczędzają czasu, lecz także muszą go tracić na rozwiązywanie problemów technicznych generowanych przez sztuczną inteligencję. Meta odwołała więc zwolnienia, a Klarna znów zatrudnia ludzi.

Zła wiadomość dla naszego gatunku: AI rozwija się bardzo szybko. I choć cztery piąte firm nie wie do końca, co z tą „rewolucją" zrobić, to gdy w grę wchodzą miliardy dolarów, ten biznes nie zna skrupułów.

Przybywa więc specjalistów, którzy ostrzegają przed lekceważeniem potencjalnych zagrożeń. 27-letni brytyjski matematyk Jacob Coxon – który przez trzy lata trenował systemy stojące za jednymi z najpotężniejszych modeli AI – w ubiegłym tygodniu ogłosił, że odchodzi nie tylko z firmy Anthropic, lecz także z branży.

„Ludzie tworzący sztuczną inteligencję szczerze wierzą, że może ona nas wszystkich zabić do końca dekady" – oznajmił. „To nie jest chwyt marketingowy" – podkreślił Coxon. Warto pamiętać, że Anthropic planuje wart miliardy giełdowy debiut, a nowe informacje o jego wszechpotężnych modelach mogłyby podkręcić popyt. Jest więc dla nas nadzieja. A jeśli te ostrzeżenia są prawdziwe? To mamy jeszcze cztery lata... ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



Kadr z serialu Netflixa „Z miłością, Meghan" („With Love, Meghan")
FOT. NETFLIX

Nieruchomości premium



Joanna Bojańczyk

Na pewnym poziomie statusu mieszkanie, nawet jeśli ma 40 mkw., staje się apartamentem, a dom rezydencją

Uśmiechnięta Meghan Markle alias księżna Sussexu w dżinsach i białej koszuli ukazuje się w drzwiach z ogrodu do obszernej białej kuchni z naręczem świeżo zerwanych kwiatów. – Uwielbiam przygotowywać pokój gościnny. To, co będzie przy łóżku, zdefiniuje moment zaśnięcia. A co czeka w łazience, sprawi, że mój gość będzie mógł wziąć cudną kąpiel na koniec dnia.

Idylliczne dni książęcej pary w kalifornijskiej rezydencji Montecito mijały niezakłócone na wybieraniu miodu z uli, pieczeniu ciasteczek i pozowaniu do zdjęć. Ale serial się skończył i idylla razem z nim: kilka miesięcy po zakończeniu zdjęć trzyhektarowa rezydencja w Montecito, miejsce akcji filmu dokumentalnego (bajeczki) o księciu Harrym i Meghan Markle „Harry i Meghan" z 2022 r., została sprzedana za 25,96 mln dol.

Na serialu, który miał być materiałem promocyjnym książęcej pary, krytyka i publiczność nie zostawiły suchej nitki. Trudno się dziwić: z każdej sceny przydługiego „dokumentu" bije sztuczność.

FLORA BEZ KŁOPOTÓW

Gdyby u nas dostęp do willi na trzyhektarowych działkach był równie łatwy jak w Kalifornii, kolejka celebrytów do zdjęć na ich tle nie miałaby końca.

Ale jako że zarówno z działkami, jak i ze świeżymi polnymi kwiatami poza sezonem mogą być trudności, nasze gwiazdy muszą zadowolić się tapetami w kwietne wzory.

Z kwiatami czy bez nich rodzime podmiejskie siedziby zamieszkane przez znanych z tego, że są znani, konkurują o splendor. Netflix nie robi o nich serialu, ale magazyny wnętrzarskie muszą co miesiąc mieć nowy materiał. Swoje willę, apartament czy zwykłe mieszkanie celebryci chętnie zatem udostępniają. Choć trzeba zaznaczyć, że na pewnym poziomie statusu mieszkanie, nawet jeśli ma 40 mkw., staje się apartamentem, a dom rezydencją, nawet jeśli jest szeregowcem na przedmieściu. Komentariat tak bardzo spragniony jest wieści o prywatnym życiu idoli, że łyknie wszystko.

„Wersow" i „Friz", inaczej Weronika Sowa i Karol Wiśniewski, para youtuberów, sprzedaje swój luksusowy dom. „W pełni umeblowany i gotowy do zamieszkania. To tam powstawały viralowe materiały, a każdy kąt był doskonale znany fanom" – ekscytuje się Pudelek. Mieszkańcy tego domu lubią kwiaty, niekoniecznie żywe, ale na tapecie. Czemu nie? Fototapety umożliwiają cieszenie się florą bez kłopotów i wydatków, których dostarcza ona w postaci żywej. W roli

eprasa.pl c21ff32d6d

kwiecia przy schodach na górę występuje fototapeta przedstawiająca zamglone korony drzew na tle szałwii. W salonie goście mogą napawać się widokiem tapety w tropikalne kwiaty i liście. To fototapeta Flora Expression, „abstrakcyjna kompozycja kwiatowa w nowoczesnym stylu malarskim". Po narodzinach córki Mai, a potem w związku z kolejną ciążą Weroniki para uznała, że potrzebuje większej przestrzeni dla rosnącej rodzinki. Rozglądają się zatem za nowym, bardziej dopasowanym miejscem. Kandydatów na tę atrakcyjną, a także medialną siedzibę z pewnością nie zabraknie.

ŚWIATOWE ŻYCIE

Kto nie miał zaszczytu być zaproszony do Joanny Przetakiewicz, może chociaż w Internecie pooglądać jej mieszkanie, to znaczy willę w Konstancinie.

Stworzona przez Joannę marka La Mania „kojarzy się z elegancją i luksusem". Podobnie można określić jej prywatne wnętrza. „Jest luksusowo i elegancko" – donosi magazyn „Elle Decoration". Dominują beże i czerń, znalazło się także miejsce dla czerwieni oraz złotych akcentów. Nierozpakowana lub zapakowana na wyjazd walizka Louis Vuitton to dowód, że jej właścicielka lubi podróże. Na stole truskawki, sok pomarańczowy, croissanty – w tym domu prowadzi się życie na światowym poziomie.

O tym, że gospodyni jest także osobą czułego serca, świadczą pieszczoty z psem. Zwierzę wygląda na corgi – to była ulubiona rasa królowej Elżbiety. Pospolity kundel w tym wytwornym wnętrzu byłby nie na miejscu.

Garderoba to w zasadzie pomieszczenie prywatne, ale znani i lubiani chętnie udostępniają je ciekawym. Pochwalić się markowymi torebkami, szpilkami Louboutina to pokusa, której trudno nie ulec.

Niełatwo oprzeć się uczuciu zachwytu, jaki ogarnia przeciętnego mieszkańca M4 na widok garderoby w apartamencie 27-letniej aktorki Julii Wieniawy. Złoty regał prezentuje torebki i buty niczym dzieła sztuki. Eksponaty ustawione są tak, żeby logo było widoczne. Nie po to inwestuje się tysiące, żeby ukrywać się ze statusem po kątach. U pani Wieniawy dzięki tylnej lustrzanej ścianie można nawet podwoić liczbę posiadanego markowego sprzętu. Sprytny trik!

Sypialnia pani Julii to hollywoodzki glamour w czystej postaci: toaletka połyskująca złotymi dodatkami, wielkie okrągłe lustro z podświetleniem, jakie widuje się w garderobach hollywoodzkich aktorek. Szklane drzwi prowadzą do strefy relaksu: łazienki z wanną i szafką z ryflowanymi, beżowymi frontami. Nad całością zawisła kryształowa lampa.

Robert i Anna Lewandowscy mają apartamenty w kilku miastach Europy, co jest zrozumiałe przy trybie życia piłkarza. Do Polski wracają zawsze z radością. „Jednym z miejsc, do których mają szczególny sentyment, jest luksusowy apartament w Warszawie" – donosi portal Kozaczek. Oboje mają w żyłach gen sportowy – w tej sytuacji siłownia jest oczywistym wyposażeniem domu. A z niej widok na ogród – to już wartość dodana; patrzenie na zieleń łagodzi trud pracy nad umięśnieniem.

W BIBLIOTECE I KUCHNI

Osoby znane z tego, że są znane, lubią pochwalić się czymś więcej niż włoską kanapą lub kuchnią od designera. W końcu są też istotami wysoce uduchowionymi: kochają literaturę, sztukę. Pochwalić się biblioteką to coś więcej niż glazurą w łazience, nawet włoską. Fotografowanie się na tle książek dodaje mądrości i powagi. Najlepiej mieć książki w domu na wszelki wypadek, a nuż pojawi się dziennikarz pisma wnętrzarskiego z ekipą foto...

„Pokaźną domową biblioteczką" chwali się Martyna Wojciechowska (pokaźna, a więc dlaczego biblioteczka, nie biblioteka?). Pełne książek pokoje z dumą pokazuje w sieci gwiazda TVN, reżyserka pokazów mody, Katarzyna Sokołowska.

Kuchnia to w zasadzie pomieszczenie przeznaczone do gotowania. Tylko w zasadzie. Oglądając mieszkania znanych i lubianych, można dojść do wniosku, że rzadko bywa ono używane zgodnie z pierwotnym przeznaczeniem. Gładkie, jasne i lśniące powierzchnie szafek są jakby stworzone do tego, by stały się tłem do zdjęć w kolorowym magazynie. Ale też kuchnia potrafi ocieplić wizerunek każdego – wystarczy pochwalić się zupą ogórkową i skrzywić na ostrygi. Ewy Wojciechowskiej nie podejrzewamy o długie godziny spędzone nad rondlem z pieczenią, ale na intymnym portrecie z garnkiem prezentuje się doskonale.

W przededniu sprowadzenia się do nowego domu jest Agnieszka Kaczorowska. Jej nowa kuchnia będzie urządzona w stylu quiet luxury, cokolwiek to znaczy. – To jest coś, co daje mi komfort życia i taki spokój, że wchodzę do domu, tam jest kuchnia i tam jest porządek – mówiła Agnieszka Kaczorowska w rozmowie z Bartoszem Boruciakiem. Zabudowa pod sam sufit, no i oczywiście wyspa wykończona ryflowanym drewnem, które od kilku sezonów jest jednym z najmocniejszych trendów wnętrzarskich.

Ze schematu wyłamuje się Katarzyna Skrzynecka, która chętnie spędza czas na gotowaniu (rzeczywistym) z córką, o czym świadczą liczne zdjęcia na Instagramie.

U Beaty Kozidrak kuchnia jest pomieszczeniem ekspozycyjnym. Znajdziemy tu pamiątki z Hiszpanii, akcesoria z drewna i wikliny oraz barwną porcelanę.

Wprawdzie dawno nie słyszeliśmy o wielkich rolach Weroniki Rosati, ale aktorka chętnie prezentuje Plotkowi apartament w Los Angeles, w dzielnicy „znanej z luksusowych apartamentów", jak twierdzi Plotek, blisko oceanu. Materiał nie dostarcza wielu informacji o wnętrzu, trudno o zaskoczenie, że w salonie stoją kanapa i niski stolik. Oglądamy głównie zdjęcia aktorki („Z tego, co pamiętam, to ten apartament to pokój z aneksem kuchennym i sypialnią" – komentuje internautka).

NA MAKSA

Z grona miłośników minimalizmu i designu made in Italy wyłamuje się Magda Gessler. Jej mieszkanie nie zaskoczy bywalców restauracji ani fanatyków jej kuchennych rewolucji. Znają dobrze ten styl – trudno odmówić Magdzie Gessler konsekwencji. Mistrzyni kuchni o zapędach imperatorskich dobrze się czuje, mając wokół dużo przedmiotów, dużo koloru oraz męża Waldemara, który najwyraźniej w tym otoczeniu czuje się doskonale. Dużo tu wszystkiego: koloru, mebli, tkanin, bibelotów, porcelany, kwiatów, ozdób, drobiazgów. Estetyka maksymalizmu w pełnym rozkwicie. „Brakuje tlenu" – komentuje internautka. Gospodyni nie wygląda na osobę, której czegoś brakuje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c21ff32d6d



PROSTO ZYGZAKIEM

Tusk straszy. I nic nie robi

PIOTR GABRYEL

Wiemy, co planujesz, nie rób tego" – zwrócił się do Władimira Putina wicepremier Polski Radosław Sikorski, przestrzegając go przed „wielką nieostrożnością i szaleństwem", którym byłoby „testowanie jedności NATO jakimiś nieprzemyślanymi działaniami". A premier Tusk dodał: „Najbliższe pół roku będzie rozstrzygające i musimy być przygotowani jako Polska i NATO na różne scenariusze. Nie możemy wykluczyć prowokacji ze strony Rosji wobec któregoś z członków NATO".

Słowa te brzmią groźnie. Wszelako dlaczego w związku z tym szef rządu nie zachowuje się adekwatnie do ogłaszanych przez siebie zagrożeń? Jeśli bowiem uważa, że wkrótce dosięgnie nas wojna, to dlaczego tak niewiele robi, żeby Polskę i Polaków do tej wojny dobrze przygotować?

Dlaczego np., skoro zagrożenie atakiem Rosji jest aż tak bardzo prawdopodobne, szef rządu do tej pory nie przywrócił zawieszonego przecież przez siebie w 2009 r. poboru do wojska i nie doprowadził do szkolenia na masową skalę wszystkich Polaków zdolnych do służby w armii?

Dlaczego do tej pory szef rządu nie doprowadził do przygotowania aktualnej Strategii Bezpieczeństwa Narodowego – w takiej wersji, którą zaakceptowałby prezydent? Choć w tym przypadku to także pytanie do głowy państwa. I w związku z tym Polska wciąż działa w oparciu o Strategię z… 2020 r., która, zważywszy na to, co od tamtej pory zmieniło się w sposobie prowadzenia wojen, a więc i przygotowań do nich, a wojna na Ukrainie dowodzi, że zmieniło się naprawdę sporo, z pewnością nie gwarantuje nam właściwego wykorzystania naszych zasobów.

Ba, dlaczego Polska nadal, mimo że minęło już niemal pięć lat od wybuchu wojny za naszą wschodnią granicą, nie ma tak elementarnego dokumentu jak Strategia Rozwoju Przemysłu Obronnego, a prace nad nim wciąż się ślimaczą? A to może oznaczać, że przez cały ten czas wydajemy pieniądze na broń, na którą wydawać ich nie powinniśmy, a nie wydajemy na broń, na którą wydawać powinniśmy – na co zresztą zwracają uwagę Ukraińcy, np. w kontekście naszej obrony przeciwlotniczej, a akurat na tym to się oni znają. Ba, dlaczego wciąż nie mamy dostatecznej ilości amunicji wielkokalibrowej? Dlaczego wciąż nie buduje się schronów? A Polska Grupa Zbrojeniowa nadal specjalizuje się (z nielicznymi, chlubnymi wyjątkami) w przepalaniu pieniędzy podatników – tych z bieżących podatków i tych z zadłużania państwa w ramach długów krajowego i unijnego, czyli SAFE?

A zatem jak to jest: szef rządu straszy nas wojną i nie przygotowuje nas do niej, bo tego nie potrafi, czy żongluje tymi groźbami dla własnego interesu politycznego? ©℗



NOTATNIK MALKONTENTA

W obronie prywatności

ŁUKASZ WARZECHA

Przed prezydentem kolejny test na podejście do spraw wolności i prywatności – choć chyba było ich już dość, żeby przewidzieć rezultat. 4 września do Pałacu Prezydenckiego trafiła ustawa o zmianie ustaw w celu wzmocnienia nadzoru sądowego nad kontrolą operacyjną. Ta regulacja w niewielkim stopniu, ale jednak odpowiada na apele i alarmy organizacji zajmujących się ochroną prywatności obywateli, które od lat wskazują, że nadzór nad inwigilacją w Polsce jest iluzoryczny, zaś liczba służb, które mają prawo prowadzić kontrolę operacyjną, jest porażająca. To policja, Straż Graniczna, Biuro Nadzoru Wewnętrznego MSWiA, Żandarmeria Wojskowa, Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego, Centralne Biuro Antykorupcyjne, Służba Kontrwywiadu Wojskowego, Służba Celno-Skarbowa, Służba Ochrony Państwa. Przepisy w dodatku maksymalnie im inwigilację ułatwiają pod względem technicznym. Wszystko oczywiście dla naszego bezpieczeństwa.

W Polsce nadzór nad inwigilacją jest iluzoryczny, a liczba służb, które mogą prowadzić kontrolę, jest porażająca

Ustawa pozwalałaby sędziom, którzy muszą kontrolę operacyjną zatwierdzać (są to sędziowie sądów okręgowych), żądać jej bieżących rezultatów, zapoznawać się w jej trakcie z pozyskanymi materiałami oraz w dowolnym momencie taką kontrolę zakończyć (to uprawnienie dostaje również prokurator). Trudno raczej oczekiwać, że przeciążeni sędziowie przede wszystkim z jednego sądu w Polsce – Sądu Okręgowego w Warszawie, właściwego ze względu na siedzibę wielu służb – nagle zaczną się zajmować w szczegółach nadużywaniem uprawnień przez służby. Jednak przynajmniej dostaliby taką możliwość i może choć czasami by z niej skorzystali.

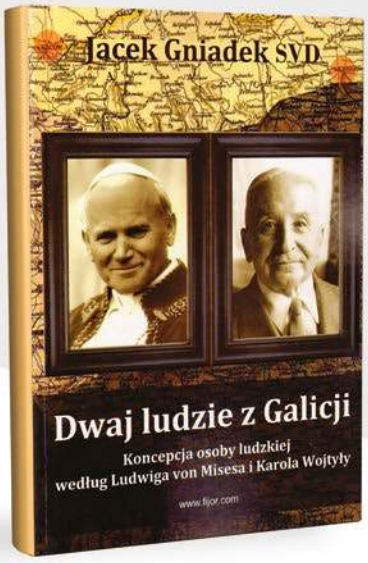
Niestety, obawiam się, że prezydent może w tej sprawie zadziałać zgodnie ze schematem, jaki wypracował: broni wolności i prywatności obywateli jedynie wtedy, gdy może w ten sposób uderzyć w koalicję (np. w sprawie implementacji aktu o usługach cyfrowych). W tym wypadku ustawa została przez koalicję stworzona, a PiS w głosowaniu się wstrzymał, więc raczej trudno się spodziewać podpisu. A szkoda, bo to nie służbom brakuje kompetencji, ale obywatelom brakuje prawa do obrony swojej prywatności i wolności. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

JACEK GNIADEK SVD: „DWAJ LUDZIE Z GALICJI” ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~1040~~ ZŁ

517,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 523 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail
- Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki czemu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@pmpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon.-pt. od 10:00 do16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl c21ff32d6d



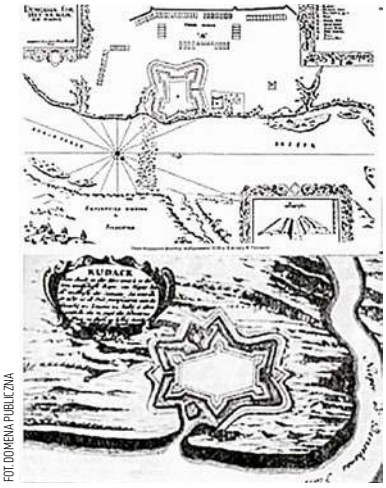
JACEK KOMUDA

POCZET POLSKICH WODZÓW

Polski Archimedes

Fryderyk Getkant to pierwszy z całej kompanii inżynierów i cudzoziemskich specjalistów, bez których trudno sobie wyobrazić wojskowość Rzeczypospolitej w XVII w. Pochodził z Nadrenii i został zaciągnięty do służby wojskowej przez króla Władysława IV w 1634 r., w trakcie przygotowań do wojny ze Szwecją mającej na celu odzyskanie utraconych portów w Prusach Królewskich i Książęcych. Pierwszymi jego pracami były plany fortyfikacji Pucka i Tczewa, później Grudziądza, Gniewu i Szpicy Montawskiej. Najtrudniejszą misję wykonywał w zajętej przez Szwedów Piławie, do której zakradł się w przebraniu, aby sporządzić dokładny plan umocnień miasta i portu. Po zawarciu rozejmu w Sztumskiej Wsi w 1635 r. i odzyskaniu miast Getkant sporządził mapę Zatoki Puckiej, której do dziś używają historycy polskiej floty i wojskowości. Pokazywała ona, że Mierzeja Helska była już wówczas stałym lądem, a nie ciągiem wysepek, a zarazem, że tak jak dziś Zatokę przegradzały niebezpieczne mielizny.

Największym dziełem pisanym tego inżyniera i kartografa był atlas „Topographia practica", zawierający liczne mapy miast polskich (jak Wilno) i szwedzkich. Niestety, praca została zrabowana w czasie „potopu" przez Szwedów i obecnie znajduje się w sztokholmskim Krigsarkivet. Natomiast największą fortyfikacją wykonaną przez Getkanta w 1639 r. była druga twierdza Kudak nad Dnieprem, której powstawanie nadzorował wspólnie z Eliaszem Arciszewskim, według planów Johana Pleitnera. Była to już druga forteca mająca trzymać w ryzach kozaków; pierwsza została przez nich zdobyta i zniszczona w 1635 r. Dzieło Getkanta wytrzymało oblężenie buntowników Bohdana Chmielnickiego, jej dowódca Krzysztof Grodzicki bronił się aż do 2 października 1648 r., kiedy zmusiła go do kapitulacji nadchodząca zima i wieść o klęsce armii koronnej pod Piławcami, a więc braku nadziei na odsiecz.



FOT. DOMENA PUBLICZNA

Getkant pozostał na zawsze w Polsce, zajmując się artylerią, a także przygotowaniami do wojny z Turcją, którą planował król Władysław IV Waza. On też zapewne przeniósł bohatera na stałą posadę jako „cejgmajstra albo kontrolera", artylerii koronnej. Bezpośrednim zwierzchnikiem Getkanta był starszy nad armatą koronną Krzysztof Arciszewski. Kiedy jednak Getkant został wysłany z częścią artylerii do Lwowa, Arciszewski stwierdził, iż nie zgadzają się rachunki, a bohater nie mógł się wyliczyć z kwot pobranych na rachunek zakupów dla arsenału lwowskiego. Starszy nad armatą zażądał wówczas pokazania kwitów i papierów, Getkant zaś nie tylko ich nie przedstawił, lecz także samowolnie wyjechał do Gdańska. Wówczas Arciszewski kazał go aresztować. Nie wiadomo, jak skończyła się ta przykra sprawa, wydaje się jednak, że nowy król Jan Kazimierz musiał darować owe malwersacje, gdyż Getkant po ustąpieniu Arciszewskiego i śmierci jego bratanka Mikołaja, obersztlejtnanta artylerii, znalazł się znowu w armii koronnej w czasie wojny z kozakami i Tatarami. Przede wszystkim walczył w bitwie pod Beresteczkiem w 1651 r., a trzy lata później awansował na obersztlejtnanta.

Jego służba potoczyła się w zwykły sposób. Przeszedł na stronę szwedzką po oblężeniu Krakowa w 1655 r. albo też został wzięty do niewoli i zmuszony do zmiany strony, podobnie zresztą jak uczyniła cała armia koronna łącznie z hetmanami. W czasie oblężenie Jasnej Góry pomagał Szwedom prowadzić ostrzał klasztoru. Nie wiadomo, kiedy dokładnie powrócił na służbę królewską, jednak w 1658 r. brał udział w oblężeniu Torunia, gdzie – jak podaje Stanisław Herbst – skonstruował ciekawy moździerz ziemny w postaci studzienki wykopanej w gruncie i ocembrowanej drewnem. Można było z niego wystrzeliwać pociski ogromnej wagi, wiązki granatów, kamienie młyńskie, materiały zapalające, a nawet ładunki chemiczne.

Za zasługi, w 1663 r., Getkant został nagrodzony dochodami z przewozu przez Wisłę pod Warszawą oraz sześcioma łanami w ekonomii malborskiej, a na koniec otrzymał stopień pułkownika artylerii. Niestety, w wyniku pożaru we Lwowie, w którym mieszkał, utracił wszystkie prace, nawet te pozostające w rękopisie. Zmarł załamany w trzy lata później, a dzięki dziełom Kazimierza Siemienowicza, Ernesta Brauna i Józefa Jakubowskiego, gdzie opisywano jego wynalazki, zyskał sławę „polskiego Archimedesa". ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

JAECOO 5 HYBRID



FOT. JAP

Wyrazisty wygląd, przestrzenna kabina, niezła dynamika jazdy, dobry stosunek ceny do jakości, siedmioletnia gwarancja, mało precyzyjny układ kierowniczy, komfortowe zawieszenie oraz... stosunkowo niskie spalanie dzięki pełnej hybrydzie szeregowo-równoległej – to najważniejsze cechy hybrydowej wersji chińskiego kompaktowego SUV-a.

Odmianę spalinową (J5) oraz elektryczną (E5) opisywałem już wcześniej na łamach „Do Rzeczy". Teraz czas na najnowocześniejszy rodzaj napędu, czyli hybrydę samoładującą (HEV). Pod maską pracuje czterocylindrowy silnik 1.5 T-GDI połączony z silnikiem elektrycznym.

Łączna moc tego układu wynosi w testowanym modelu 224 KM, a maksymalny moment obrotowy to 295 Nm. Mierzące 438 cm długości, 165 cm wysokości i 186 cm szerokości (bez lusterek) Jaecoo 5 Hybrid na sprint od zera do 100 km/h potrzebuje 7,9 s. Prędkość maksymalna wynosi zaś 175 km/h. Auto oszczędnie porusza się zwłaszcza po mieście (udało mi się zejść do średniej 4,3 l/100 km). Średnie spalanie podczas naszego testu w cyklu mieszanym wyniosło ok. 5,7 l/100 km. Prześwit wynosi 17,5 cm, co pozwala nie tylko na pokonywanie w mieście wysokich krawężników, lecz także na zjazd na drogi bez asfaltu. O off-roadzie można zapomnieć, bo model występuje wyłącznie z napędem na przednią oś.

Auto bardzo sprawnie reaguje na naciśnięcie pedału gazu. Nie jest to jednak model stworzony z myślą o tym, by kierowca miał wielką frajdę ze sportowej jazdy (choć do wyboru są dwa tryby jazdy: ekonomiczny i sportowy, a ten ostatni usztywnia nieco auto). Układ kierowniczy sprawia jednak wrażenie mało precyzyjnego. Auto jedzie we wskazanym kierunku, bez wielkich emocji. Jest za to wygodne. Pasażerowie docenią miękko zestrojone zawieszenie – podobnie jak w innych modelach marki – które sprawia, że auto sprawia wrażenie, iż płynie po drodze.

Przestrzeni w środku jest mnóstwo zarówno na przednich fotelach, jak i na tylnej kanapie (wysokość kabiny w drugim rzędzie wynosi 132 cm, a szerokość drugiego rzędu siedzeń to 149,2 cm). Wrażenie przestronności wnętrza potęguje duży dach panoramiczny o powierzchni 1,45 mkw. Zastosowane materiały robią dobre wrażenie. Pierwsze skrzypce na desce rozdzielczej gra ekran systemu multimedialnego o przekątnej 13,2 cala. Kierowca ma do dyspozycji cyfrowy zestaw wskaźników o przekątnej 10,25 cala. Niestety, w tym modelu Chińczycy nie naprawili jeszcze wady występującej powszechnie w markach z Państwa Środka, czyli oprogramowania, które pokazuje średnie spalanie wyłącznie za ostatnie 50 km – nie da się więc np. sprawdzić średniego spalania od ostatniego tankowania lub uruchomienia pojazdu. Bez zarzutu spisuje się za to bezprzewodowa łączność z systemami Android Auto czy Apple CarPlay. Bagażnik ma pojemność 410 l (do dachu), a po złożeniu oparć rośnie do 1214 l.

Jaecoo 5 Hybrid występuje w dwóch wersjach wyposażenia. W wariancie tańszym (Comfort) auto kosztuje 119,5 tys. zł. Cena wersji Premium – z dachem panoramicznym, systemem kamer 540 stopni, elektrycznie otwieraną klapą bagażnika, systemem audio z ośmioma głośnikami oraz wentylowanymi przednimi fotelami – wynosi 136,5 tys. zł.

SAMSUNG OLED S99H



Oszałamiająco dobry obraz, niesamowicie wysoki kontrast, smolista czerń, bardzo dobry dźwięk, znakomita matowa powłoka, szybki system operacyjny, ciekawe wzornictwo, a także świetne parametry zarówno do oglądania transmisji sportu, jak i grania w najbardziej wymagające tytuły – to największe zalety flagowca firmy Samsung.

Nigdy jeszcze nie widziałem tak dobrego telewizora tego południowo-koreańskiego producenta. Jest też wielce prawdopodobne, że jest to obecnie najlepszy telewizor na rynku. W wielu profesjonalnych rankingach zdeklasował bowiem flagowce konkurentów.

Te zachwyty – zarówno moje, jak i ekspertów z różnych krajów – to w dużej mierze zasługa panelu QD-OLED oraz nowoczesnego procesora AI NQ4 Gen3. W porównaniu z wersją z ubiegłego roku ulepszono tu m.in. matową powłokę Glare Free, która nie tylko nie przypomina lustra, lecz także potrafi wyświetlać istotnie jaśniejszy obraz niż dotąd. Efekt? Nawet w bardzo nasłonecznionym lub oświetlonym salonie wszelkie refleksy są skutecznie rozpraszane, a wyświetlany na ekranie obraz nadal pokazuje realistyczne kolory (a dokładniej 2140 barw certyfikowanych przez Pantone). Inżynierom Samsunga udało się osiągnąć ten efekt, nie rezygnując z szerokich kątów widzenia oraz głębokiej czerni (choć trzeba szczerze zaznaczyć: jest ona w dzień delikatnie rozjaśniona).

Wspomniany procesor – wykorzystujący 128 sieci neuronowych – sprawia, że odwzorowanie detali jest po prostu rewelacyjne. Zaawansowany układ klatka po klatce podnosi bowiem rozdzielczość materiału źródłowego do poziomu bliskiego 4K. Na pochwałę zasługują też niski input lag, wysokie odświeżanie i technologia VRR – te parametry docenią fani wszelkich sportów oraz zagorzali gracze. Upłynniacz ruchu AI poprawia z kolei ostrość i płynność ruchu takich obiektów jak piłka (sztuczna inteligencja dosłownie dorabia brakujące klatki filmu).

Samsung OLED S99H może zdobić ścianę, nawet gdy akurat nic na nim nie oglądamy. Specjalnie zaprojektowana ramka sprawia, że telewizor wygląda niczym obraz, który „unosi się w powietrzu" (jeśli komuś akurat ten bajer nie jest do życia potrzebny, to może kupić wariant S95H – wówczas dostaje się ten sam panel, ale z tradycyjnym designem).

Minusy? Nadal brakuje wsparcia dla Dolby Vision. Dla wielu wadą będzie też cena jeszcze wyższa niż w przypadku flagowców konkurencji.

OLED S99H w wersji o przekątnej 55-cali kosztuje 9299 zł. Ten sam model o wielkości 65-cali został wyceniony na 15 599 zł. A największy wariant – o przekątnej ekranu wynoszącej 77 cali – to wydatek rzędu 19 899 zł.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ **JACEK PRZYBYLSKI**

eprasa.pl c21ff32d6d



MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUZIK I ANNA POPEK Z D. CHRUZIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Smaki Hiszpanii

Ostatnie dni wakacji spędziłyśmy razem na Costa del Sol w Hiszpanii. Wspólne wakacje sprawiają, że powracają w nas wspomnienia naszych dziecięcych chwil, spędzonych wspólnie nad Wisłą.

Dużo rozmawiałyśmy i oczywiście wspominałyśmy smaki, które kiedyś nam towarzyszyły. Pamiętamy śliwki zapiekane pod pierzynką z cynamonowej kruszonki, przyrządzane nam przez babcię i podawane z zimnym mlekiem, ciasto drożdżowe ze śliwkami, no i oczywiście powidła śliwkowe, które robiła cała rodzina na zapas zimowy. Natomiast w Hiszpanii próbowałyśmy wszystkiego, z czego ten kraj słynie. Numer jeden to jamón de bellota – długo dojrzewająca szynka z półdzikich świń, tuczonych żołędziami, potem znakomite kozie sery twarde i półtwarde, pyszne pomidory oraz marynowane karczochy. Osobny rozdział to ryby i owoce morza z kalmarami na czele – najbardziej przez nas ulubionymi. W sklepie, który był nieopodal, można było także samemu wycisnąć sobie sok z granatów i pomarańczy – coś wspaniałego, słodkiego, intensywnego w smaku. Hiszpanie uwielbiają jeść i przykładają dużą wagę do jakości produktów. Zresztą ich rodzinne zwyczaje zakładają wspólne długie biesiadowanie.

Nasza znajoma hiszpańska rodzina raz w roku przez kilka tygodni sierpnia spędza czas razem w miejscowości, z której się wywodzi. Na zdjęciu z najbliższymi członkami rodziny było kilkadziesiąt osób. Tyle mniej więcej, ile na naszym zjeździe Chruzików – z tym że on odbył się do tej pory raz w historii.

Kuchnia hiszpańska jest różnorodna i bardzo ciekawa w smaku, ale potrawy nie są skomplikowane. Dobrym pomysłem np. jest błyskawiczna salsa – potrzebny jest do tego specjalny ceramiczny talerzyk z ostrym, tarkowanym dnem. Można na nim zetrzeć czosnek, potem pomidora, posolić i wymieszać z oliwą, którą Hiszpanie mają wybitną.



Tymczasem podajemy przepis na tortilla de patatas, czyli hiszpański omlet jajeczny z ziemniakami.

Tortilla de patatas

• 4 ziemniaki średnie, mogą być ugotowane poprzedniego dnia • 50 ml oliwy z oliwek • 1 mała cebulka • 6 jajek

Ziemniaki kroimy na cienkie plasterki, na rozgrzaną patelnię wylewamy oliwę, wykładamy plasterki ziemniaków, podsmażamy z każdej strony przez ok. 15 min. Dodajemy pokrojoną w kosteczkę cebulę, smażymy jeszcze kilka minut. Jajka roztrzepujemy w większej misce, dodajemy sól, przekładamy do jajek podsmażone ziemniaki i cebulkę, mieszamy i przekładamy na rozgrzaną patelnię. Smażymy jeszcze kilka minut z każdej ze stron. Podajemy ze świeżymi warzywami. ©℗

FOT. ADOBE STOCK



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Elegancka matka

Wydawało się, że pani Mróz-Gorgoń pobiła rekordy absurdu w temacie bełkot pseudonaukowy. Muszę jednak przyznać, że „tradycyjna chlebowość" ma pewien wdzięk, a „polski płaskiz" nowocześniej i krócej wyraża zachwyt krajobrazem Mazowsza, który pamiętamy z wierszy Krzysztofa Kamila Baczyńskiego. Tylko nie wiadomo, czy to Mazowsze pani MG miała na myśli.

Mazowsze. Piasek, Wisła i las. Mazowsze moje. Płasko, daleko.

Człowiek, który jak ja długo zajmował się modą, nie jest zdziwiony frazeologicznymi pomysłami naukowczyni z Wrocławia (czy jest ona prawdziwą profesor, wkrótce się okaże).

Otóż mimo że moda istnieje jak świat światem, czyli zanim język angielski podbił kontynenty, to dzisiaj nie da się opisać sukienki, butów czy płaszcza bez języka angielskiego. Ten został międzynarodowym językiem opisującym ubrania. Dziwne, bo przecież to niby Francja wciąż uchodzi za stolicę mody, to jest chciałam powiedzieć fashion. Ale kto zna francuski? Jakieś kilka starszych pań, na przykład ja.

Z agencji Fashion Boulevard Events otrzymuję newslettery, które zawiadamiają mnie o eventach fashion i off fashion oraz designer sample sale'ach. Dowiaduję się, że Young Polish Designer Foundation wręczy Fashion Designer Awards. Otrzymuję zaproszenie na event zatytułowany „let's talk about fashion", powinnam zainteresować się Art & Fashion Festival, ewentualnie wziąć udział w Fashion Week Philosophy. Eventem, którego żadna fashionistka nie mogła przegapić, jest top model, gromadzący wszystkie dziewczyny cool i sexy. Pewna agencja public relations w najświeższym komunikacie zawiadamia, że tej jesieni modne są oversizowe płaszcze, loafersy, cardigany oraz pencil skirts.

Autorzy tych potworków językowych, głównie agencje public relations (tu niestety muszę użyć angielszczyzny), zapewne myślą, że im więcej angielskiego, tym bardziej światowo. Skutek? Prowincjonalizm i bezradność słowotwórcza.

Ale ciekawe, bo te części ubrania, które obecnie czasopisma nazywają po angielsku, mają swoje polskie nazwy. Pencil skirt to wąska spódnica, loafersy to mokasyny, cardigan to rozpinany sweter. Problem tylko taki, że redaktorki parające się modą nie znają tych słów. „Trzeba mieć elegancką matkę" – mówi na to Barbara Hoff. Elegancka matka nie nazwałaby wąskiej spódnicy ołówkową, rozpinanego swetra kardiganem ani polskiego pejzażu płaskizem. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O uległości

Wiele z tego, co opisał Michel Houellebecq w słynnej powieści „Uległość" (2015 r.) o islamizacji Francji, kryzysie europejskiej tożsamości i rozpadzie systemu wartości, zaczyna dziać się naprawdę.

W poniedziałek, 7 września, Wieża Eiffla była zamknięta z powodu strajku pracowników. Protestowali przeciwko wykluczeniu kobiet z pracy dwa dni wcześniej, w sobotę, z powodu wizyty hinduistycznych mizoginów z Indii. Panowie przybyli do Francji z powodu otwarcia hinduskiej świątyni w Bussy-Saint-Georges pod Paryżem. To pierwsza tradycyjna świątynia hinduska we Francji zbudowana z indyjskiego kamienia według klasycznych zasad architektury. Obiekt ma ponoć działać również jako ośrodek edukacji, spotkań i dialogu międzyreligijnego.

Około 100 dostojników religijnych z Indii, którzy przybyli na uroczystość inauguracyjną, postanowiło zwiedzić w sobotę Wieżę Eiffla. Organizatorzy uroczystości w związku z wierzeniami i zasadami religijnymi, swoimi i swoich gości, rezerwując dla nich bilety na zbiorową wycieczkę, zastrzegli, że podczas wizyty nie życzą sobie oglądać kobiet. Firma SETE, która organizuje i odpowiada za ruch turystyczny na wieży, zamiast przegonić brodatych mizoginów na cztery wiatry, zastąpiła mające pracować na wieży w sobotę kobiety mężczyznami. Innym paniom, które nie mają bezpośredniego kontaktu z turystami, polecono, by „nie rzucały się w oczy". Wszystko się dzieje w superpostępowym kraju, w którym niewiasty cieszą się równouprawnieniem i nieskrępowaną wolnością. A co z „Liberté, égalité, fraternité"? Przyjeżdżają jacyś dziwni faceci w gości do Paryża i żądają od tubylców, żeby, łamiąc swoje własne zasady i obyczaje, a pewnie i prawo, ugięli się (u siebie w domu!) przed hinduistyczną gynofobią.

Zrobił się skandal, wszczęto śledztwo i mam błogą nadzieję, że ktoś za to beknie. Włosi, którzy zasadniczo za Francuzami nie przepadają, szeroko i nie bez złośliwości opisują i obśmiewają to, co się stało na Wieży Eiffla. Powinni śmiać się nieco ciszej.

Dziesięć lat temu, gdy w Italii rządzili progresiści pod wodzą premiera Matteo Renziego, do Rzymu zjechał uchodzący za postępowca prezydent Iranu, Hassan Rouhani, w programie wizyty znalazła się wycieczka do Muzeów Kapitolińskich. Zdumionym oczom Włochów media pokazały obrazek, na którym obaj mężowie pozują na tle słynnej rzeźby Marka Aureliusza na koniu. Znajdujące się w pobliżu „nagie" posągi gospodarze opakowali białymi pudłami, żeby nie urazić uczuć dostojnego perskiego mizogina, schlebiając jego fobiom. ©℗



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Berek gra w chowanego

Kiedy już opadły emocje, przykrywane awanturą o kryptowaluty, okazało się, że wybrany na sędziego Trybunału Konstytucyjnego pan Maciej Berek został postawiony w dziwnej sytuacji. Rzeczony minister miał i tak dziwne stanowisko, gdyż zajmował się – w rządzie – wdrażaniem… polityki rządu. Tak czy siak: chyba zatęskni za poprzednią funkcją.

Właściwie nie wiadomo, dlaczego Tusk uparł się właśnie na niego, wszak jego kandydatura ma same wady. Musi mieć pan Berek opinię jakiegoś twardziela, co to przyjdzie do Trybunału, posunie wysoce gabarytowego prezesa TK, Bogdana Święczkowskiego. Bo cała reszta przemawia przeciwko nowo mianowanemu sędziemu.

Teraz dojdzie do pewnego scenariusza: jego kandydatury nie zatwierdzi prezydent Nawrocki, gdyż uparcie się Tuska na tego akurat kandydata ma wszelkie możliwe formalne wady. Kandydat na sędziego TK, Maciej Berek, nie spełnia nie tylko miękkich kryteriów niezawisłości, ale nawet formalnych warunków kwalifikujących kandydata do Trybunału. Jest to więc piłka podrzucona prezydentowi. Bez takich braków prezydent Nawrocki musiałby się mocno wysilać, by nie zatwierdzić kandydata większości sejmowej. Notabene te „podwyższone" kryteria uchwaliła obecna większość, by przy najbliższej nominacji zaprzeczyć swoim warunkom stawianym jako przeciwieństwo dotychczasowego „upolitycznienia" sędziów Trybunału w wykonaniu PiS.

Można się więc spodziewać kolejnego ślubowania do ściany czy też do marszałka Czarzastego, co na jedno wychodzi – nie tylko formalnie. No dobrze, a co potem? Podejrzewam, że czekają nas dwa Trybunały. Jedyna niepewność polega tylko na tym, który ze składów obu Trybunałów Konstytucyjnych będzie siedział w jego oficjalnej siedzibie. Bo może kwalifikacje pana Berka mają polegać na tym, że ten dokona łomiarskiego wtargnięcia (w asyście policji), tak jak to się odbywało, czy to w przypadku TVP, czy KRS-u? Może to jest cała rola nowego kandydata i może stąd ta cała awantura o przegraną przecież (formalnie) sprawę?

Jeśli tak, to znowu będziemy mieli do czynienia z kolejną rundą obniżania powagi państwa, w które wierzy już – po ponad 30 latach uprawiania III RP – coraz mniej Polaków. Co prawda, awantura jest ostra, ale nie o Polskę. Awantura jest o plemiona i uczestniczą w niej już tylko zagorzali akolici każdego z nich. Ofiarą pada Polska jako państwo, jeśli nie jest traktowana poważnie przez jego obywateli, a co dopiero mówić o jego przedstawicielach, to dlaczegóż miałaby być traktowana poważnie przez jakiegokolwiek partnera (?) zewnętrznego? ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



DARIUSZ WIEROMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Pani minister szczeka

Polski parlamentaryzm przechodzi w ostatnich latach niepokojącą ewolucję. Rezultatem tych przemian wydaje się zachowanie posłanki Dominiki Chorosińskiej, która na przemówienie wicepremiera Władysława Kosiniaka-Kamysza zareagowała, w Sejmie, donośnym szczekaniem. Ten język komunikacji nie jest z pewnością zrozumiały dla większości wyborców Prawa i Sprawiedliwości, których posłanka Chorosińska reprezentuje. Zapewne z tego powodu wyjaśniła ona swe zachowanie na portalu X. „Jedyny język, jaki rozumieją @donaldtusk i @kosiniakkamysz, to szczekanie psów z Kłodzka" – wytłumaczyła posłanka. Okazuje się więc, że nie tylko, wzorem książkowego doktora Dolittle, opanowała ona mowę psów, lecz także poznała jej regionalne odmiany. Zamiarem ujadającej posłanki miało być przypomnienie politykom obozu rządzącego o tzw. aferze kłodzkiej. Dotyczy ona popełnianych przez lata przestępstw gwałtów na dzieciach, a także zoofilii. Uczestnicząca w tych przestępstwach osoba była, przez wiele lat, prominentną działaczką lokalną Platformy Obywatelskiej. Gruntowne wyjaśnienie tej sprawy przez media i polityków obozu rządzącego jest niewątpliwie postulatem uzasadnionym. Czy formułowanie go, w parlamencie, za pomocą szczekania „językiem psów z Kłodzka" nie jest jednak skandalicznym nadużyciem nie tylko wobec powagi polskiego Sejmu (bo jest to już instytucja gruntownie skompromitowana), lecz także licznych ofiar tych przerażających zbrodni? Były to przecież dzieci, a nawiązywanie do ich losu szczekaniem nie jest raczej dowodem szczególnej wrażliwości ani rozumu.

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



Nie sądzi tak, niestety, rzecznik dyscypliny Klubu Parlamentarnego PiS, Waldemar Andzel. „Nie wydaje mi się, by pani poseł popełniła jakiś bardzo poważny występek. Po drugiej stronie również pojawiają się emocje i nie słyszałem, żeby jacyś posłowie byli z tego powodu karani przez swoje kluby parlamentarne" – skomentował zachowanie koleżanki poseł Andzel.

Okazuje się więc, że za szczekanie Dominiki Chorosińskiej odpowiedzialne są „emocje". Jest to diagnoza doskonale znana weterynarzom i tzw. behawiorystom zwierzęcym. Szczekanie pod wpływem niekontrolowanych emocji to przypadłość, z którą radzą sobie, na co dzień, właściciele psów chihuahua, jamników, terierów i yorków. Da się ją opanować. Czyżby konsultacje weterynaryjne zaczęły być potrzebne w polskim Sejmie?

Ujadająca pani poseł ma, w świecie polityki, liczne wzory do naśladowania. Wśród mistrzów, których przykład mógł przyświecać jej karierze, wymienić trzeba nigeryjskiego polityka i ministra Ebenezera Oluwole Abayomi Babatope, znanego w swoim kraju jako „Ebino Topsy". W trakcie swoich wystąpień publicznych potrafił on naśladować pianie koguta, beczenie owcy, a przy szczególnych okazjach – ryczenie lwa. Tak niezwykłe zdolności przyczyniły się do jego spektakularnej kariery, uwieńczonej stanowiskiem federalnego ministra transportu i lotnictwa Nigerii w latach 1993–1998. Ministerialne funkcje nie ominęły także Dominiki Chorosińskiej. To właśnie w jej ręce złożył, w roku 2023, premier Mateusz Morawiecki funkcję ministra kultury i dziedzictwa narodowego oraz przewodniczącej Komitetu na rzecz Pożytku Publicznego. Na obu tych stanowiskach zastąpiła ona prof. dr. Hab. Piotra Glińskiego. Poprzednik minister Chorosińskiej sprawował funkcję ministra przez całe osiem lat i nazwany został, przez Jarosława Kaczyńskiego, „najlepszym ministrem kultury w historii Polski". „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej" – pisał Jan Kochanowski o sytuacji, gdy zastąpić trzeba osobę wybitną i dalej prowadzić jej dzieło. Zadanie kontynuowania misji prof. Piotra Glińskiego powierzyły partyjne władze PiS właśnie minister Dominice Chorosińskiej. Pozostaje kwestią otwartą, czy podołała ona temu zadaniu. Warto też z uznaniem podkreślić, że prof. dr hab. Piotr Gliński nigdy jeszcze na sali Sejmu nie szczekał. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d



WOJCIECH ROSZKOWSKI

Z INNEJ PERSPEKTYWY

No i szto?

Nie tak dawno prezydent Rosji Putin został zaatakowany na konferencji prasowej za zbrodnie, które pozwoliły mu zdobyć władzę, a obecnie realizować zamiary na Ukrainie. Odpowiedział bardzo krótko: No i szto? Nie tak dawno pewna posłanka PO użyła podobnego chwytu, mówiąc „no i co?", w odpowiedzi na dociekliwe zarzuty innego dziennikarza. Nauka nie idzie w las.

Jest znaną prawdą, że większość ludzi niespecjalnie troszczy się o prawdę i jest gotowa głosić cudze poglądy, uznając je za własne. Społeczni inżynierowie „liberalnej demokracji" troszczą się więc o „wytwarzanie przyzwolenia", tak aby przeciętny obywatel nie zauważał – jak przysłowiowa podgrzewana żaba – że należąc do „lepszego świata", przyzwala na kłamstwo i zbrodnie, ale że to ciepło może w końcu zabić. A w świecie, który nas otacza robi się bardzo ciepło. Można żyć w kłamstwie i głosić kłamstwo bez najmniejszych ceregieli.

Można więc bezkarnie napaść na sąsiedni kraj i drwić ze wszystkich, ale można też w imię demokracji siłą wtargnąć do zarządu telewizji, można panią, która to organizowała zrobić rzecznikiem praw obywatelskich, można uwięzić księdza i kazać mu siusiać do butelki, można w imieniu państwa brać niepewny kredyt, zamiast wykorzystywać własne środki, można podpisywać zobowiązania skierowane przeciw sojusznikom i twierdzić, że zawsze było się czujnym wobec wroga, można bez końca zadłużać kraj i twierdzić, że wszystko jest w najlepszym porządku, można chronić lekarza, który ponoć pracował wiele godzin w tym samym czasie w różnych miejscach.

Można też udawać, że się nie zna przestępców pedofilnych, którzy działali pod przykrywką organizacji partyjnej. Można karać za ujawnianie obrzydliwości, a nie za same obrzydliwości. Tyle można w Polsce. W innych krajach można czasem więcej. W Stanach Zjednoczonych można już publicznie wspierać morderczynię własnych dzieci, niejaką Lindsay Clancy. W Szwecji można zgwałcić 13-latkę i dostać za to 22 dni prac społecznych…

Można sygnalistów, którzy o tym wszystkim mówią, nazywać piewcami nienawiści. Można do czasu powtarzać za klasykiem: „Nie mam pana płaszcza i co mi pan zrobi?". Można używać słów nieparlamentarnych lub bardziej parlamentarnie żądać, by adwersarz „oddalił się w szybkim tempie". To króciutkie „no i co?" jest najlepsze, bo jest jak ściana, od której odbić się ma każdy, komu kłamstwo się nie podoba, ściana, za którą niektórzy mogą robić, co chcą.

Do czasu. Wydawać się może, że ta ściana uniemożliwia jakikolwiek dialog, a nawet zauważenie drugiej strony rzeczywistości. Ale ścianę można odwrócić. Nie jest to proste, bo najłatwiej jest kogoś znieważyć lub zlekceważyć. Najprostsza zasada moralna brzmi jednak: „Nie rób drugiemu, co tobie niemiłe".

Problem w tym, że ludzie na ogół nie zauważają związku między złem dziejącym się „gdzieś" a nimi samymi. A przecież bezprawne wtargnięcie do mieszkania może dotknąć i ciebie, obywatelu. Przecież pieniędzy, które ukradł rozkoszny działacz partyjny w lekarskim kitlu, zabraknąć może na twoją operację. Przecież i twoją córeczkę może wciągnąć w pornobiznes jakiś znajomy przedstawiciel „lepszego świata".

Są nawet sytuacje, w których piewcy relatywizmu, egoizmu i obojętności na racje moralne sami sobie szkodzą: a to na zdrowiu, a to na interesach, samopoczuciu czy prestiżu lub w relacjach z innymi ludźmi. Nie zauważyli tego kiedyś ci, którym zabrano pieniądze z OFE. Wiedzą o tym jednak dobrze nawróceni alkoholicy. Przestrzeganie zasad ma walor praktyczny. Jeśli się je gwałci, to prędzej czy później można samemu doznać szkody i wtedy ktoś lub Ktoś może zapytać: „No i co?".

Lepiej, by na to pytanie odpowiedzieć sobie tu, na tej ziemi… ©℗

Ludzie na ogół nie zauważają związku między złem dziejącym się „gdzieś" a nimi samymi. A przecież bezprawne wtargnięcie do mieszkania może dotknąć i ciebie, obywatelu. Przecież pieniędzy, które ukradł rozkoszny działacz partyjny w lekarskim kitlu, zabraknąć może na twoją operację

eprasa.pl c21ff32d6d

SANKCJE



FOT. W. CEJROWSKI LTD/JAROSŁAW SOSIŃSKI

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Gdy kręciłem „Boso przez świat" w Tajlandii, kumpel z ekipy zamówił sobie do kolacji Sprite'a. Surowo nakazałem ekipie kupować wyłącznie napoje butelkowane dowolnej, ale światowej marki. Chodziło o to, żeby się nie zatruć wodą z niepewnego źródła. Na wielu wyprawach widziałem, co z ludzi potrafi zrobić „ten pyszny soczek, który sobie zamówiłem do obiadu". (Przewodniki stosują określenia typu „zemsta faraona". Ja uważam, że bardziej precyzyjne jest słowo „rozpierducha").

W fabryce butelkującej napoje markowe filtrują wodę, bo się boją stracić licencję. No i dyrektor takiej fabryki jest zwykle biały i zagraniczny, czyli dba o filtry, bo sam też musi coś pić, a nie chce zdechnąć z amebą w brzuchu. Kumpel zamówił Sprite'a, ale przynieśli mu 7 Up. Obie butelki są zielone, czyli nie ma się o co spierać. Poza tym jesteśmy w Azji, a nie w Monte Carlo, jemy kolację, która będzie nas kosztowała 10 dolców na czterech, więc ja bym machnął ręką. No ale kumpel miał tego dnia krótką spłonkę i rozpoczął dyskusję z kelnerem. Ten stał grzecznie, słuchał spokojnie, a na końcu ukłonił się i powiedział łamaną angielszczyzną… i ja to teraz napiszę fonetycznie: Sejm, sejm, but different! Bon apetit.

Ogólnie chodziło mu o to, że te dwa napoje są może i różne, ale jednocześnie takie same.

***

Po inwazji na Ukrainę wiele zachodnich firm ogłosiło wyjście z Rosji. Nie decydował rachunek ekonomiczny, lecz politycy. Rachunek ekonomiczny był w tym przypadku KOSZMARNY.

Przykład: McDonald's oszacował swoje straty na 1,4 mld dol. Kto tyle stracił? Rosja? Nie! ZACHÓD stracił całą tę forsę, opuszczając w pośpiechu rosyjski rynek.

Ogłoszono sankcje, które miały spowodować… No właśnie nie wiemy, co miały spowodować, wiemy jedynie, co ostatecznie spowodowały. Rosja na sankcjach zarobiła kolosalne pieniądze. Jak? Większość zachodnich firm sprzedała swoje biznesy lokalnym podmiotom. Czyli w wyniku sankcji zachodnie koncerny zaczęły nagle za bezcen sprzedawać swoje fabryki, restauracje i browary oraz najdroższe biura i sklepy w najdroższych lokalizacjach – tam gdzie handlowano najdroższymi ubraniami, perfumami, biżuterią – wszystko wyprzedano na szybko, czyli tanio.

Zachodni inwestorzy najpierw z mozołem budowali i inwestowali w Rosji. McDonald's stworzył sieć 850 restauracji. Lata pracy, a wcześniej zabiegów dyplomatycznych, żeby w ogóle udało się wejść na rosyjski rynek. W 1990 r. miało miejsce huczne otwarcie pierwszej restauracji i to był jeszcze Związek Sowiecki. W kolejce ustawiło się 38 tys. ludzi. Wcześniej pod Moskwą uruchomiono zakład produkcji bułek – inwestycja warta 50 mln dol. I tak dalej, a potem z dnia na dzień sprzedajemy wszystko, zabieramy naszą markę i wracamy do domu lizać finansowe rany.

Ruska oligarchia skorzystała z okazji. Odkupili najlepsze lokale, w najdroższych lokalizacjach, urządzone i wyposażone z przepychem, bo to przecież Dior albo Cartier, albo Tiffany – wszystko to, czego się Zachód dorobił w Rosji, teraz wróciło w ruskie ręce za grosze.

Carlsberg w popłochu sprzedał osiem browarów z infrastrukturą i magazynami – majątek wart 1 mld dol. poszedł za jedną trzecią wartości. Kto to kupił? Kumpel Putina, z którym prowadzili kiedyś klub judo.

***

Wiele sieci zostało sprzedanych w rosyjskie ręce jako w pełni działające, czyli z lokalami, przeszkolonym personelem, z tymi samymi dostawcami i recepturami. Rozpoczął się Wielki Rebranding, czyli podmienianie nazw i znaków firmowych na nowe, ale podobne. Sejm, sejm, but different – tak by to określił tamten kelner z Tajlandii.

Znane produkty nie zniknęły z rynku – zmieniły się tylko szyldy i opakowania. Ruscy robili sobie z tego żarty, pokazując Zachodowi środkowy palec uniesiony wysoko i dumnie. W Moskwie nadal możesz kupić hamburgery z McDonalda, tyle że teraz kupujesz pod szyldem Vkusno i Toczka, co znaczy „Pyszne i kropka". Wszystko przecież zostało: lokale, sprzęt, personel, dostawcy oraz receptura i sposób przygotowania. Tylko teraz zarabia na tym kto inny. Big Mac zmienił nazwę na Big Hit, sieć utrzymała pozycję lidera, a Rosjanie nadal mówią na nią „Makdak", czyli po staremu.

***

Starbucks też wszystko wyprzedał w rosyjskie łapy z ogromną szkodą dla swoich zachodnich udziałowców. Pozbyli się 130 kawiarni. Logo syreny podmieniono na kobietę w tradycyjnym ruskim kokoszniku z gwiazdą. Zrobiło się patriotyczne, rosyjskie, tradycyjne. Twarz kobiety ta sama co u syreny, fryzura też i charakterystyczna gwiazda w tym samym miejscu, co była.

Zamiast Starbucks jest Stars Coffee, zamiast Frappuccino jest „frappuccito". Właściciele cieszą się swoim nowym biznesem, który spadł im z nieba za grosze. Wymyślili do tej historii bardzo dowcipne hasło reklamowe: „Bucks left. Stars have stayed". Doskonała gra słów i kontekstów. Dolce się wycofały, a gwiazdy świecą dalej.

Subway zmienił nazwę na SBW i nadal sprzedaje kanapki z metra. Pizza Hut to teraz Pizza N. Fanta to Fancy. Sprite nazywa się Street, Coca Cola leje się strumieniami jak dawniej, tylko nazywa inaczej.

Komu to wszystko było potrzebne i do czego? Żeby się Ruscy nachapali dzięki przejęciu porządnych zachodnich biznesów? O to chodziło władcom świata zachodniego ogłaszającym sankcje?

Oficjalne sklepy Nike, Adidas, Apple zniknęły, ale produkty są nadal dostępne za pomocą importu równoległego. Te marki są produkowane w Chinach. Przed ogłoszeniem sankcji jechały do Rosji z Chin. Dziś nadal jadą tą samą trasą, tylko w papierach pojawił się dodatkowy pośrednik w Kazachstanie.

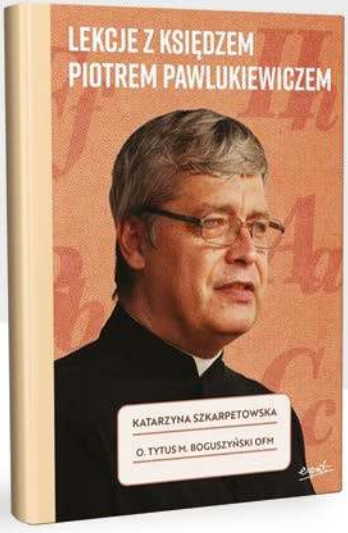
Rządzą nami durnie – im się wydawało, że jak z Moskwy zniknie nazwa Starbucks, to Ruscy se nie będą umieli samodzielnie zaparzyć kawy. ©℗

eprasa.pl c21ff32d6d

Oferta promocyjna

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE

KSIĄŻKA

KATARZYNA SZKARPETOWSKA, O. TYTUS M. BOGUSZYŃSKI OFM: „LEKCJE Z KSIĘDZEM PIOTREM PAWLUKIEWICZEM”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

~~612~~ ZŁ

293,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 319 ZŁ

Oferta prenumeraty z dostawą za pośrednictwem Poczty Polskiej

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

- **Wpłata na konto bankowe: Do Rzeczy S.A., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa, nr konta: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006. W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail**
- **Na stronie: www.subskrypcja.dorzeczy.pl.**

TERAZ MOŻLIWOŚĆ ZAMÓWIENIA PRENUMERATY RÓWNIEŻ Z DOSTAWĄ DO PACZKOMATU INPOST

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

ZOBACZ NASZE OFERTY: SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00)** INTERNET: **subskrypcja.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c21ff32d6d

Od ponad dekady tworzymy jedno
z najbardziej opiniotwórczych mediów w Polsce

SPÓŁKA AKCYJNA
DO RZECZY

Do Rzeczy S.A.
Spółka notowana na rynku **NewConnect (GPW)**
Symbol giełdowy: **DRZ**



WOLNOŚĆ SŁOWA MA WARTOŚĆ - TAKŻE GIEŁDOWĄ

Od 28 kwietnia 2026 możesz nas nie tylko czytać,
ale również zostać akcjonariuszem Do Rzeczy S.A.

ZAINWESTUJ
W NIEZALEŻNE MEDIA
Twoje media. Wspólna sprawa.

Dowiedz się więcej:
www.DoRzeczySA.pl

eprasa.pl c21ff32d6d